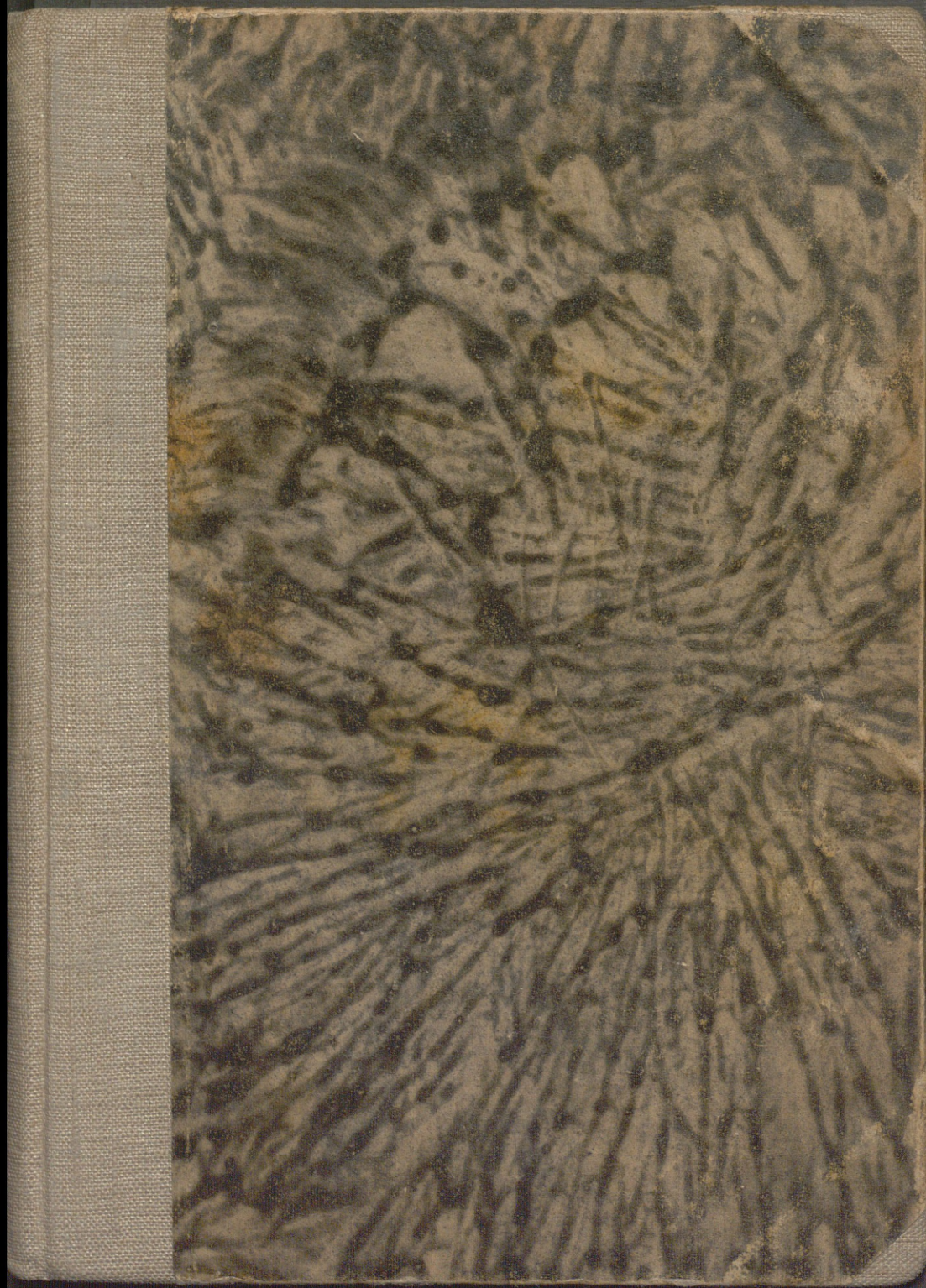


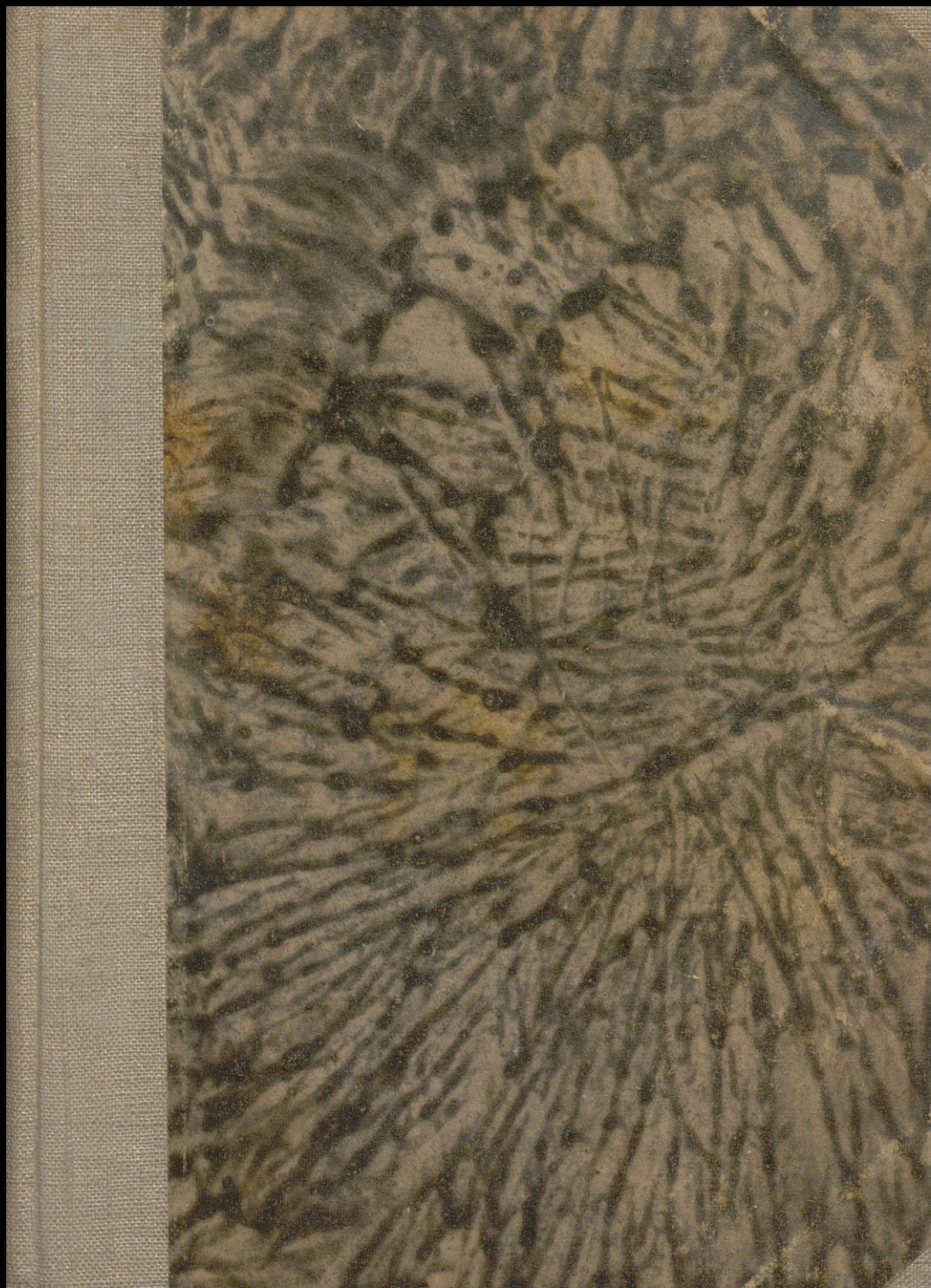
Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

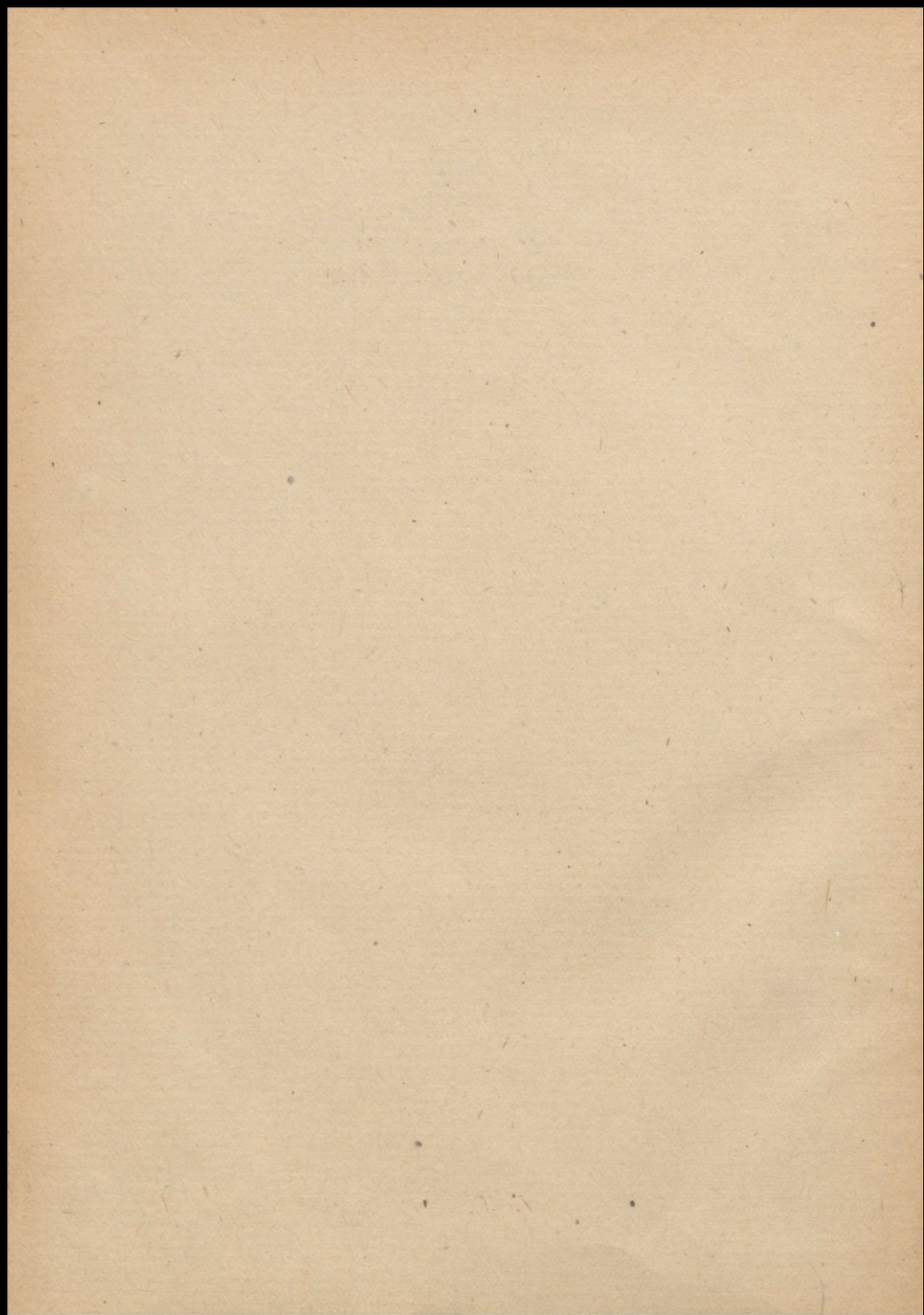
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







KSAWERY PRUSZYŃSKI
MARGRABIA WIEŁOPOLSKI



KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA WIELOPOLSKI

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

BIBLIOTEKA

Jednostki Wojskowej Nr. _____

SZANUJ WŁASNOŚĆ PUBLICZNĄ

VIII.6.3.4.



1 9 4 6

SPOŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
ALL RIGHTS RESERVED

COPYRIGHT, 1946, BY SPOŁDZIELNIA
WYDAWNICZA »CZYTELNIK« WARSZAWA
PRINTED IN POLAND

5133

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABI GENERALNEGO

M A R Z E C 1946
DRUKARNIA Nr 2 W WARSZAWIE,
MARSZAŃKOWSKA 3/5

B-05137

Ten szkic biograficzny powstał po pierwsze dlatego, że autorowi nie podobały się w najwyższym stopniu wszelkie dotychczasowe polskie monografie, życiorysy, biografie, nie podobał mu się sposób, w jaki polscy pisarze traktują wielkie postaci historyczne (lub literackie) — wszelkich Kościuszków, Sobieskich, Mickiewiczów, Słowackich, Batorych i kogo tam jeszcze zaszczycala niebezpieczna uwaga polskich pisarzy. Nie! Jak najbardziej nie! W naszych bowiem monografiach postać opiewana staje się zaraz rycerzem bez zmyły i skazy, jaśnieje nudą wszelkich cnót świata, jest wolna od wszelkich wın i błędów, słowem staje się prawdziwym świętym, jeśli nie katolickiego, to na pewno narodowego, polskiego kościoła. Pierwszymi monografiami w Polsce były, jak wiadomo, życiorysy świętych i te średniowieczne prawzory zaciążyły na tym rodzaju pisarskim. Okres barokowych panegiryków z czasów Wazów i Sasów dodał tu oczywiście swoje. XIX wiek, wiek narodowych cierpień, nie pozostał dłużny i dziś biorąc do ręki polską monografię możemy być pewni, że tylko przez przeoczenie pisarskie nie nazywa się ona „życiorys śr. Tadeusza“, „dzieje śr. Jana spod Wiednia“ czy „historia błogosławionego Stefana z Siedmiogrodu“. Umiano sobie jakoś poradzić z rewolucyjnym jakobinizmem Kościuszki, z sarmacką jurnością Sobieskiego, ba, nawet i z kawaleryjską donżuanerią księcia Pepi i w galerii narodowych świętych tworzą oni wszyscy monotony szereg. Należnym antidotum pod tym względem



był Boy-Żeleński. Ale Boy-Żeleński przez przeciwieństwo wpadł może w inną skrajność i w jego twórczości alkohora (z przyległościami) i wszystko, co z tym łączymy, rozrosło się do rozmiarów takich, jak manifest polaniecki albo sam Grunwald. A człowiek, w naszym skromnym mniemaniu, składa się z wielu wad, błędów, trochę z zalet, z potknięć, z małości, ze świąteł zarówno jak i z cieni i dopiero tak widziany może rozbudzić zainteresowanie, może pouczyć, może do myślenia pobudzić.

Przemalowanie ponowne galerii narodowych wielkości było jednakże przedsięwzięciem nad wyraz trudnym. Kościuszkę, Sobieskiego, Mickiewicza czy Batorego były to już postaci, zbyt okadzone — ku największej ich krzywdzie — mdłymi sadzami narodowego kadzidła. Stanowiły nietykalne tabu naszego szczepu. Tak — ale inni? Czy poza kilkunastoma postaciami historycznymi, z których każda ma już po kilkanaście (i więcej) poświęconych sobie monografii, nie ma jeszcze postaci takich, o których wprawdzie pisano w Polsce, ale które nie zostały jeszcze — na ich największe szczęście! — ukanonizowane, uznane za świętą nietykalność narodowego panteonu? Rzecz prosta, jest ich pełno. Może by zacząć od nich właśnie ów niehagiograficzny, ale świecki, ludzki typ monografii historycznej polskiej? Dobrze, ale od kogo? Wtedy właśnie, z całkiem innej już strony i dla całkowicie odmiennych przyczyn, począł jawnie się autorowi zesłowieczny, krynolinowy, w czerń żałoby narodowej spowity, zagadkowy, wielki cień Aleksandra Wielopolskiego. Jakże go zmano w owych darowych a niedarowych czasach? Margrabia? Tak, margrabia.

Cień Wielopolskiego myłonił mi się z mroków polskiej przeszłości i z mroków współczesnej mi londyńskiej emigracji. Było to po półrocznych samotnych walkach, które jako pisarz stoczyłem z nieomal całością emigracji polskiej w Londynie, w sprawie, która dzisiaj wydaje się całkiem naturalna i w której — doprawdy — postulaty.

jakich bronilem, nie były wcale zbyt nieumiarkowane. Były tylko postawione dość wcześnie. Twierdziłem po prostu, że dzieje tej wojny postawiły nas ostatecznie i zdecydowanie jako wroga narodu niemieckiego; twierdziłem dalej, że w ogniach tej wojny naród rosyjski krzepnie jako wróg Niemiec, że nigdy nie zapomni Niemcom ich niszczycielstwa, ich wojny, ich pogardy zwłaszcza, gruzów Kijowa, Smoleńska, Rostowa, prastarych monastyrów, rospaniałych zabytków. Twierdziłem, że przez współdziałanie polsko-rosyjskie na polach bitew — pierwsze od Grunwaldu — może, w moim głębokim przekonaniu, wytworzyć się polsko-rosyjska współpraca, płodna w przyszłości naszych synów, choćby ciężka za naszych dni; oby wyrosła, oby polski oręż szedł z rosyjskim bijąc Niemca od dalekich łęgów nad Wołgą! Twierdziłem, że wtedy nawet trudne sprawy graniczne znajdą w pokojowym stosunku rozwiązanie lepsze i byłem, jednym słowem, zwolennikiem wykurwania innej przyszłości polsko-rosyjskiej w dniach, kiedy armie rosyjskie były się jeszcze i krwawiły pod Stalingradem, Kurskiem i Kalininem, nie wtedy dopiero, kiedy poprowadziły zwycięski marsz swoich czolgów za Odrę. Nie twierdziłem niczego więcej. — Było to jednak wystarczające, by spowodować niezwykle ostrą kampanię prasową i osobistą ze strony tej olbrzymiej części emigrantów, którzy przez niepodległość Polski rozumieli bądź powrót do rządów przedwrześniowych, bądź odbudowę jej wedle recept Mussoliniego, Petaina czy generała Franco.

Otóż w okresie tej kampanii, toczącej na londyńskich brukach, nasi przeciwnicy wydobywali z lamusa historii cały korowód mar. Nie brakło ich, niestety. Czy istotnie ludzie, którzy w przeszłości polskiej szukali porozumienia z Rosją, byli zdrajcami? Głębiej zapuszczona sonda historii powiedziałaby, że nie. Ale nawet zapuszczona płycej natrafiałaby na postaci, które szukały porozumienia z Rosją i które naród zachował w innej niż targomiczan pamięci: Adam Czartoryski. Stanisław Staszic, reformator skarbu Lubecki,

A w inny sposób wybiegając poza swą epokę — Jarosław Dąbrowski. Życie każdego z tych ludzi było terenem walki, na którym można było obronić i przeprowadzić tezę, że nawet w przeszłości porozumienie polsko-rosyjskie pociągało za sobą bezrozumnych partiotów odróżniających się może od tysięcy zapaleńców tym, że mieli nie mniej od tamtych gorące polskie serca, ale bardziej od nich otwarte, trzeźwe i daleko głębiej myślące mózgi. Najbardziej pociągającym terenem wydało mi się jednak inne jeszcze życie. Życie Aleksandra Wielopolskiego.

Za wyborem tego właśnie „terenu walki” przemawiały różne względy. Po pierwsze epoka była stosunkowo mało odległa, stosunkowo żywa jeszcze wspomnieniami naszych dziadów. Były krynoliny, ale były i koleje, byli magnaci, ale był już i proletariatus. Gdyby dzisiaj na ulicach naszego miasta pojawił się Tadeusz Kościuszko ze swymi długimi włosami i granatowym mundurem, z halsztukiem czy żabotem, wzięlibyśmy go za aktora, który wyszedł z teatru, z przedstawienia czy generalnej próby, aby sobie kupić w kiosku pudełko „Bałtyków”, ale gdyby na Marszałkowskiej pokazał się Wielopolski w swym surducie i obcisłych, długich spodniach, pomyślelibyśmy co najwyżej: jakiś oryginalny. Mniej objaśnień, mniej komentarzy, mniej roboty ubocznej, wprowadzania w historię, eksplikowania. Otoż to! Ale był i inny wzgląd. Oto dla współczesnej mi londyńskiej opozycji margrabia przedstawiał nader twarde orzechy do zohydzenia. Opozycja ta składała się z prawicowych narodowców; ich własni rodzeni dziadkowie wyrosli w dobie popowstaniowej w kulcie Wielopolskiego, tak samo ich ródz Dmowski. Istotnie przypomnienie Wielopolskiego było dla tych kół wielce niewygodne. Byli i pilsudczycy. Ci znowu pamiętali, że ich ródz był sam wielkim admiratorem margrabiego. Poświęcił mu piękne, pełne holdu wspomnienie, nazwał jego imię „największym imieniem” owego czasu. Tak zatem w przeszłości polskiej (i to nie tak

daronej) istniała taka postać, wielka, choć niepopularna, która poniosła klęskę, ale której potomni nie odmówili wielkości i nie obarczyli klątwą. Był człowiek; który przemydlał idącą klęskę, nie oddawał się złudzeniom, nie dawał ponieść odruchom. Jego klęska stała się tylko prologiem do ogólnej, narodowej klęski.

W mrocznym lektorium British Museum było wszystko, czego mogła zapragnąć pisarska dusza. Było nie tylko to, co o Wielopolskim pisali ongiś swoi, ale i to, co pisali o nim obcy, a czego u nas w kraju na ogół nie znano. Bo Wielopolski był na swe czasy postacią o europejskim wydzwoleku, a sprawa polska owego czasu nie schodziła ze szpalt prasy i z debat parlamentu, na czym zresztą, jak i dzisiaj, niczego nie zyskała. Czasem czytając jakieś uwagi angielskie w „Timesie“ miało się wrażenie, że to są rzeczy pisane dziś; a znowu buńczuczne zapewnienia, jakie znajdowałem w współczesnej nam polskiej prasie londyńskiej, tchnęły tą samą beztroską i tą samą nieodpowiedzialnością, co buńczuczne nadzieje sprzed lat osiemdziesięciu. I tak obok przeciwnieństw i różnic wyrastały podobieństwa, nasuwały się analogie, przypomnienia, paralele. Nigdy nie było tak samo. bo historia nie powtarza się niewolniczo. Ale jakże często, zwłaszcza po naszej stronie i zwłaszcza wśród tej Polski, jaką mieliśmy w Londynie, było podobnie!

Ktoś mógłby zauważyć, że nie warto wracać do historii. że wydarzenia naszych czasów przecięły nożem wojny i przewrótów przeszłość od teraźniejszości. Ktoś mógłby zauważyć, że wielkie wydarzenia i zmiany ustrojowe to sprawy, które zatrząskują drzwiami przeszłości. I w pewnym sensie tak. Ale nie w zupełności. Po największej rewolucji, jaką zna historia, naród nie przestał czcić Sumoroma czy Kutuzowa pomimo tego, że swe marszałkowskie buławy oplekli w hrabiowskie korony czy książęce mitry; co więcej, nie przestał wracać myślą do czasów Piotra Wielkiego i Iwana Groźnego, uczyć się nawet z ich błędów, brać na-

technienie z ich wielkości. A twierdzą, że było wielkością Aleksandra Wielopolskiego, iż zrozumiał, pomimo przeszkód swego czasu, potrzebę współdziałania dwóch największych narodów słowiańskich, że odczuwał grozę niebezpieczeństwa germańskiego, że spojrzeniem dalekim ogarniał zapomniany od stuleci Wrocław, że znając Zachód, jak mało kto w Polsce, nie opierał na nim swej politycznej budowy. Może jednak największą jego wielkością było, że z raz obranej drogi cofnąć się nie dał, że szedł po niej konsekwentnie, że nie zrażał się codziennymi przeciwnościami, jakie widziane przez pryzmat historii miały kiedyś zmaleć, choć wtedy dla patrzących tylko poprzez dzień dzisiejszy urastały do myślnymionym rozmiarów. Pod tym względem, sądzę, że może nie od rzeczy będzie przypomnienie współczesnej Polsce starego pana z Chrobrza.

Dlaczego właśnie w toku tej straszliwej wojny napisałem mego Wielopolskiego i dlaczego wróciwszy do kraju pospieszyłem go zaraz wydać? Jakże się to stało? Żem go napisał i żem go teraz wydał?

Stało się to tak, żem dosyć późno jak na to, co było potrzeba, a stosunkowo dosyć wcześnie, jak na resztę naszej, zwłaszcza emigracyjnej, opinii publicznej, doszedł do wniosku, że losy tej wojny, a z nimi i losy Polski, rozstrzygną się właśnie gdzieś w brzozowych lasach Karelii, na pylnych drogach wokół Smoleńska, Orszy, Możajska.

MŁODOŚĆ I LISTOPAD

Urodził się jako syn jednej z kilkunastu magnackich dynastyj w Polsce, co prawda nie jednej z największych, ale bądź co bądź dynastii. Nie trzeba na to Marksa, by odkryć, jak urodzenie ciąży w następstwie na losach człowieka i to nawet wtedy, gdy nie jest ono tak wyraźnie umiejscowione klasowo jak urodziny arystokraty pełnej krwi. Magnackość zaś Wielopolskich była tym szczególniejsza, że odróżniająca się w sposób bardzo jaskrawy od przeciętnej magnackości Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, Lubomirskich, Zamoyskich. Tamci byli niemal w całości pochodzenia litewsko-ruskiego i nawet, gdy pochodzili z krwi polskiej, to wyrosli na magnatów najczęściej wtedy dopiero, gdy przywarli nadaniami i dobrami do litewskiego boru czy ukraińskiego stepu. W odróżnieniu od nich Wielopolscy pochodzili nie z zubożałych ruskich dynastyj, ale z wzbogaconych krakowskich mieszczan, może czeskiego, może niemieckiego, może rodzimego pochodzenia: Bochnarów. Takich rodów w arystokracji polskiej mało było, tak samo jak w arystokracji polskiej mało było owej mieszczańskiej trzeźwości, kalkulacji, realizmu, cech częstych w arystokracji, powiedzmy sobie, angielskiej, gdzie i pochodzenie takie jak Wielkopolskich — od „łokcia“ — bywa także częste. W dalszym ciągu mnożyły się u Wielopolskich cechy nader rzadkie w tej polskiej warstwie. Oto odziedziczyli oni drugie nazwisko, nowy tytuł i dużo wsi po wygasłej rodzinie Myszkowskich. Jeden z Myszkowskich został „przypuszczony do nazwiska

i tytułu" przez Gonzagę, księcia Mantui, papież uznał tę transakcję i odtąd głowa rodu nosi tytuł margrabiego Gonzagi-Myszkowskiego. Po wygaśnięciu Myszkowskich Wielopolscy z dobrami po nich przejęli i owo drugie nazwisko, i tytuł — co znowu zdarzało się zwykle za granicą, ale niemal nigdy w Polsce. Odtąd głowa rodu Wielopolskich nosił oficjalnie nazwisko i tytuł margrabiego Gonzagi-Myszkowskiego, hrabiego Wielopolskiego (bo w międzyczasie i dla reszty członków rodu wystarano się o jakiś tytuł). Był także ordynatem pińczowskim, bo Myszkowscy stworzyli ordynację, której zabrać do grobu nie mogli. Znowu ordynacyj było dużo w całej reszcie Europy, ale w Polsce było ich bardzo mało, szlachta ich nie lubiła, gdyż podważały starą zasadę równości szlacheckiej. Moźniejsi i potężniejsi od Wielopolskich Zamoyscy czy Potoccy odmawiali obcym dworom przyjęcia tytułów książęcych czy hrabiowskich właśnie dlatego, aby nie urazić tym „braci szlachty” i przyjęli tytuły hrabiowskie dopiero z rozpadem Rzeczypospolitej, raczej dla wygody niż dla zaszczytu. Margrabia Gonzaga-Myszkowski, ordynat pińczowski, hrabia Wielopolski w jednej osobie, był tam na stoku gór Świętokrzyskich, pomiędzy Proszowskiem a Końskiem, jakimś obcym rarogiem, dziwną fantazją losu, rzuconym tu z jakiegoś królestwa Obojga Sycylii albo Nawarry. Musieli być nielubiani. Byli też nimi w istocie i to zarówno Wielopolscy jak Myszkowscy. Oba rody brały bowiem z zagranicy nie tylko niepopularne tytuły, ale jeszcze bardziej niepopularne w ówczesnej Polsce poglądy. Wielopolscy i Myszkowscy byli stronnikami Habsburgów, jezuitów, Wazów, przeciwnikami wolności szlacheckiej, zwolennikami silnej władzy królewskiej. Kiedy inni magnaci wzniesali rokosze przeciwko królowi, oni stawali za królem, kiedy inni chcieli króla sprowadzić do roli takiej kukły, jaką był doża w Rzeczypospolitej Weneckiej, oni chcieli zrobić z polskiego króla w Warszawie jakiegoś Habsburga z Wiednia czy Burbona z Madrytu. Ro-

rozumowali tak, jak rozumował ówczesny europejski kontynent — i jak zgoła nie rozumowała Polska.

Wszystko więc składało się na to, aby Wielopolscy nawiązywać do czegoś innego niż cała reszta Polski — to jest tym, co oni i im współcześni uważali wtedy za Polskę — i niemal z reguły iść przeciwko temu. Z innymi magnatami polskimi mieli chyba wspólne tylko to jedno: poczucie wielkości rodowej. Właśnie w okresie poprzedzającym narodziny Aleksandra stan majątkowy rodziny się popsuł, musiano myśleć o sprzedaży części dóbr ordynacji, aby zapłacić długi i ważkim tym zagadnieniem zajmował się nawet dość długo, powołany do innych nieco spraw, sejm czteroletni. Wreszcie w roku klęski Napoleona nastąpił układ, który okroił ordynację pińczowską o jedno miasto — właśnie Pińczów, trzydzieści wsi, *których wymieniać nie pośpieszamy*, 16.000 poddanych miejskich i chłopskich oraz 90.000 morgów. Z dawnej ordynacji pozostała ledwo jedna czwarta. W okresie rozbiorów Polski był to prawdziwy rozbiór Wielopolszczyzny. Przyszły jej dziedzic, pierwszy okrojony ordynat, urodzony w 1803 roku, był jeszcze dzieckiem, gdy to doszło do końca. Kiedy niedługo potem wstąpił na tron ordynacki, postanowił odzyskać utracone dobra. Było to pierwsze — zauważmy — publiczne wystąpienie w jego życiu.

Młody ordynat odebrał gruntowne wychowanie i wykształcenie. Studiował i skończył prawo w Paryżu, a filozofię — wraz z doktoratem — w Getyndze i swą wiedzę prawniczą zużył od razu do wytoczenia procesu o całość granic ordynacji. Znajomość prawa i znajomość Niemiec powiększyły w nim tylko twardość. Tak się stało, że nabywcą owej okrojonej części był warszawski adwokat, prowadzący sprawy Wielopolskich, Jan Olrych Szaniecki. Była to dosyć ciekawa postać. Bardzo zdolny adwokat zrobił szybko dużą fortunę. Posiadał nader postępowe poglądy.

a zaciągnął się do wojska polskiego i odbył jedną z kampanij napoleońskich w randze kanoniera. Objąwszy część dóbr pińczowskich powprowadzał w życie swoje zasady. Zreorganizował w nowoczesnym duchu istniejące już szkoły ludowe, oczynszował włościan (ku zgrozie okolicznych ziemian, a poklaskowi postępowców z miasta), a księgozbiory ordynackie Wielopolskich, które dostały mu się wraz z dobrami, porozdzielał na biblioteki miejscowe dostępne publiczności. Procesy w Polsce skupiają zawsze na sobie oczy opinii: cóż dopiero obecny, wytoczony przez młodego margrabiego bogatemu adwokatowi! Po stronie pierwszego stanęła część tradycyjno-konserwatywna opinii, dla której całość ordynackiej fundacji była znacznie świętszą rzeczą niż obowiązek spłaty długów, która nie lubiła w ziemiaństwie intruzów miejskich, a tym mniej ich radykalnych poglądów; po stronie Olrycha Szanieckiego stanęli ci wszyscy, którzy nie uważali ordynacji za tabu, oczynszowania włościan za komunizm, szkoły dla chłopów za niebezpieczeństwo publiczne i woleli, by z książek korzystało wielu niż nieliczni. Opinia była więc ostatecznie przeciwko margrabiemu zwłaszcza wtedy, gdy w pierwszej instancji jednak proces wygrał. Czy wygrał go słusznie? Chyba tak. Niewątpliwie, obciążanie ordynacji długami było sprzeczne z prawem; ci, co pożyczali poprzedniemu ordynatowi, wiedzieli o tym dobrze: pożyczali w nadziei, że obali on zakazy prawne, osłaniające mienie ordynackie. Adwokat, sam kupujący mienie swego klienta, nie zupełnie był w porządku. To, że we władaniu źle nabytym mieniem wprowadzał słuszne może, a na pewno popularne w opinii zmiany, jeszcze nie uzasadniało jego nabycia. Ufny w swe prawo młody Wielopolski nie starał się kaptować opinii; może mniej pewny swego obrotny adwokat chciał ją sobie pozyskać. Proces był w najwyższej warszawskiej instancji i obie strony gotowały się do boju ostatniego, kiedy inny bój odwrócił uwagę opinii. Oto pewnej listopadowej nocy zapło-

nęła szopa na Solcu i huknęły strzały wokoło białego Belwederu. Strzelanina trwała przez całą noc, a gdy ustała, w Warszawie nie było już ani wielkiego księcia, ani rosyjskich wojsk, na ulicach zaś leżały między innymi trupy paru polskich generałów, poległych z ręki podchorążych, żołnierzy i spiskowców.

Dwudziestosiedmioletni Wielopolski ofiarowuje swe usługi „powstaniu listopadowemu“, jak je miano nazywać w przyszłości, a „rewolucji narodowej“, jak je nazywano wtedy. Zgłasza się jednak nie do wojska, lecz do tworzonej właśnie służby dyplomatycznej. Zgodnie z traktatem wiedeńskim i konstytucją Królestwo Polskie nie posiadało odrębnej reprezentacji za granicą: na zewnątrz zastępowała je Rosja, podobnie jak za bliższych nam czasów Wolne Miasto Gdańsk zastępowała za granicą Polska lub Protektorat Czesko-Morawski — Trzecia Rzesza. Jedną z pierwszych, niewątpliwie rewolucyjnych, czynności powstania było stworzenie polskiego ministerstwa spraw zagranicznych i rozesłanie za granicę polskich misyj. Londyn powierzono Wielopolskiemu. Wyjechał on szybko, jeszcze w grudniu, i echa Olszynki grochowskiej zaskoczyły go już nad Tamizą. Jak się też zdaje, wyjechał ożywiony najlepszymi nadziejami pierwszych dni powstańczych — a także wszystkimi błogimi złudzeniami warszawskich pisemek. Od razu oświadczył przedstawicielom prasy londyńskiej, że przyjechał w charakterze posła rządu polskiego. Było to pierwsze potknięcie. Downing Street i Foreign Office — w Anglii się nie zmienia — mogłyby uznać Wielopolskiego w tym charakterze chyba tylko wtedy, gdyby były zdecydowane zerwać z Rosją, a wcale tego nie chciały. Wręcz przeciwnie. „W dzisiejszej sytuacji — mówił ówczesny premier brytyjski Grey — musimy sobie życzyć, aby Rosja jak najprędzej miała wolne ręce i żeby wasze powstanie jak najprędzej było stłumione“. Oto, co usłyszał młody „poseł polski“, gdy jako człowiek prywatny w miesz-

kaniu osób trzecich mógł się zetknąć z uchodzącym za przyjaciela Polaków mężem stanu. Darmo powoływał się Wielopolski w późniejszych rozmowach z Anglikami na pomoc, jaką Wielka Brytania udzieliła walczącym o wolność Grekom i powstałym przeciw swemu holenderskiemu królowi Belgom: ileż razy na te precedensy powoływali się politycy warszawscy w swych gazetach czy kawiarniach! Ale i tu zwrócono Wielopolskiemu uwagę, że tamte powstania były skuteczne, odnosiły zwycięstwa i wprawiały zarówno sultana jak i króla holenderskiego w olbrzymie kłopoty. Tymczasem, jak informował Wielopolskiego minister spraw zagranicznych, Palmerston, polskie powstanie zwróciło się po bitwie grochowskiej z rokowaniami pokojowymi do Rosjan. Stanowisko Wielkiej Brytanii, oświadczone bardzo wyraźnie młodemu margrabiemu, było: „Polska, jeśli dąży do odłączenia się od Rosji, zrywa samowolnie ów porządek międzynarodowy, jaki piętnaście lat temu ustalony został za zgodą mocarstw Europy i przy współudziale Wielkiej Brytanii: co innego, gdyby car dążył do wcielenia Królestwa do Rosji: wtedy to on byłby gwałcicielem prawa międzynarodowego”. Wielopolski w odpowiedzi starał się dowiedzieć, jak częste i poważne były wypadki łamania konstytucji Królestwa przez cara. Ale ponad tymi wypadkami górował jednak w opinii Zachodu widok powstania — a powstanie wszczęli Polacy. Zresztą, może głównym powodem obojętności brytyjskiej było po prostu to, że Polska leżała daleko na peryferiach brytyjskich zainteresowań, inaczej niż Belgia czy Grecja.

Pomimo tej zimnej wody zlewanej na głowę, pomimo tych przejrzystych aluzji, że linią obrony Polski powinien być powrót do traktatu wiedeńskiego, Wielopolski prowadził dalej tę samą politykę maksymalną, którą mu zapewne zalecono w instrukcjach i którą wyznawała opinia polska. Na sugestie Palmerstona oświadczył, że „postanowienie naszego bycia niepodległymi jest niezmiennie i wyłączenie chyba na-

rodu polskiego położyć koniec mu może". Ci, co poszli na Belweder i ci, co w sejmie uroczyście zdetronizowali cara Mikołaja, nie mieliby mu nic do zarzucenia. Jednocześnie wybadał Palmerstona na nowy temat: co by powiedziała Anglia, gdyby na tronie polskim osadzić któregoś z wiedeńskich Habsburgów? Ale i ta propozycja nie spotkała się z zachętą: minister brytyjski oświadczył, że nie jest to aktualne w obecnej chwili. Stary lis dyplomacji europejskiej, Talleyrand, posłany właśnie do Londynu, zauważył tonem znawcy, że „le marquis Wielopolski” jest „miłym i inteligentnym człowiekiem, ale nigdy nie będzie dyplomatą”. Niewątpliwie cała londyńska misja była kłapą, bo i wymagania polskie, i brak zainteresowań angielskich, i niezmordowana energia ambasady rosyjskiej z księżną Lieven na czele złożyły się na to. Nawet typowo angielskie „składki publiczne” projektowane na „ofiary wojny w Polsce” nie doszły ostatecznie do skutku. Miał je zorganizować niejaki colonel Jonas, który miał w tym pewną wprawę, bo zorganizował już takie Relief Foundy na rzecz Grecji, Belgii, Hiszpanii. W ostatniej chwili okazało się jednak, że składki na rzecz „głodującej Irlandii” są znacznie bardziej aktualne. Tak więc nie można się było spodziewać nie tylko pomocy politycznej czy zbrojnej, ale nawet dobroczynności. A w Anglii zły to znak, gdy dobroczynność zawodzi.

W ten sposób wszystkie zabiegi młodziutkiego posła skończyły się niefortunnie, nie z jego przeważnie winy, i całą tę ambasadę powstańczą miała przyozdobić jeszcze resztką romantyczności zupełnie uboczna już okoliczność. Oto z początkiem 1831 roku przybył do Londynu kurier dyplomatyczny z Warszawy — oczywiście z niezupełnie honorowanymi papierami. Ów kurier przeprawił się specjalnie przez siebie wynajętym statkiem z Calais (na co się zresztą nie krzywmy, bo podróż odbywał na własny, a raczej mamusin koszt. Na pewno grubo do niej dolożył, zamiast zarobić na niej jeszcze grubiej, jakby to miało miej-

sce w bliższych nam lub nawet całkiem bliżutkich czasach). Misję miał dość niesprecyzowaną, a do kraju nie miał już więcej wrócić, w każdym razie za życia. Nader improwizowana była owa dyplomacja powstańcza; poseł był młodym magnatem, kurier — dwudziestoczteroletnim urzędnikiem Banku Polskiego. Poza tak solidną karierą, przerwana powstaniem, pisywał już wiersze i właśnie z racji powstania napisał odę, która zjednała mu w Warszawie dość przelotną na razie sławę. Miała ona urósć niebawem — i niezawodnie do czasów Jarosława Iwaszkiewicza i Stanisława Balińskiego — Rzeczpospolita nie miała równie poetyckich kurierów w swej służbie dyplomatycznej. Ów młody człowiek wysiadywał w Saint James Parku i wysłuchiwał tam pouczeń dozorców, jak się siada na najętych parkowych krzesłach. Ubierał się bardzo starannie w tym okresie życia, a nazywał się — Juliusz Słowacki.

Po swej londyńskiej klęsce, na przedwiośniu 1831 roku, wraca Wielopolski do Warszawy omijając z daleka Prusy, a zawadzając za to o Galicję. W międzyczasie umarła mu niedawno poślubiona żona i nowourodzony syn. Pozostawił ją wyjeżdżając z kraju w ostatnich miesiącach ciąży, nie zastał już jej wróciwszy i prędko wrócił do działalności publicznej. Daje nam to pewien rys tego człowieka. Jak wiadomo, Polacy są na ogół znacznie lepszymi mężami, kuzynami niż tak zwanymi synami ojczyzny i właśnie w momentach najbardziej tragicznych dla Polski wykazują niespodziewane cnoty pieczołowitości rodzinnej. W epoce wcześniejszej o jedno pokolenie trzech wyższych oficerów ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego na wiadomość o zaczętej wojnie z Rosją szybko poprosiło o urlopy: jeden miał starego ojca, który mógł umrzeć, drugi żonę, która miała poród, trzeci jakieś mniej zdeklarowane sprawy rodzinne. Książę Józef oczywiście najuprzejmiej zezwolił — uczucia rodzinne w Polsce były silne i cenione, a patriotyczne dopiero od dwóch lat weszły w modę. Wielopolski był z innej

gliny. Zapewne twardszej. Żale rodzinne tłumil teraz pasją, z jaką się zabrał do polityki. W Warszawie występuje zrazu jako „radca stanu w wydziale spraw zagranicznych“ i jako taki przemawia z „ław rządowych“ w sejmie. Imieniem słabego — jak to nieraz u nas bywa — rządu ściera się tu z liczną, rozszumianą, buńczuczną i pustą opozycją, okazuje się doskonałym mówcą, pełnym logiki i argumentacji. Miękki rząd jest zastraszony swoim sejmowym rzecznikiem, woli ustąpić dla świętego spokoju — i poświęca swego zbyt gorliwego obrońcę w nadziei, że mu to coś pomoże. Oczywiście miało to zgoła odmienny skutek.

Tymczasem właśnie w tym okresie sejm poszerza się o przedstawicieli tak zwanych wtedy „ziem zabranych“, to jest ziem położonych, biorąc z grubsza, pomiędzy Bugiem a Dnieprem, Berezyną i Dźwiną, obejmujących całą Litwę, Wołyń. Podole, Białoruś z Mińskiem i Witebskiem oraz Ukrainę, wprawdzie bez Kijowa. Zebrani w Warszawę obywatele pochodzący z tych ziem wybierają czy raczej wyznaczają swych posłów na sejm: Wielopolskiego ogłaszają swym posłem grodzieńszczyźnie nie zważając na to, że nic go z Grodnem nie łączy. Może nawet mniej, niż myśleli. Toteż zaraz mu to wytknie i mandat bezskutecznie zakwestionuje stary nieprzyjaciel, dziś jeden z najradykalniejszych posłów — Olrych Szaniecki. Co mogło skłonić grodnian do tego wyboru? Poza zabiegami zapewne opinia, jaką zdobył sobie Wielopolski — niestrudzonego szermierza prawicowych i umiarkowanych poglądów. Poza sejmem wyraża je jeszcze w organie skrajnej prawicy warszawskiej, zwanym „Zjednoczenie“. — Rada stanu, sejm, prasa. — Lato 1831. — Życie tego człowieka będzie się dzieliło na dziesięciolecia zastoju i na miesiące — czasem tygodnie — niezwykle wzmożonej pracy. Owo lato 1831 należało na pewno do tych ostatnich.

Historycy poprzestawali dotąd na wyliczaniu poszczególnych poglądów czy akcyj, jakie w tym okresie przepro-

wadzał Wielopolski. Nie szukali natomiast nigdy jego myśli przewodniej. Otóż jedno jest pewne: gdyby Wielopolski powiedział sobie, że trzeba dążyć do zgody z Rosją, nie mógłby postępować inaczej, niż postępował. Czy należy się dziwić temu, że swych kart nie odkrył, że swej myśli wyraźnie nie wypowiedział? Nie był publicystą: był politykiem. Warszawa owego lata rozbrzmiewała nienawiścią do caratu, szumiała wojną, pęczniała nieustępliwością. Czemuż się dziwić? Wszak niedawno pobił Dwernicki Rosjan pod Stoczkiem; wybuchło powstanie na Kresach i Litwie; ofensywa polska poszła szczęśliwie na Siedlce, niemal — a „niemal“ liczy się u nas za pół dokonania — nie wzięła do niewoli rosyjskich gwardyj razem z bratem cesarskim, wielkim księciem Michałem. Prasa i kawiarnie były pełne Igania, Wawra, Dębów Wielkich, litografie warszawskie tłoczyły dziesiątkami portrety wspaniałych generałów polskich: Chłopickiego, Skrzyneckiego, Chrzanowskiego, Dembińskiego, Dwernickiego. Jakżeż okazały wyglądały ich groźnie ściągnięte brwi, srebrne wężyki na kołnierzach, opończe zarzucone romantycznie, ramiona dumnie skrzyżowane na bohaterskich piersiach! Wtajemniczeni — a któż w Polsce nie jest wtajemniczonym? — mówili, że widzieli „na własne oczy“ odpis noty, jaką rządy angielski i francuski właśnie w czwartek posłały do Petersburga: cóż to była za nota! Prawicowcy cieszyli się, że Austria (jak zapewnia Zamoy-ski z Wiednia) sprzyja powstaniu; lewicowcy szeptali o postanowionej przez bliżej niewyjaśnione czynniki rewolucji powszechnej. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Zachód stanie murem za Polską, że armia polska jest znakomita, a zwycięstwo pewne. Kto by nie był zupełnie tego zdania, byłby szybko zmuszony do milczenia: czyż nie był najoczywiściej złym Polakiem? A Wielopolski? A Wielopolski przybył do tej rozmajonej Warszawy jak poseł złej wieści. Wielopolski należał do nielicznych — bardzo nielicznych — ludzi w tej Warszawie, którzy już widzieli, że na pomoc Zachodu

nie ma co liczyć—w każdym razie nie w tych warunkach i nie w tych rozmiarach, o jakich marzą jego rodacy. A siły własne? Wielopolski widział z bliska tych „następców Kościuszki” i „dziejców Żółkiewskiego”, owych generałów tak pięknie prezentujących się na koniu w dniu parad, w salonie w wieczór balowy i w upiększeniu zdolnego litografa. Wiedział, że są skłóceni, małostkowi, niezdecydowani, doskonali na dowódców batalionu, gorsi na dowódców pułku, bardzo kiepscy jako generałowie, a zupełnie nie nadający się do tych wielkich zadań, jakie naród — wbrew nim samym—nieopatrznie im na barki wali. Wszak Chłopicki na pierwszą wieść o powstaniu skrył się głęboko w domu, Skrzynecki polecał swym znajomym wyrazić wielkiemu księciu Konstantemu, że jest mu wierny „duszą i ciałem”, a podczas burzliwych dni powstania inny przerażony generał, Chrzanowski, krzychał, że poszuka sobie opieki przed tłumem warszawskim... w obozie rosyjskim. Słowem, owe generalskie lwy, niegdyś naprawdę bohaterskie, pragnęły teraz dożyć swoich dni w spokoju. Wielu z nich przez blisko lat dwadzieścia tułało się po obcych ziemiach i wojnach: czemuż się dziwić, że nie bardzo im się uśmiechała nowa emigracja? W dodatku rok 1812 przekonał ich o jednej rzeczy, niedocenianej zupełnie przez powstańców „gorączkę”. Mianowicie o potędze Rosji. Wiedzieli oni dobrze, że owe Igania i Wawry, którymi tak zachwycali się właśnie kawiarnie, gazety i kobiety, to niestety tylko słabe ułucia zadane owej potędze: rosyjskiego niedźwiedzia nie osłabiają, ale rozjuszą. Wielopolski swymi chłodnymi oczyma polityka widział to samo, co oni, wojenni fachowcy. Widział to może jeszcze jaśniej — czy też jeszcze czarniej.

Być może, gdyby ten człowiek nie urodził się ordynatem, margrabią i magnatem, byłby sobie powiedział, że Polskę można zbawić jedynie rewolucją społeczną — i wtedy z konsekwencją, jakiej brakło Kościuszcze, ale nie zbrakło Jakubowi Jasińskiemu, rzuciłby się na te wody widząc w nich

jedyny ratunek. Wtedy głosowałby w sejmie za uwłaszczeniem włościan; wtedy nie wykreśliłby z odezwy rządu narodowego do chłopów Litwy i Rusi zapowiedzi zniesienia pańszczyzny; zrobiłby właśnie odwrotnie. Ale być może, że to nie tylko arystokratyczne urodzenie i konserwatywne wychowanie wstrzymało go po londyńskich doświadczeniach od pójścia w ramiona rewolucji. Może zagrał tu jeszcze i realizm Wielopolskiego. Masy chłopskie nie były dojrzałe do rewolucji: najwyżej były zdolne do tego, co przyszło w innym zaborze w szesnaście lat później — do rozboju. Ustrój pańszczyźniany sąsiedniej Rosji był jeszcze ogromnie silny i dopiero w sto lat później nieomal, gdy na skutek uprzemysłowienia wyrósł w miastach proletariat, stać ją było na coś więcej, niż nową rzeź humaną czy drugiego Pugaczewa. Pod tym względem młody margrabia mógł oceniać rzeczywistość słuszniej niż jego radykalni przeciwnicy, którym zwidywały się po nocach raclawickie kosy od Pilicy do Dniepru. Dość, że wróciwszy z Londynu Wielopolski do programu rewolucyjnego nie przystał. Jednocześnie w program pomocy Zachodu wierzyć przestał. Nie mógł. Gdyby był przeciętnym Polakiem, robiłby to, co inni, w chwilach czarniejszych pocieszając się może przepowiedniami Wernyhory, że „Anglik sygnie złotem, Francuz wesprze, Turek konie napoi w Horyniu“, albo mniej konkretną nadzieją, że „nad tym wszystkim jest Opatrzność Boża“. Gdyby rozumiejąc, co się dzieje, dbał tylko o to, aby wynieść z tego własne nieskalane nazwisko, pewno by wstąpił do wojska, poparadował w jednym z pięknych ówczesnych mundurów, przy okazji gdzieś tam powalczył. Amnesticie potem otrzymałby łatwo, znacznie łatwiej niż za cywilną polityczną działalność, po czym do końca życia obnosiłby ze sobą z roku na rok rosnący jeszcze, typowo polski nimb chwały wojennej. Jakże niedrogo! Gdyby i na to się nie zdobył, to mógł przecież świetnie wrócić z powrotem do Chrobrza — żałoba po śmierci żony i syna zawsze byłaby w Polsce do-

skonałym pretekstem — i przeczekałby cicho tych parę miesięcy, jakie były jeszcze potrzebne do tego, żeby nad Warszawą rozpięły się cienie paskiewiczowskiej nocy. Car puściłby w niepamięć ów wybryk londyński; gorzej było z działalnością poselską w sejmie i to jako posła z kraju, który w opinii carskiej był „integralną częścią“ Rosji. Jeśli sobie przypomnimy, jakie boje staczał Wielopolski o swój okrojony Chroberz, to docenimy, że owego lata 1831 roku postawił go w całości na kartę. Ryzykował w powstaniu, w które nie wierzył.

Jakiż plan działania powziąć mógł człowiek, który wiedział, że na pomoc Zachodu liczyć nie można, na siły naszej armii niesposób, drogę rewolucji ludowej odrzucał, a z tym wszystkim nie mógł stanąć wobec narodu i otwarcie wypowiedzieć nurtujących go obaw? Pozostawało zbliżanie się do celu bez odsłaniania kart. Naszym zdaniem to właśnie on robił. Do celu zaś — kompromisowego pokoju z Rosją, zanim nastąpi zwykła kapitulacja — zbliżał się Wielopolski różnymi drogami. Przede wszystkim zmierza stale, jako mówca i jako publicysta, do wygrywania armii przeciwko sejmowi, naczelnego wodza przeciwko rządowi, wojska przeciwko opinii. Jego pismo broni Skrzyneckiego i roztacza wokoło tej nadętej purchawki nimb dyktatorski, później owija się wokoło innych „wodzów“, a wreszcie, w przełomowej chwili sierpniowej, podsuwa Wielopolski swemu wujowi, generałowi Dembińskiemu, plan zamachu stanu i obwołania własnej dyktatury. Ale Dembiński był nie mniejszym Hamletem od innych polskich wodzów i gdy przyszło co do czego, cofnął się. „Cet imbécile recule!“ — zawołał ze wściekłością doradca-siostrzeniec. Czy dyskredytowanie sejmu a wysławianie armii, pomniejszanie cywilów a wynoszenie „wojska“, kult naczelnego wodza i tęsknota do dyktatury wojskowej zbliżały rokowania pokojowe z Rosją? Oczywiście! Wszyscy wodzowie tego powstania, większość

generalów, opinia sztabów stanowiły w roku 1831 ośrodek pokojowy, a nie wojenny. Oddanie władzy w ich ręce ułatwiało to, o czym marzył Wielopolski: pokój, nim będzie za późno. Sejm nigdy by pokoju nie zawarł.

Na drodze do porozumienia z Rosją istniały jednak inne przeszkody, nie tylko techniczno-polityczne. Dwie przede wszystkim. Pierwszą z nich były właśnie owe hasła rewolucyjno-społeczne Warszawy. Drugą stanowiła, poruszona od pierwszych dni walki, sprawa „ziem zabranych”. Wielopolski zwalcza energicznie kierunek rewolucyjny w powstaniu. Przemawia przeciw wolności prasy; przemawia przeciw uwłaszczeniu włościan; uzyskuje — jak wspomnieliśmy — że do odezwy Rządu Narodowego do „ziem zabranych” nie wchodzi zapowiedź zniesienia pańszczyzny. W trzydzieści lat później zastaniemy go znacznie mniej reakcyjnym. Dlaczego? Czy nie dlatego może między innymi, że nie chciał, by hasła rewolucyjne Warszawy podniecały gniew Mikołaja i utrudniały kompromis? Byłoby to wytłumaczenie. Ale ziemiański sejm i tak nie czuł zbyt wiele nabożeństwa do uwłaszczenia kmiotków i nie kwapił się zbyt do racławickich tradycji. Tu margrabia miał łatwiejsze zadanie.

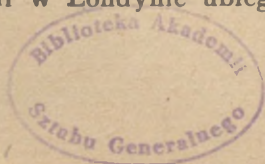
Znacznie trudniej było z drugą sprawą, sprawą Kresów. W ówczesnym społeczeństwie „ziemie zabrane” — Witebsk, Mińsk, Żytomierz, Humań — były niezwykle popularne. Ich ludowe społeczeństwa spały jeszcze pełnym snem pańszczyźnianym budząc się tylko co kilkadziesiąt lat do lokalnej rzezi swych panów. Klasą oświeconą owego bezmiejskiego kraju było polskie lub spolszczone ziemianstwo i ziemie te były rajem ziemianstwa polskiego, a miasteczka aż do prawosławnych popów rozbrzmiewały mową polską. Tylko na witebskiej Białorusi było już z tym gorzej. W 1815 roku przyznano te ziemie Rosji, traktat wiedeński i Aleksander Pierwszy rzucili w tej sprawie Polakom pewne półsłówka, sejmy dopominały się o przyłączenie tych ziem do Królestwa, w liście swym kiedyś do cara postawił był tę sprawę

Kościuszkę. Z nastaniem roku 1831 sejm powołał do swego grona posłów owych ziem. Miało to efekt nie tylko w Polsce, ale i w Rosji. — Oczywiście odwrotny. Car wykorzystał ów krok polski po mistrzowsku. Na maneżu petersburskim pojawił się przed oczyma oficerów najlepszych pułków rosyjskich. Mogło to być ryzykowne. Od czasu, gdy zapoznali się z Europą — w latach 1814-15 — młodzi oficerowie rosyjscy pozarządzali się ostatkiem idei rewolucji francuskiej, pograżali się w spiskach, po wstąpieniu Mikołaja na tron podnieśli bunt, a ich konspiracje wiązały się z konspiracjami polskich oficerów. Car w razie rewolucji nie mógł być pewny tych ludzi, czy przeciw rewolucji polskiej może ich użyć? Ale teraz nie chodziło o rewolucję, ale chodziło o „polskie ręce wyciągnięte w kierunku rosyjskich ziem”. Toteż przemówienie cara zdecydowało o tym, że armia stanęła całkowicie po jego stronie. Kamerjunker dworu — dziwne w tych czasach stanowiska piastowali wielcy poeci — rzucał Polsce wyzwanie, jeszcze bardziej długotrwałe niż carskie:

Powiedzcie, rychło nam Warszawa
Narzuci dumne swoje prawa?
Dokąd się cofnie fortęc próg?
Za Worskłę, Limań czy za Bug,
I przy kim Wołyń się ostanie,
Przy kim dziedzictwo ziem Bohdana?
Czy prawem mieniać praw złamanie
Powstanie Litwa zbuntowana?

i podczas gdy w Warszawie oddawano się wzniosłym nastrojom, Rosja podniosła się cała do walki. Mikołaj wygrał.

Gdyby Lord Grey i Palmerston czytali po polsku i byli prenumeratorem warszawskiego „Zjednoczenia”, to by spostrzegli, może nie bez zadowolenia, że ich londyński rozmówca wygłasza z tych łamów zupełnie inne poglądy niż te, które głosił w Londynie ubiegłej zimy. Wtedy, gdy reszta



prasy grzmi hasłem „Polska w granicach 1772 roku“, na łamach „Zjednoczenia“ pojawia się... zachwalanie traktatu wiedeńskiego. Traktat wiedeński był właśnie tym aktem międzynarodowym, który odepchnął Polskę — choć jeszcze nie polskość — do Bugu. Jeśli ktoś w powstaniu woła o traktat wiedeński, to domaga się wprowadzie szanowania konstytucji, którą car łamał, ale rzeka się tym samym nie tylko Witebska i Humania, ale nawet i tego Grodna, które tak nieopatrznie dało Wielopolskiemu swój mandat... Jednocześnie w tym artykule zwraca Wielopolski uwagę na takie miasta polskie, kórych nazwy nie pojawiają się ani w sejmowych debatach, ani w prasie, ani w gwarze kawiarń. W chwili ciężkiej walki z Rosją przypomina naraz... krzywdy, jakie zadają Prusacy: „Zaprowadziły Prusy po wszystkich szkołach język niemiecki, zappełniły Poznańskie samymi niemieckimi urzędnikami, miasta i wsie napełniono kolonistami niemieckimi. Poznańskie, jeśli zostanie pod wpływem dotychczasowej administracji, stanie się niedługo prowincją niemiecką“. Co to znaczyło? Byłażby to dywersja? Byłoby to rzucanie w oczy opinii: mówicie tyle o Humanii, tak mało o Gnieźnie? Bardzo to być może. I może niepokój wobec takich właśnie głosów podyktował sejmowi w tych dniach gorących prawdziwie rejtanowską (ale też i tragicznie rejtanowską) uchwałę, której wypadki nie umiały sprostać tak samo, jak Wielopolski nie sprostął zbyt trudnej misji, z jaką wysłano go na Zachód. Jakie piękne są słowa tej uchwały! „Polska musi istnieć w odwiecznych swych granicach i każdy z posłów raczej czyn Reytana ponowi, aniżeli by miał na oderwanie najmniejszej części ziemi pozwolić“. „Odwieczne granice“ były to oczywiście granice z 1772, a nie z 1815 roku. Uchwała—przyjęta jednomyślnie—przypominała nieco uchwałę, jaką przeprowadził Sejm Czteroletni w 1790 r., że Polska „nie może być nigdy więcej rozczepiona“. W dwa lata później nastąpił drugi, a w pięć lat potem ostatni rozbiór Polski. Historia uczy, że uchwałami

zdobywa się może popularność, ale życia się niestety nie łąta.

Posłowie sejmu powstańczego nie mieli zresztą sposobności ponowienia „czynu Reytana“, albowiem nikt ich nie miał już o to prosić. W kilkanaście dni potem całe powstanie jest jak samolot pozbawiony steru — lub w którym za ster chwytają wszyscy, by go kolejno puszczać — i idzie raczej siłą inercji i niełaską wiatrów. Dogorywanie jest dłuższe — cały wrzesień i pół października — ale ostateczne. Jedyna półmediacja, jaka przychodzi, przychodzi z Austrii i za późno. Sprawdzają się też wszystkie czarne przewidywania Wielopolskiego. Niewielką bryką, jak tylu innych, ale nie z wojskiem, chroni się i nasz nieudały dyplomata oraz niefortunny poseł poza kordon pruski. Jego towarzyszem na tej bryczce jest człowiek, który podobnie jak tamten kurier londyński przejdzie do kart historii polskiego piśmiennictwa, tym razem nie poezji. Niedawno ściągał on na siebie błysk szabel oficerskich, kiedy ośmielał się krytykować w prasie naczelnego wodza, niezdarę Chłopickiego. Wkrótce napisze historię owego powstania. Ten nowy towarzysz Wielopolskiego nazywał się Maurycy Mochnacki.

Drezno było zwykle pierwszym postojem emigracji ówczesnej, poprzedzającym ów dłuższy, zwykle nawet bardzo długi postój, jakim był Paryż. Ale Wielopolski nie dojechał nawet do Drezn. Młody magnat należał bowiem do tych, co zawrócili z drogi bardzo szybko — z Rydzyny — i niebawem widzimy go już w Krakowie. Kraków jest wolnym miastem, poddanym ościennym rezydentom oraz ich szpiclom, wcale nie bezpieczne miejsce pobytu, ale położone pod bokiem Chrobrego, Księcia, Pińczowa i innych dóbr ordynackich. Są one już pod rosyjskim sekwestrem. Taki sam los, a nawet gorszy, konfiskaty, spotkał i owe dobra Jana Olrycha Szanieckiego, o które przed niespełna dwoma laty toczył się pierwszy proces margrabiego. Lewicowy adwokat jest jednak w Paryżu, gdzie niebawem umrze. Nie sądźmy,

aby krakowski wyjazd Wielopolskiego i jego osadzenie się w wolnym mieście było dobrze widziane przez koła emigracji. Gdybyśmy dziś mieli sposobność pogrzebać się w jej pismach i ulotkach, zapewne natrafilibyśmy na niejednego wyrok, oczywiście „zaoczny”, odejmujący Aleksandrowi Wielopolskiemu „miano szczytne Polaka” lub skazujący go „na wieczną z Narodu banicję”. I to nie tylko z kół lewicowych, gdzie już na pewno Szaniecki robił, co mógł, ale także i z prawicowych. Oto bowiem z tych ostatnich wychodził w 1832 roku projekt zwołania sejmu na emigracji. Sejm, wygnany z Warszawy, miał być władzą najwyższą emigracji w Paryżu. Miał przede wszystkim — co też uczyniono istotnie — obwołać królem Adama Czartoryskiego. Wielopolski był posłem tego sejmu-widma. Jego marszałek, Ostrowski, pisał zatem do Krakowa wzywając posła Grodzieńszczyzny do przyjazdu. Przynagla jeszcze i tym, że do quorum sejmowego, zdolnego do powzięcia „prawomocnych uchwał”, potrzeba tylko dwóch głosów. Jednym z tych dwóch był margrabia. Ale Wielopolski nie miał najmniejszego zrozumienia dla sejmu na wygnaniu i króla in partibus infidelium. A był to przecież zaledwie drugi rok ówczesnej emigracji i szlagony chodzące nad Sekwaną były święcie i niezbicie przekonane, że niebawem Francja, Anglia, Austria i Turcja wypowiedzą wojnę Rosji po to właśnie, aby im, pielgrzymom polskim, umożliwić powrót do Łęczycy, Berdyczowa i Słucka.

W owym okresie Kraków był pustą dziurą, ale niemniej znajdowało się tam paru przyjaciół politycznych, tak samo myślących jak margrabia. Był przede wszystkim Zygmunt Helcel, późniejszy historyk prawa polskiego, był najserdeczniejszy przyjaciel, Konstanty Świdziński (hołdujący z lekka już modnemu pansławizmowi), przyszły zbieracz starożytności polskich i ukraińskich, wreszcie Paweł Popiel, który przeżyje wszystkich i pozostanie w pamięci krakowian jako papież późniejszej konserwy, założyciel „Czasu”.

Było to towarzystwo ogromnie katolickie, prawicowe do szpiku, legitymistyczne i monarchiczne, a jednocześnie czytające dużo i mające kontakt ze wszystkimi im podobnymi kołami na Zachodzie. Wielopolski był już człowiekiem o dużym wykształceniu: teraz je tylko pogłębił. Myślał nawet o katedrze historyczno-prawnej na uniwersytecie krakowskim; o pracy naukowej czy archiwalnej. Tymczasem jednak jego starania o amnestię się powiodły i przerwały tamte zamierzenia. W 1833 roku wraca do swej ordynacji w miechowskie, pod rządy paskiewiczowskie.

Powstanie listopadowe przedzieliło nurt życia narodowego na dwie zupełnie odrębne strugi. Emigracja spalała się w sporach, teoriach, doktrynach i koncepcjach mistyków, wieszczów i poetów, rewolucjonistów, których ideałem była rzeź monarchistów, roztaczających wokół księcia Adama ceremonial monarszy. W jednym salonie można było spotkać jednocześnie Szopena, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, paru byłych naczelnych wodzów, kilkunastu niedoszłych zbawców ojczyzny. W Kraju było inaczej. Nielicznym pismom wolno było co najwyżej pisać o modach kobiecych, ogłaszać nowe dekrety Najjaśniejszego Pana, w najlepszym razie powiadamiać o pewnych rolniczych wynalazkach gospodarczych. „Pan Tadeusz“ był lekturą, za którą groził Sybir; cóż dopiero „Kordian“, „Anelli“ czy „Księgi Pielgrzymstwa“. Toteż dzieła te były na ogół znane bardzo późno, bardzo źle lub wcale. Za to ceny zbożowe były dobre, na bydło również, robocizna bezpłatna lub niska. Warszawa nie miała teraz niemal kawiarni, ale miała lokale nocne i domy publiczne, gdzie prowincja szlagońska topiła te pieniądze, jakich nie wydała na psy, konie, suknie paryskie, dubeltówki angielskie czy karty. Emigracja była intelektualna, kraj był schłopiały; emigracja była eteryczna, kraj był parobczacki; emigracja wyżywała się w piórze, kraj wyżywał się jurnie, ordynarnie, mocno, prosto. Ilość szkół spadła do połowy, opłaty podniesiono, poziom w nich

obniżono. Młode pokolenia wyrastały prawie bez żadnej oświaty, niemal bez wykształcenia i nie czuły żadnej jego potrzeby. Na całe szkolnictwo szło w Królestwie rocznie 32.000 rubli. W młodym pokoleniu ziemiańskim przewodzili ci, co umieli zestawić najlepszy zaprząg, których stać było na najlepsze konie i najdroższe dziwki. Prawda, poza tym i obok tego była jeszcze konspiracja. Ale konspiracja była zwykle ogromnie niezdarna i naiwna, a przede wszystkim obejmowała nikłą i szczupłą siateczkę, rozpiętą jak pajęczyna nad olbrzymim błotem. Oto był świat, w który wrócił Wielopolski, w którym przeżył najlepsze czasy męskiego życia. Okres pełni sił.

Samotność w tej zatęchłej głuszy, jaką była popowstańcza Polska, dobrze sprzyjała tym schorzeniom. Tak było z jedyinymi przyjaciółmi, jakich jeszcze z krakowskiego pobytu posiadał Wielopolski. Któż to byli? Schorzały teoretyk Helcel, ultrakatolik Popiel, dla którego upadek Państwa Kościelnego był wstrząsem może nie mniejszym od upadku Polski, wreszcie zbieracz i szperacz Świdziński, który zdziwaczeje gdzieś na Ukrainie. Żaden z tych ludzi nie był w pełni — jak podkreśla słusznie J. Grabiec — człowiekiem normalnym. Każdy z nich był nieco dziwakiem. Ich wzajemny wieloletni kontakt — jako jedynych powierników myśli — nie mógł nie zaciążyć także i na Wielopolskim.

Jak błędne ognie ukazujące się na bagnach migotały tu i ówdzie mętne światelka panslawizmu. Chwytały się przecież nawet Mickiewicza w Paryżu — miały zwabić do Moskwy i prawosławia Czajkowskiego — Sadyka Paszę, holdował im zbieracz Świdziński. Działacz ziemiański z innych nieco stron Królestwa, hrabia Jezierski, głosi pełną ugodę z caratem i Rosją wywodząc, jaką to rolę odegra Polska po rozplynięciu się w morzu rosyjskim. Tak daleko Wielopolski nie szedł, ale były przecież i inne natchnienia. Były pisma Staszica. Sława tego politycznego pisarza poprzedniej epoki stała w owych czasach bardzo wysoko, a sprawy, jakie po-

ruszał za życia, były wciąż jeszcze bliskie. Program zaś Staszica — to było między innymi porozumienie z Rosją. I jakie jeszcze! Ów prorok polskiej myśli politycznej sejmu czteroletniego, Księstwa Warszawskiego i potem Królestwa Kongresowego pisał przecież ni mniej ni więcej, jak wprost o „narodzie”... Słowian. „Kto Europie większe od narodu Słowian uczynił przysługi?... Słowianie byli niezłomnym przedmurzem cywilizującej się za nimi Europy... Kto niezliczone hordy Tatarów, Baszkirów, Kałmuków, Kozaków i Turków stale wstrzymywał i rozbijał? Polacy. Kto zburzył i do szczytu zniszczył siedzibę kozackiej?... Rosjanie... Kto od jednego z największych wojarzy oswobodził Europę? Rosjanie”. Jak widzimy, nawet generał Żeligowski nie miałby tu nic do dodania. Albo taki oto pogląd: „Połączenie i zrzeszenie Słowian w cesarstwie rosyjskim sprowadzi zrzeszenie Europy, zniszczy w niej wojny i nada tej części świata stały pokój”. A jak brzmiały inne słowa Staszica? „Opuścił nas Zachód, nie chciał mieć w nas wdzięcznych sprzymierzeńców: będzie w nas miał zjednoczonych w słowiańszczyźnie z Rosją — panów”. Oto był program, jaki pomimo rozbiorów, Maciejowic i rzezi Pragi wygłaszał wielki polski pisarz polityczny. Margrabia czytał w swym Chrobrzu tego polskiego statystę, którego pisma były tak pełne argumentów, jak inne pisma polskie frazesów, który posługiwał się cyframi, obliczeniami, statystyką jak inni Grunwaldami i Płowcami, który był mieszczański, europejski, niemiecki prawie, niczym... jak on sam. Może nie zapalał się do myśli o „słowiańskim” panowaniu Europie, ale pamiętał z własnego doświadczenia słowa: „opuścił nas Zachód”.

W sercu tego człowieka, który był takim Europejczykiem, jak mało kto w Polsce, ale który, jak nikt może w Polsce, nie liczył już na Zachód więcej, jako że Zachód znał nie tylko z cudzych opowiadań, kołatała się jeszcze jedna „zachodnia” miłość. Była to Austria. Wielopolski zapewne po dawnemu podziwiał Wielką Brytanię, ale patrzył już na nią jak

na dalekie słońce, którego blask — niestety — nie stopi lodów nad Wisłą. Francja Ludwika Filipa grzęzła we własnym dobrobycie. Prusy bardzo podziwiał, ale uważał za wroga. — Austria była prawicowa, zachodnia, katolicka, bliska. Tędy — przez Kraków — miał swe okno z Chrobrego na świat. Tu zjeżdżał dla rozmów z Helclem albo Popiełom. Na Austrię stawiali niegdyś Myszkowscy i Wielopolscy, a on sam, potomek tamtych, próbował skierować polskie powstanie na habsburskie wody. Jako arystokrata o ambicjach politycznych musiał widzieć z satysfakcją, jak prawdziwy „pan z panów” — Klemens Lothar książę Metternich — kieruje od lat potężnym państwem Habsburgów. — Otóż ten ostatek sympatyj zachodnich wypali w Wielopolskim grom rzezi galicyjskiej.

Pamiętamy jej przebieg. Kilkanaście lat zastoju pozasypywało wiele wyrw powstańczych. Wyrastało nowe pokolenie, podatniejsze na konspiracyjne posiewy z emigranckiego Paryża. Ustalono nawet datę, kiedy miało wybuchnąć, naraz we wszystkich trzech zaborach, nowe powstanie: ostatnie dni zapustów. Były to zarazem ostatnie dni lutego 1846-tego roku. W styczniu poprzedził ów wybuch wielki zjazd konspiracyjny w Krakowie; wolne miasto, położone na pograniczu pruskim, austriackim i rosyjskim, owiane tradycjami insurekcji kościuszkowskiej, nadawało się do tego znakomicie. Wódz przyszłego powstania udał się następnie w Poznańskie. Ale policja zaborcza czuwała również — i niebawem Ludwik Mierosławski, ów przyszły wódz, został przyłknięty przez Prusaków. Krakowem zajął się inny zaborca: od Podgórza wkroczyły wojska austriackie. — Nie był to wróg dość groźny. — W parę dni później padły na ulicy Sławkowskiej pierwsze strzały; na Siennej, Szewskiej, Tomasza ukazały się zbrojne grupy i Austriacy przerażeni wycofali się z powrotem do Podgórza. Kraków był wolny. Nie zwlekając więc ogłosił powstanie „Rządu Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej“, po paru dniach z kolei i „dykta-

turę" szefa tego rządu, Tyssowskiego. Owe pierwsze dni zapowiadały się pomyślnie, zwłaszcza dla zawsze licznych w Polsce optymistów. Z Królestwa — z Miechowskiego — przyciągnęły dwa partyzanckie, powstańcze oddziały, z Wieliczki przyszli górnicy, Austriacy opuścili Podgórze, powstańcy ruszyli ku Bochni. Powstanie zaczynało się rozszerzać, ale Austria miała na nie sposób znacznie lepszy niż swoje wojsko. Rzuciła chłopstwo.

Nędzna, ciemna, głodna i ludna wieś małopolska, trzymana od stuleci w ucisku, mroku i upodleniu, podgrzewana przez radykalnych emisariuszy powstańczych, stała się łatwym narzędziem agentów starościńskich. Uspokojeni, że cesarz „zawiesił na kilka dni Boże przykazania“, że władze nakłaniają, że przyszedł „koniec na panów“, zbrojne bandy ludowe rzuciły się na dwory, często i na miasteczka, zawsze na wszelkie napotkane po drodze żywy obce i inteligencje. W ciągu paru dni Małopolska Zachodnia, pomiędzy Krakowskiem a Rzeszowskiem, zapłonęła buntem ludowym, w którym było coś z Pugaczewa i Gonty, a zarazem coś z biurokracji c.k. monarchii. Wieki biedy i ciemnoty pomściły się straszliwie. Chłopi mordowali piłami, *wykalali* oczw, rozrywali na kawałki; starostwa ustaliły tabelę nagród. Za zabitego szlachcica płać było aż 10 złotych, za rannego już tylko 8, za żywego i zdrowego zaledwie 5. Toteż ilość trupów przerastała wielokrotnie ilość uwięzionych. Po kilku dniach tej burzy ilość ofiar dosięgła dwóch tysięcy. Ziemiańskie rodziny Rydlów, Boguszów, Marynowskich, Sroczyńskich, Łobaszewskich miały po kilku zabitych. Marcina Żurowskiego przerżnięto piłą. Wśród zabitych był Marcjan Żeleński, ojciec słynnego później kompozytora. Jego wnuk miał również zdobyć sobie pewne imię w kulturze polskiej, a skończyć we Lwowie *niemniej tragicznie*. *Nazywał się Tadeusz Boy-Żeleński*. W każdym razie powstanie było tym razem stłumione w zarodku. Wojsko i starostowie austriaccy bez większego trudu rozbili lud, do Krakowa wkroczyły od-

działy rosyjskie. Po Austriakach nawet diabła przyjęto by dobrze. Rosjan przyjęto niemal entuzjastycznie.

To, co nastąpiło potem, było może gorsze jeszcze od samej rzezi. Rząd wiedeński otwarcie przyznał się do swego współdziału. Katolicki cesarz dziękował w osobnym patencie chłopom, w drugim — urzędnikom, w trzecim straży skarbowej, udzielił ulg pańszczyźnianych, rozplynał się w biurokratycznych łaskach. Najzasłużeńsi w organizowaniu rzezi starostowie otrzymali wysokie order, mniej zasłużeńi — austriackie godności szlacheckie. Monarchia uświęcająca rzeź szlachty — był to istotnie widok niezwykły. Kanclerz Metternich w nocy do dworów i rządów obcych określił pomordowanych jako „agentów komunistycznych”; i ów zarzut przyjął się tak bezkrytycznie, jak nieraz podobne zarzuty. Francuski premier Guizot mówił także o „agentach komunistycznych” w Galicji, a papież wydał breve potępiające... ofiary rzezi. Cała oficjalna, rządząca, *konserwatywna Europa była naraz po stronie Jakuba Szeli*. Biedni Bogusze, Sroczynscy i Dembińscy nie przewidywali, że giną jako bojownicy rewolucji. Nie przewidywali i tego także, że nad ich grobami pochylił się niebawem inny akt, bardziej historyczny w przyszłości niż papieskie breve, cesarski patent i kanclersko-książęca nota. „W Polsce oni (tj. komuniści) popierają partię..., która wywołała powstanie krakowskie 1846 roku”. Tak w niejakiem Manifestie Komunistycznym pisał *niejaki Karol Marks*.

To, co było wielkim ciosem dla całego narodu, było szczególnie dla Wielopolskiego. Margrabia był nie tylko Polakiem; był jeszcze człowiekiem prawicy; był wreszcie człowiekiem Zachodu. Zachowanie się europejskiej prawicy, z papieżem i cesarzem na czele, musiało być dla niego podwójnie obrzydliwe, znacznie bardziej nikczemne niż dla takiego Karola Marksa, który i o papieżu z Rzymu, i o Habsburgu z Wiednia miał swoje zdanie nader wyrobione, a zupełnie odmienne od tego, jakie wyznawał katolicki i kon-

serwatywny margrabia z Chrobrza. W oczach Marksa „Zachód“ nie był wcale takim ideałem, jak w oczach Wielopolskiego. W Paryżu dostrzegał Marks nie tylko palacową świetność Tuilleryj, ale i robotniczą nędzę ciasnych przedmieść, a w Londynie poza trawnikami wielkich, pustynnych parków widział jeszcze slumpsy doków i rudery ówczesnego White Chapel. Tak, rzeź galicyjska miała swe miejsce w systemie myślowym Marksa. Patrzył na nią jako na zjawisko nikczemne, ale łatwe do przewidzenia, mieszczące się doskonale w owym świecie, którego mechanizm i prawa tak wyraziście określił w swych pismach. Ale w systemie myślenia margrabiego to wszystko nie mieściło się wcale. Przeciwnie, burzyło to system. Wielopolski ujął za pióro. Na jesieni 1846 roku ukazały się dwa pierwsze — francuskie i niemieckie — wydania anonimowej broszury. Nazywała się ona: „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha z powodu rzezi galicyjskiej 1846 r...”

Nam ten cały zeszłowieczny świat pełen książąt-kancelarzy, margrabiów-polityków i „szlachciców polskich“ wydaje się dziś może czymś snobistycznie ciasnym i małym. Ale wówczas wcale tak nie było. Owa warstwa szlachecka czy arystokratyczna była *istotną* warstwą rządzącą Europy i zaledwie we Francji czy Anglii bywało niekiedy nieco inaczej. Od Lizbony do Petersburga i od Neapolu do Sztokholmu premierami byli ludzie „dobrze urodzeni“ i jeszcze lepiej utytułowani. Myśl, że ministrem może być profesor uniwersytetu, wydawała się lekkomyślnym szaleństwem, a pogląd, że robotnicy mogą zrzeszać się w związki zawodowe, wystarczał na długoletnie więzienie w większości europejskich krajów. Tytuły, dziś brzmiące staroświecko, wówczas miały sens polityczny, a nazwiska wymienione powyżej były czymś więcej niż ozdoba Herren Klubu z Berlina, Jockey Klubu znad Newy, Klubu Myśliwskiego z Warszawy lub Kasyna „Końskiego“ ze Lwowa. Polemika Wielopolski — Metternich była w owych warunkach mniej więcej tym, czym w dzi-

siejszych byłaby kłótnia dwóch europejskich polityków lub spór socjalisty duńskiego z socjalistą szwedzkim. Miała rezonans nie tylko w salonach, ale i w kancelariach. Była wydarzeniem politycznym.

List był pisany z pasją, z talentem, z logiką. List był wielkim aktem oskarżenia, godzącym *osobiście* w austriackiego męża stanu, w jednego z największych ludzi w ówczesnej Europie, jako w sprawcę jednej z najbardziej perfidnych politycznych zbrodni. I znowu czasy sprzed stu lat były nie tylko okresem, kiedy premierowali książęta i hrabiowie, a intrygi siostry cesarza czy ciotki najjaśniejszego pana mogły mieć wcale poważny wpływ na decyzje rządowe. Były to jeszcze czasy, kiedy żaden rząd nie podpalił swego Reichstagu, żaden premier nie wkroczył po nocy do swych pederastycznych przyjaciół, by kierować ich egzekucją — i tylko galowe przedstawienia w operach przypominały ludziom, że były kiedyś jakieś „noce Bartłomieja”, palenia Żydów na stosach lub mordowania po nocy w gościnnym zamku szkockim. — Książę Metternich był dyskretnym, starszym panem, który gdzieś w Sudetach czeskich miał swój Kingswart, niczym w Kieleckiem margrabia Gonzaga-Myszkowski swój Chroberz. Nawet jego dom wiejski — (zwiedzałem go kiedyś przed wojną) — miał rozłożystość, swojskość, bezpretensjonalność, właściwą polskim domom na wsi, a jakże inną od westfalskich burgów. Mało sobie robił z europejskiej hołoty, ulicznej czy dziennikarskiej, ale list „polskiego szlacheica“, a raczej wielkiego pana, był zgoła innym zarzutem. „Na starość, mości książę, twoja noga poślizgnęła się we krwi“.

Pisany w języku polskim list do Metternicha przeszedłby do historii literatury jako jedna z najostrzejszych polemik w wielkim stylu, znacznie mocniejsza od listu Sienkiewicza do Wilhelma II, od polemik Kollątaja, od kamiennego sarkazmu Niemcewicza. Ale list do Metternicha nie doczekał się nigdy polskiego wydania. Dlaczego? Okazji nie

brakło. Pozostaje jedno tylko wytłumaczenie. Margrabia nie chciał. List był bowiem nie tylko wypowiedzeniem wojny niemieckiej Austrii, ale i podaniem ręki słowiańskiej... Rosji. Był to pierwszy, jawny i publiczny akt Wielopolskiego prorosyjski, a także procarski. Ustępy za carem i Rosją nie były o wiele słabsze niż poprzednie ustępy przeciw Austrii. Publikując to po niemiecku i francusku Wielopolski chciał działać u góry i na zewnątrz. Francuski język był językiem elity umysłowej polskiej i rosyjskiej. Był — wraz z niemieckim — językiem najbliższego Zachodu. Do szerszych mas polskich nie chciał autor dotrzeć. Dlaczego znowu? Czy dlatego, że rozumiał, iż postępowanie rosyjskie w Polsce uniemożliwiło wszelki program porozumienia z Rosją? Czy dlatego, że nie chciał stawać w szeregach oportunistycznej ugody? Czy nie chciał dopuszczać „mas” do polityki? Może i jedno, i drugie, i trzecie.

Gdyby Wielopolski przestał być na pierwszej części swego listu, byłby zapewne zdobył nim niemniejszą popularność polityczną, jak współcześnie poeta Ujejski swym chorałem „Z dymem pożarów”. Ale Wielopolski był zdania, że jeśli się wskazuje, iż pewną drogą iść nie można, to trzeba powiedzieć, którą iść trzeba, że polityka nie polega na czystym biadoleniu ani na wskazywaniu dróg łatwych, choć zawodnych. Toteż, mimo że swego listu nie ogłosił po polsku, oberwał cieżki od rodaków. W Poznańskim — bardzo głośno — polemizował z nim Koźmian, w Krakowie — Popiel, na emigracji — stary Morawski, a w przejeździe między Paryżem, Rzymem i Opinogorą — Zygmunt Krasieński. Ale w ówczesnej Europie list margrabiego był niemniejszym wydarzeniem. Był to najsilniejszy, najbardziej donośny, najgłośniejszy protest polski wobec austriackiej zbrodni. Wszystkie inne nie przerwały europejskiej ciszy, gdy jego echa miały jeszcze długo brzmieć w powietrzu. Po wielu latach jeszcze dziesiątkami wielkich reform Wiedeń opłacał Galicji wspomnienie swej haniebnej polityki, którą dwa tylko gło-

sy potępiły w świecie równie donośnie rozdzierając zgodny
całun milczenia: Wielopolski i... Marks.

Zawód doznany w Londynie w grudniu 1830 roku pod-
ciął wcześniej w tym człowieku jego polskie zaufanie do Za-
chodu. Rzeź galicyjska 1846 roku dopełniła reszty. Uraz się
pogłębił. Odtąd Wielopolski jest już pewny, że na ów pięk-
ny, mądry, światły i podziwiany Zachód jego Polska nie-
wiele może liczyć — i zwraca się w kierunku świata, z któ-
rym tyle go dzieliło kulturalnie, cywilizacyjnie, historycznie.

PRZED STYCZNIEM

Cała polska opinia publiczna — to jest ciotki, gaduły, krzykacze — stała murem przeciw Wielopolskiemu. Za to Koźmian, Zygmunt Krasiński i generał Morawski, którzy w tej czy innej formie odpowiedzieli na wywody margrabiego, urosli naraz do formatu mężów stanu polskiego podwórka. Zwłaszcza mroczny, mętny i nadęty Zygmunt Krasiński wzbudził powszechną admirację swych ciotek. „*Quelle belle réponse*” — pisała jedna z nich o wyczynie polemicznym swego siostrzeńca: „*et je voudrais ajouter jak bardzo polska!* Oh, je suis certaine que le marquis se rongeaît les ongles de colère, et c'est bien fait pour lui, car je l'ai toujours trouvé assommant. Nie, nie, niech cały naród wywieżą lepiej en Sybérie ou jusque dans cette Kamchatka, ale z własnej woli mieć nas nie będą”. Wyprawiając szczerą ręką cały naród polski na Sybir ofiarna ciotka-Polka sama wyjechała nibawem, ale tylko do Petersburga. Właśnie na dworze carskim zaczynał się huczny jak zwykle karnawał i ciotka liczyła, że niezależnie od nieszczęść narodowych ulokuje jedną ze swych córek za jakim Naryszkinem, Tołstojem czy Oboleńskim. Jak widzimy, wszystko było bardzo po polsku. Patriotka przybrana w urok nieprzejednanej postawy płaśała po rosyjskich salonach, Wielopolski potępiony przez wszystkich pozostał tymczasem w Chrobrzu.

Ale właśnie w okresie owego karnawału mogło się naraz wydać, że to przecież nie margrabia, ale polscy emigranci na Zachodzie, a Krasińscy, Koźmiany i Morawscy w kraju.

mieli w tym sporze rację. Na Zachodzie ruszył się bowiem rewolucyjny wulkan. Właśnie w lutym stary król Ludwik Filip przepędził znenawidzonego premiera Guizot'a, tego samego, co o półtora roku wcześniej pochwalił Austrię za obrotne przeprowadzenie rzezi galicyjskiej. Guizot od kilkunastu lat przekupywał wprawnie każdorazowych deputowanych do parlamentu francuskiego, toteż w rezultacie był powszechnie niecierpiany przez tych wszystkich, których jeszcze nie przekupił, już przekupywać przestał lub też — wedle ich skromnej opinii — przekupywał za mało. Dymisja premiera jest zawsze bardzo przyjemnym wydarzeniem, toteż paryżanie uczcili odejście Guizot'a iluminacją miasta, przy okazji wybuchł zatarg z jakimś oficerem i oficer ten, zapewne w obronie munduru, kazał dać ognia do tłumu. Ale paryżanie nie lubili jakoś takich igraszek — i w dwa dni później upadła monarchia francuska. Stary król schronił się do Anglii, arcybiskup Paryża poległ na barykadach, a na tronie królewskim tłum paryski posadził zwłoki zabitego robotnika. Paryż przodował światu nie tylko w modach kobiecych, ale i politycznych. Toteż niebawem inne trony europejskie poczęły walić się także. Rok był 1848, a wiosna, jaka się niebawem zaczęła, miała nosić na zawsze miano „wiosny ludów“.

W rzeczy samej można było pomyśleć, że szeptaki konspiratorów, artykuły nielegalnych pisemek i wiersze poetów stały się naraz dniem codziennym. Z Rzymu tajnym wyjściem uciekł papież, z Wiednia w jednym ubraniu czmychnął cesarz. W Berlinie blady król pruski musiał obnażyć głowę przed uwolnionymi z więzienia rewolucjonistami, a króla Ludwika Bawarskiego wyrwali niedyskretni poddani prosto z ciepłych objęć Loli Montez. Co to był za rok! Wydawało się, że tym razem naprawdę nastąpił koniec świata. Większe, małe, całkiem maluśkie trony waliły się lub chwiały, w krajach, gdzie nie wolno było pisać słówka „konstytucja“, teraz pisano całe szpalty o nowych zbawczych projektach.

lokatorzy przestawali płacić czynsze, chłop pracować na pańskim, lokaje wstępowali do gwardii narodowych, mieszczanie bawili się w home-guard'dzistów. Zdawało się, że tym razem nadeszła też niechybnie owa „wielka wojna ludów”, o którą tak gorąco modlił się Mickiewicz. Pod pewnym względem sprawa polska wypłynęła istotnie na powierzchnię, albowiem lekkomyślne ludy chwytając za broń zapraszały sobie na wodzów — polskich generałów. Znakomici ci mężowie byli przeważnie bezrobotnymi od 1831 r. i dość bezskutecznie poszukiwali sobie posad w Portugalii, Belgii czy Egipcie. Nanudziwszy się dosyć postanowili pokazać raz jeszcze, co potrafią. Toteż niebawem generał Chrzanowski przegrał w Lombardii, Bem w Wiedniu, Dembiński na Węgrzech. Przegrane nie są zazwyczaj tym, czego się spodziewają narody po swych generałach, toteż sława oręża polskiego nie zyskała na tym nigdzie, prócz oczywiście Polski. Tu nikt nigdy nie pytał żadnego generała, co zrobił z powierzoną mu dywizją, pułkiem czy brygadą. Wystarczyło, że sam się uratował. Kraj szeptał więc tylko nabożnie tajemnicze słowa, że „Polacy się biją”. Pytanie, czy biją innych, czy też raczej sami są bici, wydawało się wszystkim czymś zupełnie drugorzędnym. Zresztą tylko chyba bardzo źli Polacy mogli w ogóle stawiać sprawy w tak wysoce niepatriotyczny sposób...

Ale i teraz, jakby na złość opinii publicznej, nie stał się zaden z tych „cudów”, na które z roku na rok czekali polscy mężowie stanu — i na które nakazywali czekać innym. Stało się nawet przeciwnie. W pewnym momencie wody rewolucji zatrzymały się, a niebawem zaczęły w ogóle opadać. W Paryżu zdjęto czerwone sztandary i prezydentem nowej republiki został książę Ludwik Napoleon Bonaparte: droga do nowej monarchii była już otwarta. Do Rzymu wrócił ten sam papież, do Wiednia wprowadził inny cesarz, ale za to ta sama policja. Armie habsburskie zgniotył ogień rewolucyjny Włoch, a wrzód rewolucji węgierskiej przekłu-

to pożyczonym bagnietem rosyjskim. Wiosna ludów odbiła się tragicznym echem w Galicji, przelotnym w Poznańskim, ale zatrzymała się u wrót zaboru rosyjskiego. To znaczy, że dwie trzecie ziem polskich w ogóle nie zaznały jej wstrząsu. Powoli w Europie robotnicy wracali do fabryk, chłopci do pluga, konstytucje do archiwów, a szpicle do pracy. Na Zachodzie było trochę znośniej. Ale w Polsce było dalej to samo. Nie, nowa rachuba na Zachód zawiodła także. Toteż ciotki hrabiego Zygmunta wróciły z powrotem do mód i do plotek orzekając, iż ich zdaniem polityka jest w ogóle brudnym zajęciem. Hrabia Zygmunt poświęcił się na nowo Delfinie i poezji, a za to Wielopolski pokazując się w Warszawie mógł mieć zawsze smutną pociechę, że po niewczasie będą do niego przybiegali ci wszyscy, którzy jeszcze pół roku temu uważali go za większego wroga Polski niż samego cara. Nie, nie ulegało wątpliwości, że raz jeszcze ten nieprzyjemny, wyniosły, opryskliwy człowiek miał rację. Zachód ma za krótkie ręce. Nie dosięgną one do Wisły i spraw nad Wisłą nie zmienia. A przecież marzono nie tylko o Wiśle. Marzono jeszcze o Dźwinie, Berezynie i Dnieprze...

Przez jakiś czas wielki organ emigracji paryskiej, „Wiadomości Polskie”, dowodził, że jeśli zawiodły „ludy”, to przecież nie zawiodą „gabinety”, to jest rządy zachodnie i że to, czego nie dokonała burza rewolucyjna, zostanie dokonane przez chłodny plan mężów stanu. Jest więc jeszcze pewna nadzieja. I istotnie, wybuchła wojna krymska. Okazało się, że Zachód nie będzie tolerował żadnego pochodu rosyjskiego ani żadnej ekspansji rosyjskiej, że w pewnym momencie potrafi też powiedzieć „nie” i że potem ów moment będzie dla Rosji bolesny. Kiedy więc car zagroził Turcji, doszło do wojny. U boku sultana stanęły armie królowej Wiktorii i cesarza Napoleona III, który, jak widzimy, potrafił szybko porzucić tytuł „księcia-prezydenta”. Nawet mała Sycylia, która jeszcze nie była Królestwem Włoskim, przyłączyła się do tej wyprawy na Rosję w nadziei, że za męstwo swych

pulków nad Morzem Czarnym otrzyma zapłatę we Włoszech. Naraz, ku niespodziance Rosjan, bandery kilku narodów przepłynęły Bosfor, międzynarodowy desant wylądował na Krymie i gazety przez szereg miesięcy były pełne wiadomości o żuawach, cholerze, Sewastopolu, Malakowie, szarży pod Balakławą. Przystąpiono do organizacji międzynarodowej instytucji, którą nazwano „Czerwony Krzyż”, a królowa Wiktoria stworzyła nowy order wojenny: Victoria Cross. Jeśli w obecnej wojnie któryś z Rosjan dostalby to wysokie odznaczenie brytyjskie, to byłby to tylko pewien zwrot: albowiem krzyże Victoria Cross są odlane ze spiżu rosyjskich armat zdobytych przez Anglików na Krymie...

Nauka, jaką w wojnie krymskiej otrzymała Rosja, była bolesna, ale bardzo pożyteczna. Już to nieraz tak bywa, że klęski wojenne przynoszą bardzo korzystne ocucenie, jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne, bo uświadamiając błędy wykazują konieczność reform. (Klasycznym tego przykładem była w XVIII wieku wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych, po której, gdy zakończyła się dla Anglików klęską, przyszedł w Anglii okres pożytecznych zmian). Wojna krymska uświadomiła naraz znacznej części społeczeństwa rosyjskiego całą fatalność, głupotę i zmurszałość trzydziestoletnich rządów mikołajewskich. Polityka zagraniczna Mikołaja I-go, oparta na przymierzu cara z państwami absolutnymi, jak Austria czy Prusy, została skompromitowana; okazało się, że i Prusy, i Austria zawiodły Rosję najzupełniej, ba, niewiele brakowało, by nie wystąpiły — zwłaszcza Austria—przeciwko niej. Tak wyglądała habsburską wdzięczność za uśmierzenie Węgrów w roku 1848! Polityka wojskowa Mikołaja I-go zawiodła jeszcze skandaliczniej; wprawdzie żołnierzowi rosyjskiemu niesposób było odmówić męstwa, ale zato całe dowództwo, wychowane osobiście przez cara, okazało zupełną niezaradność, safandulstwo, tępotę i brak organizacji. Wreszcie ambitne plany carskie i sny o Konstantynopolu legły w gruzach pod Sewastopolem

i Małakowem. Rosja, na swe szczęście, była jednak krajem dosyć zdrowym, aby choć po klęsce zdać sobie sprawę, że tak dalej być nie może i że ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Jeszcze nim zawarto pokój, niekorzystny dla Rosji, nieomal w chwili, gdy zwłoki zmarłego cara Mikołaja, który nie przeżył klęski, wystawiono na widok publiczny, nowy car, Aleksander II-gi, rozpoczął energiczną czystkę. Po Rosji powiało nagle słabym, ale pierwszym zefirkiem liberalizmu.

Pokój, jaki mocarstwa zachodnie zawarły niebawem z Rosją, był dla niej niewątpliwie niekorzystny, ale nie znaczyło to wcale, by był przeto w czymkolwiek korzystny dla Polski. Szumne, liczne i wielokrotne obietnice wojenne aliantów zachodnich raz jeden jeszcze w historii — nie ostatni niestety! — zamarły jakoś bez żadnego śladu w przedpokojach gabinetów, gdzie omawiano i podpisano warunki pokoju.

Pokój ten uratował Turcję, osłabił Rosję, wzmocnił Anglię na Bliskim Wschodzie, a Napoleona III w Paryżu, nieco poprawił szanse biednej Sardynii oraz całkowicie zignorował Polaków. Pominięto ich zupełnie. W traktacie pokojowym, na konferencji mocarstw, wszędzie. Wbrew zapowiedziom tylu światłych, cenionych i podobno „znających Zachód“ Polaków, po raz nie wiem już który, doznaliśmy zupełnego zawodu. Po raz też nie wiedzieć który, wbrew tylu uroczystym obietnicom, Opatrzność Boska nie uczyniła cudu. I raz jeszcze, jakby na złość wszystkim, rację miał cet assommant Wielopolski. Było to ogromnie przykre dla przyjaciół pompatycznego generała Morawskiego, dla tych, co cenili bystrość myśli starego pana Koźmiana, oraz dla familijnego gremium admiratorów, a zwłaszcza admiratorek długonosego hrabiego Zygmunta. Ale trudno, nie było rady, nie można było nawet przeinaczać. Doprawdy, los się był zawziął na tę nieszczęsną Polskę. Wszyscy mylili się tu zawsze i rację miał zawsze samotny w tym kraju: Aleksander Wielopolski.

Na domiar złego zaczęła się zmieniać pewna sytuacja wewnętrzna, a ponieważ w Polsce tylko śmierć może przynieść jakieś zmiany, więc też zmieniała się poprzez śmierć. Najpierw, jakśmy rzekli, umarł główny wróg Polski, car Mikołaj. Śmierć ta oznaczała bardzo wiele. Mikołaj I był bowiem jednym z najbardziej klasycznych monarchów z Bożej łaski, jakich ziemia kiedykolwiek nosiła. Historycy, którzy pomawiali go o nacjonalizm, nie mieli racji. Był to przede wszystkim car absolutny, któremu Filip II hiszpański, łacinnik i ultrakatolik, Ludwik XIV francuski lub którykolwiek z wiedeńskich Habsburgów był stokroć bliższy duchem niż otaczający go rodacy i współcześni. Ten car był kosmopolitą legitymizmu. Gdyby mu dano do wyboru, aby był nadal królem z Bożej łaski, ale w Brazylii, lub też, aby pozostał władcą w Rosji, ale władcą konstytucyjnym, jak jakiś Ludwik Filip czy królowa Wiktoria, na pewno ten car prawosławny zapakowałby do walizy parę ikon i odznak pułkowych — i wyemigrowałby do Brazylii. Jeśli ten car nienawidził Polaków, to przede wszystkim dlatego, że buntowali się przeciwko temu ustrojowi państwowemu, który jemu, Mikołajowi, najbardziej się podobał; to, że Polacy mówili inną mową niż Rosjanie, chodzili do kościołów, a nie do cerkwi i mieli w herbie białego, a nie dwugłowego orła, to byłyby jeszcze usterki zupełnie do darowania. Mikołaj I nienawidząc buntowniczych Polaków poczuwał się za to do solidarności ze swym sąsiadem, z Bożej łaski królem pruskim i drugim swym sąsiadem, z Bożej łaski cesarzem austriackim. W jego oczach Czesi albo karpaccy Rusini z Užhorodu, buntujący się przeciwko temu cesarzowi, byłiby tylko buntownikami, również wstrętnymi jak Polacy; a Rosjanie z młodszej generacji, którzy w tych ludach widzieli pobratymcze szczepy, wydawali się mocno podejrzani o nieblagonadziejność. Ale jego syn, Aleksander II, był inny. Widział w Rosji konieczność, niewyraźnych co prawda, reform, doceniał ogrom cywilizacyjnego dystansu, jaki rośnie

z każdym rokiem między Rosją a Zachodem, a wreszcie rozumiał, że jego ojciec był donkiszotem wśród monarchów europejskich; śpieszył im zawsze na pomoc, ale oni jemu nie odwzięczali się nigdy. Gdzie szukać aliantów? Od Adriatyku aż po Bałtyk i od Morza Czarnego aż po Odrę bytowały ludy wchodzące w skład obcych państw, podległe obcym sobie berłom, a mówiące mową zbliżoną lub pokrewną tej wielkiej mowie, jaka szumiała poprzez ziemie rosyjskie potężnym spływem Wolgi. Nie, Aleksander II nie miał wiele serdecznych uczuć dla swoich kuzynów z Berlina czy sąsiadów z wiedeńskiego Schönbrunnu. Natomiast wiedział, że po wsiach słowackich, po monasterach serbskich, wśród inteligentów kaszubskich i etymologów czeskich mówi się wiele o Rosji podczas długich wieczornych rozmów — a zarówno rosyjscy poeci, jak petersburski wywiad i cesarska dyplomacja powiadały go, że to wszystko są siły, które przecież są warte uwagi.

Mniej więcej w rok po śmierci Mikołaja I zmarł jeden z jego głównych współpracowników, mianowany przez niego hrabią, feldmarszałkiem oraz dwa razy księciem, a wreszcie faktycznym wice-królem Królestwa Polskiego. Srogi książe Paskiewicz-Erywanskij-Warszawskij rządził Warszawą i krajem od września 1831 r. i był to prawdziwy książe udzielny, który z jednej strony trzymał krótko Polaków, z drugiej strony odpychał od Warszawy ingerencję petersburskiej centrali. Następcą jego został chwilowo stary generał Wincenty Krasiński, który swe przywiązanie do Napoleona przeniósł z kolei na trzech po sobie następujących rosyjskich carów, a piękną kartę legionową na polach bitew od Madrytu po Moskwę uzupełnił w późniejszym wieku czterema dziesiątkami serwilistycznych lat. Był to, jak wiemy, ojciec Zygmunta Krasińskiego. Ale Wincenty Krasiński umarł również dosyć prędko i przy jego trumnie naród zapominał o wszystkich wyrzutach, jakie mu robiono: namiest-

nik carski był chowany z pompą, jaką Polacy lubią rozta-
czać przy pogrzebach.

Wszystkie te śmierci odmieniały polityczne oblicze kra-
ju. Zamiary reformistyczne cara dochodziły echami nad
Wisłę. Po klęsce krymskiej Rosja czuła się mniej pewna,
rosyjski żandarm i urzędnik był mniej hardy. A wreszcie
ktoś, kto chciał pozyskiwać sobie Słowian, ujarzmionych nad
Wełtawą. Dunajem. Wagiem, a może i Odrą, nie mógł rzą-
dzić nahajem nad Niemnem i Wisłą. Oto, jakie zmiany na-
stawały w tym kraju po bardzo długim okresie zastoju.

Los sprawił, że przychodziły one wtedy, kiedy Aleksan-
der Wielopolski był u kresu sił męskich, a na progu starości.
Najbardziej znane jego portrety dochowały się właśnie
z tych czasów. Widzimy na nich otyłego starszego pana,
o krótkich, siwych i zmierzwionych włosach, o bokobrodach,
które nadają twarzy nieco lwi wygląd. Zawsze ma na tych
portretach brwi ściągnięte ponuro, jakiś gniewny wyraz
w ustach i tylko zarys brody i układ szczęk znamionują
w tym człowieku jego dawną, zapisaną przez współczesnych,
wolę.

W tym właśnie okresie margrabia był już nawet dziad-
kiem. Na parę lat przed wojną krymską jego syn Zygmunt
ożenił się z austriacką arystokratką, księżniczką de Monte-
nuovo. Wzmiankujemy o tym małżeństwie, bo napsulo ono
wiele krwi w wielu arystokratycznych salonach, które wów-
czas urabiały poglądy polskie i powiększyło walenie niepo-
pularność Wielopolskiego. Synowa margrabiego była ni mniej
ni więcej tylko wnuczką pierwszego austriackiego cesarza—
tego samego, na cześć którego ułożył Haydn swój melodyjny
„Hymn ludów“. Była to bowiem córka owej arcyksiężniczki
Marii Ludwiki, która była żoną Napoleona (i matką „Orląt-
ka“), po jego upadku została księżną Parmy, a jako kochli-
wa i rozbudzona kobieta wyszła niebawem za mąż, oczy-
wiście morganatycznie, za następcę jej przez Metterni-
cha generała Neiperga. Potomstwo nosiło tytuł książąt Mon-

tenuovo i jedna z nich właśnie wniosła w dom Wielopolskich swe habsburskie alianse, włoski tytuł, a także klejnoty, darowane ongiś Marii Ludwice przez samego Napoleona.

To świetne małżeństwo podniosło oczywiście prestige Chrobrza, ale jednocześnie wzmoгло niesłychanie owe drobne zawistki i zawiści, jakich już tyle zdążył nagromadzić wokoło siebie margrabia. Młody Wielopolski, przystojny i sympatyczny, był świetną partią dla niejednej Krasińskiej, Tyszkiewiczówny, Radziwiłłówny czy Potockiej; a tu jakaś cudzoziemska wywłoka sprzątnęła go sprzed nosa! Po drugie, w polskiej arystokracji takie świetne małżeństwa europejskie były w gruncie rzeczy bardzo nie lubiane, zwyczaj małżeństw wśród kuzynów i kuzynek dogadzał najlepiej zasadom wzajemnej równości Tarnowskich i Potockich. W Warszawie powiedziano sobie, że pycha margrabiego będzie teraz „bez granic” — i w ten sposób nawet taki drobiazg miał dla przyszłej kariery starego samotnika z Chrobrza niepomyślne, a nie najmniejsze znaczenie. A właśnie ze społeczeństwem trzeba się było niebawem bardzo poważnie liczyć.

Ale pogłębianą niepopularność wśród tej wpływowej, lecz szczuplej warstwy nie byłaby jeszcze wystarczająca. Cóż, gdy niebawem poszerzył ją wypadek inny! Był to znowu proces. Wielopolski — pamiętajmy o tym — był prawnikiem z wykształcenia, nie tylko filozofem i jego wiedza prawnicza kojarzyła się dobrze z temperamentem zapalczwym, wojowniczym, nie uchylającym się przed walką. Już kiedyś stoczył taką walkę w celu odzyskania utraconych połaci Chrobrza. Teraz — w latach 1857—1860 — miał ją stoczyć o inną stawkę. Także zresztą chodziło, acz odmiennie nieco, o Chroberz.

W tym bowiem czasie zmarł był na Ukrainie Konstanty Świdziński, przyjaciel całego życia, powiernik wielu trosk i rozmów. Był tak samo, jak wielu ludzi w tym kraju, synem zmarnowanej warstwy, której anormalne warunki politycz-

ne niewoli nie pozwoliły się wybić. Pomnożył i on także ilość dziwaków. Snuł mętne koncepcje słowianofilskie, po trosze i ludowe, poróżnił się z rodziną, wyniósł na Ukrainę, skąpił i sknerzył. Ale jednocześnie zgromadził zbiory wszelkich krajowych starożytności i zbiory te były skarbem ogromnym. Powiadano, że przekupywał mnichów prawosławnych po klasztorach, służbę biskupią, archiwariuszy rosyjskich, osobiście zaś okradał z cennych dokumentów swych kuzynów czy przyjaciół ziemskich. Roztrwonił na to całą fortunę i resztę życia. Ale też zebrał naprawdę rzeczy nieocenione i historycy, zwłaszcza rosyjscy i ukraińscy, oparli się na nim. Co się stanie z tymi zbiorami? Świdziński dawno już to przewidział; zbiory jego dostaną się Zygmuntowi Wielopolskiemu, synowi przyjaciela; w Chrobrzu, a może w Warszawie powstanie w tym celu fundacja, powierzona Wielopolskim. Ostateczny zapis nie był zbyt wyraźny. Mówił o fundacji, mówił też o Wielopolskim. To pewna, że wydziedziczał rodzinę. Po śmierci Świdzińskiego margrabia zebrał te zbiory z różnych miejsc, przewiózł do Chrobrza i począł budować okazały gmach na ich przyjęcie. W ten sposób Chroberz stałby się nie tylko rezydencją magnacką, ale narodowym przybytkiem pamiątek.

Świdzińscy nie myśleli o odejściu z kwitkiem, a przynajmniej pomyśleli o tym, aby to, co im odjęto, nie dostało się i ich konkurentowi. Proces przeciw Wielopolskiemu o oddanie im spadku chybilby celu. Wola Świdzińskiego wydziedziczająca rodzinę była sformułowana wyraźnie. Proces Wielopolski—Świdzińscy nie interesowałby ogółu. Utraciwszy nadzieję odzyskania spadku dla siebie Świdzińscy postanowili jednak nie dać go i margrabiemu. Trzeba przyznać, że zabrali się do tego umiejętnie. Weszli w kontakt z opiekunami zbiorów ustanowionymi zapisem: zaatakowali nie sam zapis, ale myśl umieszczenia go w Chrobrzu. Czyż nie lepiej stworzyć gdzieś w Warszawie ogólno-naro-

dową fundację? Sprawa tak postawiona mogła poruszyć opinię. Nie był to już spór o to, czy pewien majątek i zbiory przypadną tej czy innej rodzinie ziemiańskiej. Teraz chodziło o to — przynajmniej z pozoru — czy będą one własnością „narodową“ — ogółu, czy prywatną — magnata; czy będą w Warszawie pod boki wszystkich, czy też w zapadłym Chrobrzu; czy do rzędu różnych społecznych godności, prezesur czy kuratorstw, przypadnie jeszcze jeden tytuł — kuratora zbiorów po Świdzińskim? Ceniono wówczas w Warszawie takie tytuły jeszcze bardziej niż za naszych czasów. Poważny ziemianin, marszałek szlachty wołyńskiej, szambelan cesarski, czuł się dopiero szczęśliwy, gdy mógł piastować jeszcze tytuł „kuratora szpitala świętego Rocha“. — Bohater jednej z nowel Sienkiewicza pisał na swym bilecie: „były radca stanu w byłej Radzie Stanu Królestwa Polskiego“. Był to szczegół, ale nie najmniej ważny.

Czy możemy tak bardzo dziwić się margrabiemu, że zbiorów nie chciał oddać? Któż by je oddawał? Były zapisem przyjacielskim, na pewno nie wyludzonym. Podnosiły tak pięknie prestiż rodzinnego Chrobrza. Zajął się nimi tak pieczołowicie nazajutrz po śmierci Świdzińskiego. Budował dla nich pomieszczenie istotnie okazałe. W dodatku Wielopolski wiedział dobrze, jak wyglądają w polskiej praktyce podobne fundacje narodowe, oddane w ręce „przedstawicieli społeczeństwa“. Czy nie lepiej, gdy będą one pod strażą rodziny o tradycjach kulturalnych, gdzie świetność nazwiska będzie nakazywała pieczę puścić? Dość, że margrabia odpowiedział odmownie. Rozpoczął się proces. W trzech instancjach wygrywał go Wielopolski. Za każdym razem przegrywał go w opinii.

Do opinii polskiej wszystkich czasów rzadko kiedy przemawiało chłodne, logiczne i formalne rozumowanie prawne; znacznie silniej przemawiały frazesy. W tych ostatnich Świdzińscy byli na pewno znacznie zręczniejsi niż margra-

bia. Być może, że on po prostu nie zniżał się do tej broni. Im bardziej anarchiczna, samowolna i kapryśna bywa polska opinia, tym częściej zwalcza wybitne, lecz samotne jednostki, tym skorzej przeciwstawia im popularne zera i miernoty. Pamiętajmy, że kraj nie miał normalnego życia politycznego, parlamentu, rządu, wolnej prasy, wyborów, Toteż zebrania jakiegoś Towarzystwa Rolniczego stawaly się namiastką sejmu, którego nie było, rząd jakiegoś towarzystwa dobroczynności — rodzajem rządu in spe, bal — politycznym zebraniem, wenta — wiecem, sala sądowa — trybuną. W normalnie żyjącym kraju proces Wielopolski-Świdziński byłby tylko procesem; tu stał się polityczną sprawą. Przed sądem margrabia ją wygrywał; przed opinią przegrywał. Przypomniano sobie „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha“; z Paryża „Wiadomości Polskie“ dogrzewały wspomnieniami z 1831; a i proces Szanieckiego powracał echem sprzed lat trzydziestu. Portret Wielopolskiego zarysował się jako formalisty, obstawiającego się zręczniami paragrafami, chciwego na własny zysk, obcego na „dobro narodu“. Jak wiadomo, im większe u nas kanale, tym częściej dobro narodu mają na ustach, a przemawianiem w imię narodu trudnią się zawsze ci, co do tego najmniejsze mają prawa. — Toteż Wielopolski musiał przegrać.

Kiedy Świdziński znowu podjęli proces, uprzednio już przegrany we wszystkich instancjach, margrabia osądził, że dość w to włożył pieniędzy i energii. Poszedł więc na kompromis. Zbiory przeszły do Warszawy. W pamięci ludzkiej pozostała po tylu sporach tylko sylwetka samotnika, idącego w poprzek dążeniom narodu, niebaczego na wskazania opinii, na głos publiczny i tak dalej, i tak dalej. Było to bardzo złe przygotowanie, aby zostać wodzem tego społeczeństwa. Ale też miało ono innych kandydatów na wodzów.

*

Owo społeczeństwo, z którym Wielopolski był tak wytrwale na bakier, nie nosiło już, rzecz jasna, kontuszy, nie jeździło na sejmiki i trybunały, ale było w dalszym ciągu społeczeństwem nie tylko ziemiańskim, lecz szlacheckim. Pełno pań przyjmujących w salonach Warszawy było córkami autentycznych wojewodzin, kasztelanowych, podskarbin i podkomorzyn z ostatnich lat Rzeczypospolitej; wielu ludzi bywających na sali jadalnej „Europejskiego” hotelu było synami posłów sejmu czteroletniego, wnukami targowiczian, ba, nawet — jak powieściopisarz Henryk Rzewuski — po prostu ich synami. I obyczaj był ten sam. Cóż mogło go zmienić? Miasto było ubogie, dość niemieckie i dość żydowskie; o wsi nie ma co gadać; inteligencję miejską wydrenowało z jej najlepszych sił tamto, listopadowe powstanie, emigracja i ucisk paskiewiczowski. Przeto pod pozorami nowych czasów nurtowało dawne życie. Tym nawet podobniejsze do dawnego — to jest „saskiego” — że popowstaniowy upadek oświaty przekreślił to, co zrobiły czasy Stanisława Augusta. Powiększył ciemność.

Spółeczeństwo szlacheckie dawnej Polski odnajdywało w regionalnych magnatach swych wodzów, opiekunów, przewodców. W XVII czy XVIII wieku Litwa głosowała, jak jej kazał Radziwill; Ukraina — wedle Potockich; w reszcie Polski „wykraiwali” sobie sfery wpływów Czartoryscy; pomniejsi, jak się dało. Ale w XIX wieku z odpadnięciem Litwy skończył się radziwillowski Nieśwież, z przyłączeniem Ukrainy do Rosji — dzieje Tulczyna, Niemirowa czy Sofiówki Potockich; a powstanie listopadowe dało wprawdzie Czartoryskim widmowy tron w paryskim Hotel Lambert, ale przekreśliło skonfiskowane przez cara Puławę. Trony magnackie zatem padły. Jeden pozostał. Zamość. Zamość, a ściśle Klemensów, był dalej w ręku Zamoyskich. A Zamoyscy należeli do najpierwszych magnatów polskich, lepszych — na to zważano wtedy — od Wielopolskich. Lepszych, a także bardziej wpływowych. A także bardziej polskich.

Można by bez wielkiej przesady utrzymywać, że niemal każda dynastia magnacka w Polsce posiadała swoją fizjonomię, dziedziczoną przez wszystkich wybitniejszych przedstawicieli rodu, po społu ze srebrami, borami, stadninami i nazwiskiem. Radziwiłłowie byli ambitni i rządni, gdy Czartoryscy ambitni i marzycielscy; Potoccy patrzyli na majątek i popularność; Sapiehowie byli zabijaccy i z gestem, nieraz płytkim zresztą. U Zamoyskich przeważała szlachetność i — frazes. Ongiś, z wielkim Janem Zamoyskim, który w jednym ręku skupiał za dwóch królów buławę hetmana i pieczęć kanclerza, niczym godność naczelnego wodza i premiera w naszych czasach, ród ten wyrósł ze średniej szlachty na barkach masy szlacheckiej do magnaterii. Dla mas szlacheckich XVI w. Jan Zamoyski był takim samym „trybunem ludu“, jak Wincenty Witos dla mas chłopskich XX-tego. Tak samo, jak później Witos ziemiaństwo, tak tamten spychał oligarchię, aby dać miejsce, władzę i ziemię olbrzymim rzeszom chodackowych, jednodymnych i półwłókowych szlachciców, na pewno nie wiele zamożniejszych i nie o wiele bardziej oświeconych od tych chłopów, co w 1922 roku oddawali swe głosy na listę „Piasta“. Prawda, że sam Jan Zamoyski poszedł potem „w wielkie pany“, jego dziedzice w senatory, że Zamość stał się jedną z największych ordynacyj w Polsce, wielokrotnie większą od margrabiowskiego Chrobrza. Ale coś przecie pozostało z tych demokratycznych zaczątków i Zamoyscy byli czymś bliższym braci szlachty niż inni magnaci, bardziej się kumający z nimi, a także z nawyku atawistycznego radzący, jak ich tam stać było, o „dobru rzeczypospolitej“. Panie Kochanku Radziwiłł tyle, że pił i bredził; oni jeszcze radzili. Gorzej, mądrzej, całkiem niemądrze, dostosowując się zwykle do ogólnego poziomu ziemiańskiej umysłowości — ale radzili. Teraz tak samo radził „pan Andrzej“.

Był to brat ordynata na Zamościu, pan na Klemensowie, największy właściciel ziemski w Królestwie Polskim. Jego

brat, generał Władysław Zamoyski, człowiek o niepospolitym uporze, zaciekłości, charakterze, doktrynerstwie, był jednocześnie na emigracji istotną sprężyną paryskiego Hotełu Lambert Czartoryskich, premierem-widmem polskiego „króla-widma” — księcia Adama. Poglądy „pana Andrzeja” były mniej namiętne, może łagodniejsze, ale pewno nie inne. W 1831 roku posłował imieniem powstania do Wiednia, potem został w kraju i odtąd... czynił w swoim kółku, „co każe duch Boży”. Był to w każdym calu jak najbardziej przeciętny człowiek. Gdyby nazywał się Wolski, albo Klemensiewicz, albo Porzecki, to jest, gdyby zamiast Zamoyskim był sobie przeciętnym szlachcicem ziemiańskim spod tego samego Zamościa, nawet w jego powiecie słyszano by o nim mało. Tyle, że czytałby więcej niż inni (nie o wiele więcej); że gospodarowałby nieco lepiej niż inni (ale też tylko nieco) i że jego spokojny, flegmatyczny temperament umożliwiłby mu żywot mniej wódczany, szampański, karciarski i dziwkarski niż bardziej jurnym od niego szlagonom powiatu. Margrabia nie urodziwszy się Wielopolskim wybilby się zawsze; pan Andrzej Zamoyski — nigdy. Margrabia urodziwszy się synem szewca dorwałby się kiedyś do barykad, Sybiru, emigracji, szubienicy; urodziwszy się synem jakiegoś koncypienta czy belfra wyszedłby na konspiratora, wydawcę nielegalnych pism, emisariusza, komunarda. Pan Andrzej jako syn każdej innej warstwy, a nawet rodziny, nie wybilby się wcale. Gdyby Polska żyła normalnym życiem jakiejś Belgii, Francji ówczesnej czy Prus, zajmowałby co najwyżej drugorzędne stanowisko, też zawdzięczane zresztą nazwisku i fortunie. Ale w stosunkach ówczesnej Polski wyrósł na postać polityczną.

W owym ciemnym okresie, kiedy to Wielopolski z Chrobrego czmychał choć do Krakowa, by uraczyć się przynajmniej lekturą nowych numerów „L'Avenir'u”, „Revue des deux mondes” czy czymś w równie katolickim guście, pogwarzyć z Pawłem Popielem i Zygmuntom Helclem, pan

Andrzej osiadł w swym Klemensowie, na ordynacji obejmującej coś trzy powiaty, tonącej w lasach i w mroku epoki. Obowiązkowość, właściwa Zamoyskim nawet wtedy, gdy biorą za ciężkie na siebie obowiązki, kazała mu szukać, czym byłby przydatny. Skromność — pan Andrzej miał tę częstą u Zamoyskich cechę — powiedziała mu, że tak wiele możliwości nie miał. Ale przecież dobrym gospodarzem mógłby być? W tym miał rację. Andrzej Zamoyski otarł się za młodu o Zachód. Uczył się w dobrych szkołach szwajcarskich oraz na uniwersytecie edynburskim. Ponieważ wtedy nie panowało jeszcze w Polsce zdanie, że zajęcia natury kosszarowej są najwłaściwsze dla młodzieży, przeto mógł owe studia skończyć. Gospodarować zaś lepiej niż przeciętny ziemianin polski było o tyle nie trudno, że trudno było w ogóle gospodarować gorzej. Nie, trzeba było koniecznie upodobnić polskie rolnictwo do Europy: a któż ma dać przykład, jeśli nie ten, co jest „pierwszy w powiecie“? I to niejednym powiecie. Ale jak? Pan Andrzej znał naturę szlachecką. Począł tedy w określonych okresach spraszać do siebie ziemiaństwo z daleka i z bliska na kilkudniowe zebrania. Snobizm, łakomstwo — kuchnia w Klemensowie uchodziła za znakomitą, dobre wina — w Klemensowie i piwnica była „wedle stanu“ — robiły swoje. W dodatku, co dla każdego Polaka jest drogie, można się było nagadać i wygadać. Szlagoni spod Kutna, Hrubieszowa, Końskiej Woli i Psiej Wólki ściągali więc jak węgorze na tarło, jedli, pili, a przede wszystkim — gadali. Gdyby jeszcze mogli zasiać do kart, byłoby to ideałem, ale niestety gospodarz te rzeczy zwalczał; a Zamoyskiemu oprzeć się nie śmiano. Natomiast rządcy Zamoyskiego pokazywali gościom a to nowe ogiery i kłacze, a to nowe buhaje, nowe rasy krów, merynosów, nowe pługi, brony, zasiewy. Stajnia obchodziła szlagonów więcej, obora znacznie mniej; zamiast zapoznać się z nowymi systemami uprawy zbóż chętniej zapoznaliby się z nowymi rodzajami chartów i wyźłów — o, to by była

pożyteczna inowacja! Ale ostatecznie zapoznali się z tym, co było. Tak powstały „zjazdy klemensowskie“. Tak też urosła sława „pana Andrzeja“. Nie była mała. Wszak, gdy umarł, pełno ludzi było zdania, że jego zwłoki trzeba ponieść na Wawel.

W bliższych nam czasach badania Władysława Grabskiego prześwieciły nieco wartość gospodarczą owych gospodarskich zjazdów: okazuje się, że była ona znacznie mniej imponująca, niż to w swoim czasie myślano. Pewno, że na zupełnym bezrybiu, było to coś; ale było to bardzo, bardzo mało. Niemniej polityczne znaczenie było bardzo znaczne. Zjazdy klemensowskie, a potem wyłonione z nich po śmierci cara Mikołaja Towarzystwo Rolnicze, stały się prawdziwą instytucją narodową, sejmem w braku sejmu. Tu opinia przodującej warstwy formułowała się, stąd rozprzestrzeniała się. Jakaż ona była? Domorosła. Warstwa ziemiańska — podobnie jak i mieszczańska zresztą lub, z innych racyj, chłopska — nie chciała nowego powstania, pamiętna skutków poprzedniego. Ale pamiętna prześladowań rosyjskich nie chciała też zgody z Rosją. Trwała tedy w stanie, który moglibyśmy określić słowami: „ni pokój, ni wojna“. Przy niezdolności do decyzji, znamiennej dla Polaków, był to oczywiście stan arcywygodny. Z jednej strony nie można było tym patriotom zarzucić, że zrzekają się czegokolwiek na rzecz kogokolwiek; z drugiej trudno było powiedzieć, że walczą. Był to stan rzeczy bardzo wygodny dla jednostek; — bardzo niewygodny dla narodu. Olbrzymia warstwa, potężne liczebnie, wpływowe stronnictwo było bez zdefiniowanej koncepcji. Bez programu.

Miejsce programu, jak zwykle bywa w świecie, a już szczególnie w Polsce, zajęły z konieczności frazesy. Tak już jest zawsze. I właśnie „pan Andrzej“, ordynat na Zamościu Zamoyski, celował w nich jak nikt. Po kraju szły obiegami jego powiedzenia. Czasem były tajemniczo wieszczące: „Czuję Polskę w powietrzu“ miał powiedzieć, nie bardzo

wiedząc dlaczego, po jakimś zebraniu. Gdy pewien dygnitarz rosyjski powiedział mu pod adresem Polaków: „kochajmy się!“, pan Andrzej odpalił mu ponoć z miejsca: „...ale każdy u siebie, Panie Dyrektorze“. „Możesz mnie, książę, rozstrzelać, ale nie masz do tego prawa“ — miał powiedzieć — co już pewno było legendą — samemu Paszkiewiczowi-Erywańskiemu. Pełno było takich „złotych myśli“ pana Andrzeja, podawano je sobie z ust do ust, od dworu do dworu powtarzając: „a to im wygarnął! W pięty im poszło! Niech wiedzą!“. Tamtymi zjazdami i tymi powiedzeniami pan Andrzej urósł istotnie na wodza całej warstwy społecznej, na marszałka owego sejmiku de facto. A także na wodza całego politycznego obozu. Był też taki, jak ten jego obóz. Pełen frazesów, pozbawiony programu.

A tymczasem przyszły czasy, kiedy niezbędny był program.

KU WŁADZY I U WŁADZY

Co się dzieje, jeśli do stawu dotąd starannie odgrodzonego od dopływów poczną się naraz wlewać strumienie nowej wody, nie zastalej, rwącej? Stanie się wiele rzeczy. Najpierw popęka skorupa wodorostów, jaką zieloną pleśnią pożerała coraz to większe płyty tafli wodnej; potem brzeg obeschły zacznie posuwać się wyżej i wyżej, a wody będą podmywać go coraz mocniej. Wreszcie staw przestanie się mieścić w łożysku, które jeszcze parę lat temu było całkiem wygodne. Zacznie je rozpierać. Ciśnienie wody będzie wyszukiwać miejsc słabych, gdzieby się mogło przelać. Będzie przeć na groble, ciążyć na śluzach. Im większy będzie dopływ, tym ciążyć będzie silniej. Jeśli zaś tym wodom nie damy ujścia, nastąpi katastrofa.

Okolo roku 1860 stało się tak właśnie z tym wielkim, zamarłym stawem polskim, jakim było Królestwo Kongresowe. Dopływy, jakie naruszały zatęchłość jego spokoju, były różne i liczne. Potężną rolę grał czynnik biologiczny. Wyrosła cała młoda generacja, która sama nie przeżyła klęski 1831 roku i patrzyła na nią tylko przez pryzmat tak łatwo w Polsce wyrastającej legendy. Podobnie jak podchorążowie 1830 roku — właściwi sprawcy tamtego powstania — nie mogli znaleźć sobie miejsca w armii W. Ks. Konstantego, tak samo ta nowa generacja nie znajdowała dla siebie miejsca w ówczesnej Polsce. Jakżeby je znalazła? Wieś jako warsztat pracy kurczyła się; dwór i chata były jednako napęczniałe młodym elementem, który dorastając tylko tu

zawadzał. Miasto? Przemysł budził się powoli, był obcy, przede wszystkim niemiecki. Aby syn ziemiański wyrósł nie tylko na epuzera, ale jeszcze na inżyniera, potrzebna była wyższa szkoła; tej brakło. W tym samym czasie w Niemczech młode pokolenie szło do przemysłu, we Francji i Anglii szło poza tym do handlu światowego, kolonii, marynarki, armii. Ale na horyzontach Kutnowskiego czy Płockiego, Hrubieszowskiego czy Zamoyszczyzny nie było kominów fabrycznych i okrętowych masztów. Był za to las. I istotnie to młode pokolenie miało z czasem dosłownie pójść „do lasu“.

Dopływ biologiczny nie był jedynym, który zmaćał zatęchły spokój Królestwa. Szły jeszcze wiatry obce. Pokolenie, które dorastało, nie znało Zachodu, ale łowiło jego echa. Widziano, jak powstawały lub krzepły państwa, których dawniej w ogóle nie było. Powstało niepodległe Królestwo Włoskie ogarniając jedne za drugimi już prawie wszystkie ziemie, na których rozbrzmiewała mowa Petrarki. Francja użyczyła mu pomocy i jeszcze jakiej! Och, to już nie jest Francja spasionego egoisty Ludwika Filipa—mówili sobie Polacy; to Francja napoleońskiego dziecka, Napoleona III. Pomógł Włochom, pomoże i nam. (Jego ministrem spraw zagranicznych — szeptały ciotki — jest przecież Oleś Walewski, syn polskiej kochanki Boga Wojny; młody Koźmian ma do niego dostęp w każdej chwili. Czyż nie są to dowody przekonywujące?) W północnych Włoszech, w Cuneo, jest polska szkoła wojenna; prowadzi ją Mierosławski (ten sam z 1848 r.). Oto, co sobie mówili nasi przodkowie temu lat osiemdziesiąt parę. Czy bardzo możemy ich potępiać za to, że pragnienia swe brali za rzeczywistość? Nie. Oni przynajmniej mieli do tego pewne podstawy. Wszak Napoleon III istotnie kokietował Polaków. Włochy istotnie powstały, na Bałkanach rosła młoda niepodległość serbska, a pułkownik Cuza na czele paru kompanii wojska stworzył to, co niebawem miało być Rumu-

nią. Ba, pod bokiem Konstantynopola wykluwała się już zwolna Bułgaria, a niepodległość grecka, o którą walczył lord Byron, liczyła sobie blisko trzydzieści lat dość burzliwego życia. Ludzie, którzy patrzyli na to wszystko, kierowali potem wzrok na Polskę. Czyż było możliwe, by tylko tu nic się nie zmieniło, kiedy wszędzie zmienia się wszystko? Polska wzbiera oporem. Wody w stawie poczęły się podnosić.

Gdzie indziej zwiastunami zmian politycznych są ulice pełne ludzi; w Polsce z dawna zaczynało się od kościołów, pogrzebów i obchodów. Czasem i na tym się kończy, ale tym razem nie. Pierwszy z nich był bodaj pogrzeb sędziwego generała Krasińskiego, któremu po zgonie naród polski z tą polską lekkomyślnością, jaką ten naród miał zawsze w stosunku do swoich generałów, wybaczył naraz czterdzieści lat gorliwego służalstwa. Ale potem zmarła wdowa po generale Sowińskim, inwalidzie o drewnianej nodze, co we wrześniu 1831 roku padł na szanćcach Woli. A jeszcze — prawda! — obchód Trzech Wieszczów. Potem przyszedł obchód trzydziestej rocznicy Nocy Listopadowej; znowu pochód, policja, tłumy. W Warszawie stało się goręcej. Towarzystwo Rolnicze Zamoyskiego, które rozbudowało się okazale, miało swe obrady; z jednej strony władze rosyjskie chciały je krępować w jego rozwoju, z drugiej żywiły konspiracyjne, które już się odzywały, chciały je skłonić do wystąpień przeciw Rosji. „Adres do tronu“ z wyluszczeniem w oględnej formie żalów, roszczeń i nadziei — oto były środki, jakimi w owych czasach w państwach bez parlamentu, ale przecież z opinią publiczną, poddani powiadamiali władzę o swej woli. Przez luty ciągnęły się w Warszawie, w gmachu Resursy Kupieckiej, obrady Towarzystwa. Śledziła je Polska i pisał o nich „Times“. W ostatnim dniu napięcie wzrosło. Z Miodowej, Franciszkańskiej, Nowego Świata podeszły tłumy, które miały swymi okrzykami podniecić nastroje owego polskiego „sejmu de facto“. Marszałek owego sejmu, to jest Pan Andrzej, zaniepokoił się. Ten napór ulicy wcale nie

przypadał mu do smaku. Co zrobić? Porozumiał się ni mniej ni więcej tylko z Zamkiem. Księżę Gorczakow, carski namiestnik, nie kazał się prosić dwa razy — i oto na ulicach Warszawy pojawiły się naraz sotnie kozaków, zaczerniało od mundurów czerkieskich, zatechło potem, szuwaksem i machorką żołdacką. Rzecz jasna, ulica warszawska patrząc na to wszystko ani się domyślała, czyja inicjatywa sprowadziła z koszar tych nieproszonych gości. Pod ich osłoną ziemiański sejm Pana Andrzeja mógł obradować spokojnie; ściany pięknego pałacu broniły go i od polskiego tłumu, i od obcych bagnatów. Tymczasem za to skonfrontowały się tamte dwie siły: warszawska ulica i carski żołnierz.

Żołnierz ten był, jakby umyślnie, szczególnie obcy. Ci Czerkiesi, Kalmucy i Dońcy byli obcy każdemu w ogóle miastu. Zwłaszcza zaś temu miastu. Step, alus i Kaukaz były ich światem. Tu czuli się nieswojo, a więc niepewnie. Stanie z bronią u nogi, w środku wrogiej ulicy, pod oknami milczących domów i spojrzeniami nienawiści wzmagало napięcie. Naraz od Bernardynów wysunął się jakiś pochód. Książdz, krzyż, ludzie. Sotnia runęła z miejsca, jakby chcąc zdeptać zarodek buntu. Właśnie go roznieciła. Tym, co napadła, był zwykły, nikomu nie znany, pogrzeb. Ale w międzyczasie książdz, trumna, katafalk — wszystko to leżało już na bruku, stratowane przez konie kozackie. W chwilę później padły strzały innego rosyjskiego oddziału, który także nie wytrzymał napięcia. Pięć niewinnych ofiar poległo od tych strzałów.

Znowu w naszych czasach nie możemy pojąć, by pięć ofiar ulicznego zajścia mogło uczynić takie wrażenie, jak owego 27 lutego 1861 roku. Ale był to — znowuż — pocziwy wiek XIX, kiedy o mniejszą ilość poległych padały trony, kiedy królowa Wiktoria o jednego polskiego powstańca — (co prawda był to hrabia Plater) — pisała listy odręczne do cara — i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Car był właśnie uwikłany po uszy w podwójny konflikt: wewnętrz-

ny i zagraniczny. Właśnie przeprowadzał u siebie w Rosji uwłaszczenie chłopów lawirując pomiędzy oporem konserwatywnych ziemian a buntami anarchicznych muzyków. Właśnie prowadził swoją misterną dyplomatyczną grę z Napoleonem III starając się o to, aby cesarz Francuzów przestał być Kominternem wszystkich uciskanych narodowości w Europie. Wreszcie był to wciąż jeszcze okres, w którym Aleksander II szedł na kompromisy. Zaraz po krwawym starciu Rosja się cofnęła. Namiestnik Gorczakow oświadczył, że winni oficerowie będą ukarani, przyjął delegacje obywatelstwa, zdał rządy miasta w ręce komitetu obywatelskiego i jego straży ochotniczej. Naraz zniknęli z ulic Kozacy i Czerkiesi. Jakaś niemal ludowa milicja, swojska, amatorska i polska, zajęła ich miejsce. Pogrzeb pięciu poległych miał być monstre obchodem. Cała Polska nim żyła, cały świat o nim pisał. Obchód robiono potem długo, pełne tygodnie, drukowano obrazki, poświęcano medaliki, pisano wiersze; zaczęto wdziewać żałobę narodową. Wszystko to było bardzo piękne, rzecz jasna, a przede wszystkim ogromnie polskie. Tak, ale — co dalej?

Towarzystwo Rolnicze, ów krajowy „sejm de facto”, zebrał się niezwłocznie i ponownie nie po to, rzecz jasna, aby radzić nad sadzeniem grochu czy importem peruwiańskiego guana, ale właśnie nad tym: „co dalej?” Dalej — „adres do tronu” narzucał się zebrany. Chciała go i Rosja. Czegoż Polacy chcą? Czy istnieją takie warunki, za cenę których Rosji na Zachodzie przestałaby wciąż wadzić sprawa polska, osiągnięty byłby spokój wewnętrzny, umożliwiające dalsze słowiańskie plany? Czego Polacy chcą? Petersburg dawno naglił Gorczakowa, aby to wysondował, a Gorczakow przez różnych ludzi przypierał do muru Zamoyskiego. Ale Pan Andrzej rozkładał ręce. Był to jego ulubiony gest. Cóż on, jednostka, może powiedzieć? Ale jest Towarzystwo Rolnicze. Ono powie za kraj. I nocą z 27 na 28 lutego Towarzystwo Rolnicze zeszło się na najważniejsze obrady w czasie całego

swego istnienia. Tu nie chodziło już o typ pługa czy trójpółówkę, o orkę głęboką czy płytką. Najpoważniejsza i jedyna organizacja społeczna kraju miała powiedzieć władzy, czy i na jakich warunkach możliwe jest pojednanie pomiędzy Polską a Rosją.

Ludzie z innego pokolenia marzyliby o takiej chwili. Kollataj, który przystąpił do Targowicy, Czartoryski, który był ministrem spraw zagranicznych Aleksandra, Staszic, który był radykałem, ludzie takiego pokroju marzyliby kiedyś o takiej chwili. Ale tłum notablów Towarzystwa Rolniczego nie składał się z Kollatajów, Czartoryskich i Stasziców, ale z Hreczkosiejskich, Pocziwińskich i Mocimpańskich. Aby dorósć do swej roli, „sejm de facto“ musiałby być senatem mędrców. Tymczasem nie tylko nie był senatem, nie tylko nie był sejmem, ale nie był nawet sejmikiem. Był po prostu odpustem. Gdyby na tym zebraniu przeważali ludzie konspiracji, to zamiast adresu do cara uchwaliliby manifest niepodległościowy. Oczywiście, w niczym by to Polsce nie pomogło, ale byłoby choć to. Świat wiedziałby, że cała Polska stoi za rewolucją. Gdyby owej nocy na sali Resursy Kupieckiej obradowali realiści polityczni, to za cenę uznania Rosji zażądaliby takich, innych, jeszcze innych ustępstw. Tak z Habsburgami postąpili w innym czasie Węgrzy; tak z tym samym carem postąpiła w tym samym prawie czasie roztropna Finlandia. Ale w tym sęk, że ów sejm de facto nie składał się ani z „czerwonych“, ani z naprawdę „białych“. Bał się panicznie okrzyku „zdrada“, jeśli pójdzie na ustępstwa nawet w sprawach tak oczywiście przegranych, jak granice sprzed lat dziewięćdziesięciu. Na okrzyk „do broni“ był jednak za trzeźwy. Noc zbiegła, mowy się wlokły, odpowiedzi nie miano. A odpowiedź trzeba było dać.

Ku największej wściekłości już i tak zakłopotanego Towarzystwa wypłynął projekt konkretny. Przyszedł on od margrabiego. Wielopolski, rzecz znamienna, nie przyniósł

go sam. Czy samo zjawienie się niepopularnej postaci już położyłoby projekt? Czy margrabia miał dla tego odpustu za wiele pogardy? Mniejsza o to. Dość, że jego projekt przyniósł, zgłosił i bronił Tomasz Potocki. Był to — zdawało się — dobry poseł. Szwagier Wielopolskiego, potomek wielkiego rodu, był inwalidą z powstania listopadowego. Pod Długosiodłem, w jednej z tych arcypolskich szarż ułańskich, stracił obie nogi. Jeśli człowiek, co lał krew w walce z Rosją, przemawia za porozumieniem z Rosją, mogłoby to, zapewne, tylko przemawiać za nim. Niestety, szlachta wołała znacznie bardziej tych, co ani krwi dotąd nie leli, ani jej lać nie mieli, a tylko darli się, że ani piędzi. Potockiemu zarzucono zresztą, że jest „chłopomanem i słowianofilem“. Był on z dawna zwolennikiem zniesienia pańszczyzny, uważał, że Polacy zbyt wiele mówią o polskości Witebska, a zbyt mało o polskości Poznania. Toteż uważano go oczywiście za szkodliwego marzyciela. Ci, co milczeli o Poznaniu i sławili dobrodziejstwa pańszczyzny, uchodzili, rzecz jasna, za tęgie umysły.

Ale nawet wtedy, gdyby posłem Wielopolskiego był typowy płytkiewicz, z gatunku tak pasującego do popularności polskiej, niewiele by wskórał. Projekt, jaki przynosił, był bowiem projektem konkretnym. Stwierdzał on wyraźnie, brutalnie nawet, uznanie władzy cesarskiej z równoczesnym uznaniem praw narodu. Prawa narodu to były: polska administracja, polskie szkolnictwo średnie i wyższe, polska odrębność Królestwa. Właśnie Królestwa. Wielopolski wyraźnie stawiał na linii Bugu. Poza tą linią cesarz rosyjski był dla niego cesarzem rosyjskim. Ale w ziemiach po Bug był tylko królem polskim. Absolutnym wprawdzie, to jasne. Wielopolski nie żądał przywrócenia tej konstytucji z wyborami, z sejmem, jaka wyrosła z traktatem wiedeńskim, a przepadła z powstaniem listopadowym. Wielopolski nie wysuwał żądania wskrzeszenia polskiej armii. Wielopolski wiedział, że tych trzech rzeczy: konstytucji, armii polskiej

i Kresów — Petersburg nie odda. Ale to, co wysuwał, było do przyjęcia.

Owej nocy Towarzystwo Rolnicze stało na rozdrożu. Zza okna z lutowym mrozem dolatywały pomruki ludowej burzy. Krakowskim Przedmieściem przecwałowały niepewnie i nerwowo patrole kozackich rozwiadek. A oni mieli do świtu udzielić swej odpowiedzi. Czy idą na ustępstwa wobec Rosji, byle ona na ustępstwa poszła? 1772, 1815, 1831, Rejtan, sejmy rozbiorowe, przeszłość, teraźniejszość. Ale był nie tylko projekt Wielopolskiego. Był jeszcze projekt Stawiskiego.

Dziś nie wiemy, kim był ów pan Edmund Stawiski. Ale pociesmy się: historycy wiedzą o nim niewiele więcej. Był to, w bliżej nieokreślony sposób, zasłużony znawca sprawy włościańskiej. (W owych czasach pełno było takich znawców i wszyscy zawsze byli zasłużeni). Poza tym był to gładki, kochany, serdeczny człowiek, taki jak oni wszyscy w tym Towarzystwie Rolniczym — a także w całej tej Polsce. Taki pan Andrzej Zamoyski — w jeszcze mniejszym formacie. Otóż pan Edmund pisał mowy i wygłaszał toasty, a wszyscy podziwiali ich gładkość, takt, układ, godność i czczość. Toteż owej nocy wpłynął i projekt zacnego pana Edmunda. Poparła go gorąco sama wyrocznia opinii polskiej — pan Andrzej Zamoyski. Warto posłuchać, co pan Andrzej widział tak przekonywującego w elukubracji pana Edmunda. To właśnie, że „nic nie żądając żąda jednak wszystkiego”. Albowiem „prosić o nic nie możemy, a żądać nie mamy prawa”.

I istotnie, projekt adresu do cara opracowany przez pana Edmunda był pod tym względem niedoścignionym ideałem. Można by było wydać i dzisiaj w wypisach ad usum różnych premierów, wodzów naczelnych, ambasadorów i pomniejszych mężów stanu, aby nareszcie wiedzieli, jak kazać swym sekretarzom układać przemówienia, w których długo mówiąc nie powiedzieliby nic. Przynajmniej pan

Edmund czynił to we wzorowej polszczyźnie i kulturalnej formie. Była tam więc mowa o opatrności, o warunkach bytu, o kościele, o społeczności, o poznaniu celów, o zasadach płynących z ducha narodu i o bardzo wielu innych niemniej pięknych rzeczach. Nad ranem Tomasz Potocki odwiózł Wielopolskiemu jego projekt odrzucony jednomyślnie, a około południa kancelaria namiestnika Gorczakowa miała już i projekt Stawiskiego — jednomyślnie przyjęty.

Na Zamku stary książę Gorczakow czytał go raz i drugi. Potem wziął do pomocy biurokratów rosyjskich i polskich. Czytali razem. Oglądali tekst polski i francuski, znowu polski i znowu francuski. Ale nie mogli zeń zrozumieć niczego: Polska, jak dziewczyna z piosenki, nie mówiła „tak” i nie mówiła „nie”. Ale takie dziewczyny są mile tylko w piosence, w życiu zrazu nas podniecają, potem szybko nam brzydą. A w polityce? Trudno! W okresie, w którym Polska utraciła doświadczenie polityczne, Rosja je nabyła, w okresie, gdy Polacy wydawali ulotki, Rosjanie wygrywali układy. Brak własnego państwa już wywarł swój wpływ. Kraj nachylony nad adresem pana Edmunda mówił: jakie to piękne! Świat czytając ten sam adres w „Times’ie” i w „Le Temps” mówił: ci Polacy są naprawdę nierealni. I właściwie wszyscy — i Kraj i Świat — mieli trochę racji.

Z kolei namiestnik przeszedł do lektury odrzuconego jednomyślnie projektu Wielopolskiego. Po swej klęsce u rodaków margrabia usunął się był do Chrobrza. Nawet nie doczekał jeszcze jednego narodowego obchodu: pogrzebu pięciu poległych. Było to zupełnie nie po polsku — i zupełnie w jego stylu. „Przekreśliliśmy go na zawsze” — mówiła Warszawa. W istocie rzeczy było wręcz przeciwnie. Najbardziej znienawidzony, pogardzany, ośmieszony nawet, a przede wszystkim najbardziej samotny człowiek w Polsce teraz właśnie zaczynał swój start do historii. Po tygodniu wzywa go Gorczakow telegraficznie; w Warszawie zaczy-

nają się rozmowy. Trwają one przez cały prawie marzec. Ich wyniki powędrowały do Petersburga, gdzie poddano je pośpiesznie Radzie Ministrów. 26 marca Aleksander II podpisywał w Pałacu Zimowym ukaz o reformach w „swym Królestwie Polskim“ oraz nominację, mocą której Aleksander hrabia Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, obejmował stanowisko dyrektora wyznań religijnych i oświecenia publicznego w Królestwie. Tytuł był skromny. Rola była olbrzymia. Zdumienie narodu największe.



Dzięki czemu ludzie dochodzą do władzy będąc samotni, niepopularni, znieawidzeni? Dzięki samym sobie. Wielopolski docenił i wyzyskał trafnie splot sytuacji: wewnętrzne kłopoty Rosji i jej pragnienie spokoju w sprawie polskiej; zagraniczną politykę Rosji — jej flirt (i dasy na przemian) z Francją, gdzie znowu spokój w sprawie polskiej był potrzebny dyplomacji rosyjskiej; reformistyczne tendencje samego cara, a wreszcie jeszcze jedną okoliczność, maluczką a ważką. Tak maluczką, że jej później niemal nie dostrzegli nasi wielcy historycy, choć ją dobrze docenili już wówczas bardziej życiowi od wielkich historyków współcześni. Oto w samej twierdzy wroga, na Zamku, w otoczeniu namiestnika miał margrabia naturalnych sprzymierzeńców. Byli nimi polscy biurokraci w rosyjskiej służbie.

Ze szkół wyuosismy mylne wrażenie, jakoby z upadkiem powstania listopadowego młoda państwowość Królestwa Polskiego runęła w całości, a z chwilą kiedy wojska polskie poszły z sejmem i rządem na emigrację, w Warszawie wszystko od razu przestało istnieć i stało się natychmiast Rosją. Tak nie było. Prawda, znikł sejm, senat, konstytucja, odrębna od Rosji armia, ale pozostały pewne zręby administracyjne Królestwa, takie jak: Rada Stanu, Rada Administracyjna, Bank Polski, granica celna. Jedne z nich polikwidowano w następnych latach, inne ograniczono, ale

część tych urządzeń polskich oparła się burzy mikołajewskiej. Było to tak, jakby po pożarze domu pozostały części fundamentów, a nawet ścian, choć runął dach i inne ściany. Otóż Wielopolski chciał się dogrzebać do tego wszystkiego, co pozostało *po pożarze* — i od tego rozpocząć stopniowe odbudowywanie domu.

Ocalały zaś nie tylko pewne instytucje. Zachowali się ludzie żywi: urzędnicy polscy. Zapewne, byli to ludzie o zgola podejrzanym patriotyzmie, wątpliwych charakterach, lecz o niewątpliwej wiedzy i doświadczeniu państwowym. Jakby o tym powiedziano z zachwytem we Francji: ils savaient gérer les affaires. Byli wśród nich dawniej pisarze, jak Szaniawski, byli jeszcze i teraz świetni prawnicy, jak Hube, zręczni intryganci, jak Karnicki, no i wreszcie ludzie mierzący wysoko i mogący wiele, jak zniechodzony w kraju przechrzta, a „protektor“ margrabiego na Zamku, prokurator Enoch. Jedno jest pewne. Rzadko kiedy w swej historii (a już na pewno nie za naszego życia) miała Polska równie wytrawną administrację. Pomimo rządów Paszkiewicza, pomimo panowania Mikołaja dokonali oni tego, co zawsze zalecają ludzie bez charakteru, a umieją dokonać ludzie zręczni: przetrwali. Potrafili przetrwać. Wprawdzie Królestwo Polskie nasiąkało coraz bardziej urzędnikami Rosjanami i to nie tylko na wyższych szczeblach; wprawdzie faktycznym rządcą Królestwa był ostatnio przewrotny i złośliwy Muchanow; zajmował on właśnie to stanowisko, na które teraz przychodził Polak — Wielopolski. Ale Polacy w administracji Królestwa bronili się mileczkiem, uparcie, wytrwale. Dorównywali Moskalom w wiernopoddaństwie, przewyższali ich w wiedzy, rutynie, znawstwie terenu. Toteż każdorazowy namiestnik słuchał ich nawet wtedy, jeśli nie byli na naczelnych stanowiskach. Zawsze stanowili kamarylę ukrytą, sieć szarych eminencyj, która, jak wiemy, potrafi być potężna. Otóż ta wpływowa klika czcząc cesarza-Rosjanina, czołgając się przed namiestni-

kiem-Rosjaninem nienawidziła Rosjanina-kolegi-urzędnika. W stosunku do tej czeredy rosyjskich urzędników, jacy mimo heroicznego oporu Polaków wlewali się coraz liczniej w kadry administracji Królestwa, panowała święta nienawiść ich polskich kolegów. Może dla nich w stosunku do zaborcy twierdzą nie był każdy próg, ale na pewno była im twierdzą każda posesja.

Otóż wszystkie projekty reform, jakie w toku marcowych rozmów z Gorczakowem przedłożył był margrabia, musiały zachwycić ową polską biurokrację wokoło Zamku. Przede wszystkim oznaczały one odsunięcie rosyjskiego czynnika wojskowego od steru i sprowadzenie go do roli załóg wojskowych; a żadna poważna biurokracja na świecie nie może znieść szarogęsionowania się armii w dziedzinach, jakie do armii nie należą. Tym bardziej obcej armii. Po drugie, konkretne plany reform — szkolnej, żydowskiej, chłopskiej, urzędniczej, miejskiej — musiały pociągać wszystkie ambitne żywioły biurokratyczne. Tak było zawsze. Urzędnik, jeśli jest kimś, marzy nie tylko o podwyżce, o awansie, zabiega nie tylko o spotkanie swego ministra w windzie, a dyrektora na korytarzu. Marzy jeszcze i o tym, aby zamiast odwalać głupie papierki inicjować duże rzeczy, by działać, wywierać wpływ, organizować, stanowić. Tak samo ambitny wojskowy cieszy się z wojny, garnie się do udziału w kampanii zamiast siedzieć w hotelowym biurze. Czytając plany reform, jakie zalecał Wielopolski, biurokraci warszawscy musieli zapalać się do myśli, że oni, właśnie oni będą tę rzeczy przemyślane głęboko, opracowane szczegółowo, logiczne w koncepcji wprowadzać w życie. Ich rola miała wzrosnąć. A wreszcie działała jeszcze jedna, nader życiowa okoliczność. Oto projekty margrabiego przewidywały przede wszystkim wymiecenie z Królestwa tej czeredy rosyjskich urzędasów, która zlatywała się tu z głębokiej Rosji, ciemna, chciwa, złodziejska, wyniosła, obca. Panowie szlachta z Towarzystwa Rolniczego pomijali tę czeredę wzgardliwym

milczeniem. Dla nich przeciwnikiem był car, Petersburg, orzeł dwugłowy: owo „ruskie robactwo” wydawało się już pomniejszym złem, następstwem tamtego, wielkiego. Jeśli już cierpi się tamto, można cierpieć i to. Ale biurokraci polscy myśleli inaczej niż ziemianie. I oto naraz w tym społeczeństwie polskim, z którego oni byli wyłączeni, traktowani nieco jak zdrajcy, nieco jak lokaje obcy, nieco jak owi biblijni celnicy w Ewangelii, pojawiał się człowiek wielki nazwiskiem, umysłem, wykształceniem, a wreszcie odwagą cywilną i on podejmował od strony społeczeństwa ich ciche troski. Jego program w stosunku do Rosji nie rozpoczynał się od Witebska i roku 1772, ale od chwili obecnej i od tych drobnych pasożytów rosyjskich. Nareszcie ktoś! — powiedzieli sobie polscy urzędnicy wokół namiestnika.

Gdyby sprawa polska była w tej chwili załatwiana na niskim szczeblu, Wielopolski nie miałby szans. Tak samo jak przychylnie mu były — z racji własnego interesu — polskie elementy biurokracji Królestwa, tak samo wrogiem mu były — (to się jeszcze pokaże) — rosyjskie elementy w tejże biurokracji. Ale tym razem sprawa polska nie leżała w ich ręku. Leżała wyżej. Załatwiał ją sam namiestnik, książę Górczakow, a więc arystokrata, ziemianin, który sam czuł się klasowo bliższy tym polskim, imponującym mu panom z Chrobrza i Klemensowa niż podległym mu służbowo, prawosławnym i ruskim jak on, Popowom i Smierdiukowom, czynowniczym podporom caratu. Załatwiał ją sam car. Dla nich kwestia, czy w Sandomierskiem lub Płockiem urzędować będą Iwanowy, Popowy i Smierdiukowy, czy też Wolscy, Jankowscy i Koziczcy, była zupełnie drugorzędna. Ważne było tylko, pod którą z tych obsad ziemie nad Wisłą będą przynosić mniej kłopotów. Właśnie okazało się, że pomimo Kozaków na ulicach Warszawy i Muchanowów na warszawskich urzędach Polska przyczyniła same kłopoty najjaśniejszemu panu. Może bez Kozaków i Muchanowów będzie przyczyniała mniej kłopotów lub nie

będzie przyczyniała ich wcale? Wszak tego właśnie dowodzi argumentując dobitnie, rzeczowo, że swą niemiecką logiką margrabia Wielopolski.

*

Nie trzeba sądzić, by te szczupłe zmiany, z jakimi Wielopolski zaczął, były jego ideałem. Wręcz przeciwnie. W rozmowach marcowych z Gorczakowem Wielopolski przedstawił program bardzo obszerny. Obejmował on nie tylko stworzenie urzędniczej, opracowującej ustawy Rady Stanu, przywrócenie uniwersytetu, województw, dawnego (sprzed 1830) herbu i mundurów urzędniczych, nie tylko stworzenie samorządu miejskiego i wiejskiego, ale nawet „Rady Senatorskiej” zwoływanej corocznie i „Rady Wolnej” co dwa lata. Miał to być, co prawda, z cesarskiej nominacji, ale jednak jakby parlament. Gorczakow obciął z tego przede wszystkim to, co zbyt pachniało parlamentem, zachowując Radę Stanu, w miejsce uniwersytetu wstawił nową nazwę „Szkoła Główna”. Samo słowo „uniwersytet” było u władców ówczesnej Rosji przeraźliwym pojęciem.

W Petersburgu cesarz obciął jeszcze wiele z tego, czego nie skreślił Gorczakow. Pozostała zatem autonomia administracyjna, reformy szkolne, włościańskie, prawne, wyodrębnienie Warszawy od Petersburga, Królestwa od Rosji, stworzenie nad Wisłą ośrodka rządzenia tym krajem. Było to niewątpliwie mało. Ale znowu pamiętajmy, że za Wielopolskim w tej chwili nie stał naprawdę nikt. To nie jego projekt przeszedł był w Towarzystwie Rolniczym, to nie on, a jego przeciwnik sprawował w Polsce rząd dusz, to nie za nim, a za jego przeciwnikiem szło społeczeństwo z karnością właściwą wprawdzie nie Anglikom czy Francuzom, ale niewątpliwie baranom. Gdyby Wielopolski mógł powiedzieć na Zamku: „Mam za sobą kraj. Przemawiam w imieniu paru milionów moich oświeconych rodaków. Opinię Polski wyrażam ja” — to zapewne, mógłby był w tej chwili wytar-

gować więcej. Ale właśnie z woli społeczeństwa polskiego, z woli pana Andrzeja, pana Edmunda i innych narodowych wyroczni był on samotny. Do porozumienia z Rosją mógł włożyć tylko kapitał swego rozumu. Innego kapitału nie miał. Kapitał ten — kapitał zaufania, tak cenny w polityce — miał za to Zamoyski. Ale sam go nie używając nie dawał go użyć innym.

W kilkanaście dni po objęciu przez Polaka wysokiego stanowiska w administracji Królestwa społeczeństwo postanowiło pokazać jeszcze dobitniej wobec świata, Rosji i Polski, jak bardzo ów Polak — Wielopolski — nie reprezentuje Polaków. W tych czasach, kiedy pięć ofiar w starciu ulicznym było już wydarzeniem europejskim, wielkanocne święcone wystarczało dla demonstracji. Właśnie — co za szczęście! — przypadła Wielkanoc. Wszystko, co żyło w Warszawie, co liczyło się i znaczyło, pośpieszyło hurmem na kielbasy, szynki, baby i jajka do Pana Andrzeja. Owego roku wielkanocne swe obżarstwo spełniali jeszcze jako akt narodowy. Dziś wydaje się to nam tak dalekie i naiwne, jak owe czasy frejlin, politycznych hrabin i adresów do tronu. Ale jeszcze w dziesięciolecia całe potem rozpowiadano o owym święconym jako o politycznej demonstracji. I była to demonstracja. W Rosji przeciwnicy porozumienia z Polską mieli dzięki polskim gorliwcom jeszcze jeden argument: „widzicie, Wielopolski nie reprezentuje nikogo. Nie poparty przed dojściem do władzy, nie uzyskał poparcia po dojściu do niej“. Ale Wielopolski i tu się nie cofnął. Począł za to łamać.

Kiedy społeczeństwo dojrzałe do niepodległego bytu nie posiada własnego państwowego życia, wtedy tworzy sobie formy poboczne takiego życia. Żyje poza państwem. Za naszych czasów mleczarskie kooperatywy ukraińskie w Małopolsce Wschodniej były dla Ukraińców czymś znacznie więcej, niżby były dla narodu we własnym niepodległym państwie. Kiedyś dla Irlandii kościół katolicki był jeszcze

i przystanią życia narodowego. Otóż takimi formami życia narodowego było w Królestwie Polskim owych lat znane nam już Towarzystwo Rolnicze — i Kościół. Na gruzach własnej państwowości Kościół wyrósł na jakąś ersatz-państwowość; wobec braku reprezentacji społecznej Towarzystwo wyrosło na ersatz-parlament. Ale obecnie, zdaniem margrabiego, tamte czasy się kończyły, a zaczynała nowa era: stopniowej odbudowy własnego państwa. Nie na skutek cudu, łaski nieba, kataklizmu, pomocy obcej, ale kolejnej ewolucji. Owe namiastki poczynaly wadzić. Toteż w powitalnej mowie ogłoszonej niebawem do przedstawicieli duchowieństwa ultrakatolicki margrabia powiedział wyraźnie, że nie ścierpi mieszania się Kościoła do polityki, nie będzie tolerował „państwa w państwie“. W stosunku do Towarzystwa Rolniczego postąpił jeszcze ostrzej, bo je rozwiązał.

Bardzo mało obrońców margrabiego zdobyło się dotąd na obronę obu tych kroków. Natomiast prasa zagraniczna tych czasów, na ogół przychylna Polakom, a nie margrabiemu, rozumiała je lepiej. Istotnie postępowanie Wielopolskiego nie mogło być inne, jeśli miało być konsekwentne. Ta rola polityczna, jaką odgrywał Kościół, była tylko wynikiem niezdrowych stosunków zaborskich, braku własnego państwa. Nie wychodził na niej dobrze ani naród włączany do kruchty, ani Kościół wpłątany w walki polityczne. Z Towarzystwem Rolniczym było to jeszcze bardziej oczywiste. Znaczenie fachowe tej instytucji było — jak słusznie ocenił tak znakomty badacz, jak Władysław Grabski — arcymierne, za to rozpolitykowanie olbrzymie, ale niestety — jak się to objawiło owej nocy obrad w Resursie — pozbawione wszelkiej zdolności do pobrania za naród jakichkolwiek decyzji. Wielopolski mógł się spodziewać, że w swej trudnej grze z rosyjskim partnerem będzie stale narażony na jakieś wycieczki Kościoła czy Towarzystwa w dziedzinę polityczną. Chciał to uprzedzić. Z Kościołem, jak zobaczymy, był poza tym w najlepszych stosunkach. Niebawem po-

starał mu się o znakomitego kierownika w Polsce, dbał o podniesienie poziomu nauk w seminariach, ułatwiał kontakt z Rzymem. Ale z polityki go sobie wyprosił. Wielu ludzi z Towarzystwa Rolniczego zawezwał niebawem do współpracy w reformie agrarnej. Ale z polityki ich wyłączył. Był to właściwie jedyny polityk polski, który poszedł na pewien „rozdział kościoła od państwa” w skromnych, rzecz jasna, zarysach, przeprowadzony bez złości do Kościoła, a przeciwnie, z poszanowaniem jego roli duchowej, jeśli nie świeckiej. Tak pojmowali zresztą stanowisko Wielopolskiego współcześni. Tak je też rozumieli badacze tej epoki.

Tymczasem nadszedł nowy krwawy wypadek. Oto na skutek rozwiązywania Towarzystwa Rolniczego doszło do nowych zaburzeń. 8 kwietnia tłum demonstrujący przed Zamkiem dostał się pod ogień Rosjan. Było to zgodnie z świeżo opracowaną ustawą o zbiegowiskach, jaką właśnie wydał Wielopolski. Wzorowana na podobnych ustawach angielskich, posiadała ona cały ceremonial przestroóg, jakie wojsko miało zastosować przed oddaniem ognia. Bicie w bębny, potrójne wezwanie itp. Ale tłum nie znał jej jeszcze i słysząc bicie bębnów tylko się zbiegł. Paręset ofiar w zabitych i rannych było na placu. Tym razem nie było to pięciu poległych. Była to rzeź.

Na wiadomość o niej Wielopolski przerywa urzędowanie i śpieszy w karecie na Zamek. Tłum poznaje Wielopolskiego. Kareta zostaje obrzucona kamieniami, zdemolowana, zatrzymana. 59-letni starszy pan o tuszy Churchilla wysiada z niej i piechotą z synem i doktorem Chałubińskim przeciska się na Zamek wśród wyzwisk i kamieni tłumy, a strzałów Rosjan. Chodzi przecież o to, aby wstrzymać, jak najprędzej wstrzymać ową rozpętującą się rzeź. Ktoż to robi, jeśli nie on? Istotnie. W pięć minut po dostaniu się Wielopolskiego na Zamek, wybiega goniec od Gorczakowa: wstrzymać ogień! Na Zamku tymczasem rosyjski generał

Chrulew klóci się z roztrzęsionym polskim dyrektorem wydziału sprawiedliwości, Wołowskim. Chrulew twierdzi, że on tylko wykonał ustawę, której akt podpisał Wołowski; Wołowski lka, że tamten wprowadził ją w życie za wcześnie. Na to Wielopolski zwalnia obu od odpowiedzialności. Wszak to on uplanował ustawę; on pokryje jej wykonanie. W kilka godzin później odezwą rozplakatowaną na ulicach czyni to istotnie.

W Polsce, gdzie krew zawsze przeraża, gdzie rządzący niczego tak się nie boją, jak brania odpowiedzialności na siebie, gdzie zwyczajem każdego szefa jest zwać winę na podwładnych, krok ten robi wrażenie. Po dymisji rozhisteryzowanego Wołowskiego Wielopolski obejmuje i tę tekę. Sprawuje odtąd nie tylko sprawy wyznaniowe i oświaty, ale i sprawiedliwości. Faktycznie zaś, prawie całość cywilnych rządów w Królestwie. Jego śmiałość, zimna krew i decyzja, pochopność w braniu odpowiedzialności za rzeczy, którym winien nie był, zaimponowały wszystkim: Petersburgowi, namiestnikowi, biurokracji, Rosjanom. A nawet zaimponowały i rodakom. Préstige rósł. Opornie, ale rósł.

W tym, cośmy napisali na tych kilku ostatnich stronach, nakreśliliśmy tylko etapy, którymi Wielopolski umacniał się we władzy. Mowa do duchowieństwa; rozwiązanie Towarzystwa; zachowanie się w zaburzeniach — oto te etapy. Ale w tym samym czasie od pierwszego dnia swego urzędowania, w jakimś gorączkowym pośpiechu Wielopolski wprowadzał jedna za drugą reformy. Historia miała je związać na zawsze z jego nazwiskiem. My z dalekiej perspektywy możemy powiedzieć jedno: rzadko kiedy w historii polskiej tyle, tak ważnych i tak celowych reform przeprowadzono w tak niezmiernie krótkim czasie. Rzadko kiedy mieliśmy do czynienia z reformami tak postępowymi i tak przemyślanymi. Ten człowiek doszedłszy do władzy wiedział, co z tą władzą robić. A każdy z nas wie, że nie o wielu włodarzach Rzeczypospolitej można powiedzieć to samo.

Już sam zakres owych reform jest imponujący. Obejmują one bowiem oświatę, administrację, sprawy agrarne, sprawę żydowską. Zaczynają od spolszczenia administracji. W parę tygodni po dojściu Wielopolskiego do władzy „Gazeta Rządowa” poczyną drukować codzienne olbrzymie listy urzędników „uwolnionych” — tak to wtedy łagodnie nazywano — od służby państwowej. Są to wszystko Rosjanie czy zaprzędani zupełnie Rosji karierowicze. Na ich miejsce przychodzi tłum Polaków, ściąganych przez Wielopolskiego z Galicji i Poznańskiego, czasem z Litwy, gdy miejscowych wykształconych ludzi jest za mało. Równolegle do tego postępuje reforma agrarna. Była ona paląco na czasie. Gorączka demonstracyj, jaka ogarnęła od lutego miasta, przerzuciła się już od marca na wieś. Tylko z tą różnicą, że miasto szło przeciw Rosji, gdy wieś przeciw dworowi. Wielopolski pamiętał o roku 1846 w Galicji. Toteż z pośpiechem już 16 maja wydał ustawę, która wprowadzając okup pańszczyzny położyła jej kres na ziemiach Królestwa Kongresowego. Było to przed powstaniem, przed aktami carskimi, przed Milutinem i całą późniejszą działalnością caratu, zmierzającą do skłócenia na zawsze polskiej wsi i polskiego dworu. Projektuje ustawę o samorządzie gminnym, która władzę na wsi przenosi z rąk właściciela folwarku — ziemianina — do rąk samych chłopów. Przeprowadza w ciągu lata 1861 wybory do nowych, powołanych z jego inicjatywy ciał samorządowych: powiatowych, gubernialnych i miejskich, a wreszcie rozpoczyna pracę nad dwiema reformami, które w pełni wejdą w życie dopiero w następnym roku: szkolną i żydowską. Pierwsza polegać będzie na wyposażeniu Królestwa w 3.000 szkół początkowych, 24 powiatowe, 15 gimnazjów, Liceum w Lublinie, Szkołę Główną w Warszawie i Instytut Politechniczny w Puławach; druga — rozpoczęta już teraz — na pełnym równouprawnieniu Żydów.

Rzecz jasna, że żadna z tych reform nie była zmianą rewelucyjną. Rosyjscy lub Rosji oddani historycy próbowali

potem atakować szczególnie ostro reformę agrarną Wielopolskiego jako reakcyjną. Rewolucyjną z pewnością nie była. Była jednak taką, jak analogiczne reformy w Prusach, w Anglii, w Danii, na Zachodzie, najbardziej właśnie w Anglii, gdzie po dziś dzień utrzymało się oczynszowanie. Niestety dla Polski było to, że przy wielkim przyroście ludności nie miała dla niej takich ujść jak Anglia — w przemyśle, w koloniach, na obszarach bezludnych a zamorskich i to wszystko, co odciążało corocznie wieś angielską, stłaczało się tylko w Polsce. Zgodnie z reformą Wielopolskiego chłop został zwolniony od pańszczyzny, ale nie otrzymał jeszcze własności ziemi. Reforma nie załatwiała sprawy bezrolnych, których na wsi było koło miliona, co stanowiło niemal ćwierć całej ludności Królestwa. Zakres uprawnień samorządu był szczupły, raczej doradczy tylko: choć, nawiasem mówiąc, znacznie jeszcze rozleglejszy od tych ram, w jakich za naszych czasów obracał się samorząd w niepodległej Polsce. Równouprawnienie Żydów знаło pewne ograniczenia: ale były one wyraźnie przejściowe i miały wygasnąć ostatecznie z chwilą, gdy polska szkoła i przymus polskiego języka (należący Żydom w aktach prawnych) dokona asymilacji. Wielopolski był niewątpliwie konserwatystą. Ale należał do konserwatystów tego rodzaju, co Disraeli w Anglii, Stein i Hardenberg, a potem Bismarck w Prusach, którzy zamiast lewicy sami przeprowadzili reformy. Z tym wszelako, że kraj, który reformował, był bardziej od tamtych zacofany, a społeczeństwo nie udzielało poparcia. Lewica „czerwonych“ nie przyjmowała żadnych reform, póki nie będzie niepodległości; prawica „białych“ nie popierała ich także.

Zjawisko jest bardzo ciekawe. Przeglądając literaturę epoki trudno znaleźć u współczesnych sądy krytyczne o reformach Wielopolskiego. Nienawidzono człowieka, chwalono dzieło. W sprawie agrarnej zasięgał zdania fachowców, ziemian i ekonomistów; w sprawie szkolenia — pedagogów,uczonych i pisarzy; w administracyjnej korzystał z wzorów

obcych i biurokratów zawodowych; w żydowskiej — z szeregu postępowców. Któż mógł oponować przeciwko polszczeniu administracji, tworzeniu całej sieci polskich szkół i dwu wyższych uczelni, wprowadzeniu samorządu? Ba! Nawet kwestia żydowska w owych czasach wyglądała inaczej niż za niedawnych. Ruch rewolucyjny na wypródki z konserwatystami starał się wciągnąć Żydów do polskiego społeczeństwa, pchał ich do demonstracji narodowych, do modłów za ojczyznę. Owa sielanka polsko-żydowska, ta nie do pomyślenia w innych czasach, wywołała wreszcie łagodne sprzeciw duchowieństwa, które nie widziało racji, aby w dniu rocznic narodowych Gęsia i Nalewki zapelniały kościoły lub żeby bardziej patriotyczni narodowcy posuwali swe uczucia aż do uczęszczania na modły w synagogach. Nie było też jeszcze tłumów nagnanych z Rosji „litwaków“, a faktycznym ministrem skarbu powstania styczniowego miał być niebawem bogaty asymilant — Kronenberg. Tak, że i żydowska ustawa Wielopolskiego nie mogła oburzać opinii. — Ale jak i inne reformy nie pociągała jej. Naród stał obojętny. Najlepiej przyjął jeszcze przeprowadzone z końcem lata wybory do samorządów oraz nominacje do Rady Stanu. A gdy po nagłej śmierci starego Gorczakowa i przejściowych rządach generała Suchozaneta przybył z Moskwy nowy namiestnik, zruszczały Francuz, hrabia Lambert, jedyną troską umiarkowanych były starania, aby te pożyteczne niewątpliwie reformy przeprowadzał kto inny: pan Andrzej.

Jak wytłumaczyć zjawisko, że obóz, który na wiosnę przybierał „postawę Rejtana,“ jesienią już rozmyśla o tym, aby samemu robić to, co wtedy określał pochopnie jako „nową Targowicę“? Dlaczego w lutym porozumienie z Petersburgiem było zbrodnią, gdy je zawierał Wielopolski, a w październiku byłoby zbawienne, gdyby je robił Zamoycki? Czym wytłumaczyć te zmiany? Czy w międzyczasie carat przedzierzgnął się w anioła? Czy może naraz dawał Kresy, konstytucję, odrębne wojska? Też nie. Czy kozacy prze-

stali siec nahajami? Jak na złość, siekli właśnie jeszcze bardziej. Jakież jest więc wytłumaczenie tego, że ci, co przed dziesięciu miesiącami uważali porozumienie z Petersburgiem za zdradę stanu, teraz dawali do poznania, że przestanie być zdradą stanu, jeśli zawrą je oni? Jest tylko jedna na to odpowiedź. Nawet przeciwnicy Wielopolskiego zrozumieli wreszcie, że niepodległej Polski tak bardzo jeszcze „nie czuć w powietrzu“, jak o tym wróżył wieszcz pan Andrzej Zamoycki, musieli przyznać, że reformy ich wroga przyniosły Polsce wiele i że kulawe porozumienie jest lepsze od braku porozumienia. Ale doszedłszy do takiego pomyślunku nie zaczęli wcale Wielopolskiego popierać. Zaczęli go tym silniej zwalczać. Aby, rzecz prosta, zająć jego miejsce. W tej to właśnie chwili jesiennej Wielopolski przeszedł do ataku. Po śmierci Gorczakowa miał z jego następcami na namiestnictwie warszawskim najgorsze stosunki. Suchozanet, Lambert, wreszcie Lüders, trzech generałowie kolejno wysłani do Warszawy, wzmagali tak czy owak terror wojskowy i bezprawia. Kraj był znowu między falą narodowych obchodów i pogrzebów a szarżami Kozaków. Wielopolski żądał coraz więcej i coraz bardziej stanowczo i to właśnie w tym okresie, kiedy prawićowa opinia topniała jak воск. Podawał się do dymisji. Wreszcie otrzymał rozkaz z Petersburga udania się do cara.

W Warszawie wszyscy sądzili, że kariera „markgrafa“ jest skończona. Radość, jaka zapanowała wśród biurokracji rosyjskiej Królestwa, równała się chyba tylko tej radości, jaka promieniała w salonach polskiego społeczeństwa. To prawda, że Rosja wprawdzie nie została odepchnięta do Dniepru; no, ale za to Wielopolski padł! Wielopolski zaś istotnie miał udać się nad Nową, lecz z wykonaniem rozkazu carskiego zwlekał tylko. Już niepokojono się w Rosji i zastanawiano, czy nie wezwać oponenta kibitką?

Ale oponent pozostał w Warszawie dla jednej malej racji. Oto 3 listopada miało nastąpić otwarcie kursów przysto-

wawczych do przyszłego uniwersytetu, otwieranego w Warszawie pod nazwą Szkoły Głównej. I człowiek stary, bez którego Polska nie miałaby tej uczelni, nie mógł sobie odmówić wśród tylu cierpień i walk jednej małej radości: widzenia tej chwili.

Po czym odjechał. I znowu, jak to w Polsce bywa, odczuło naraz, po niewczasie, jego brak.

PETERSBURSKIE ZWYCIĘSTWO

Od paru dziesięcioleci Petersburg był dla Polaków groźną Mekką caryzmu, panującą zza mgieł północnych, dworskich assambli i kawalergardzkich parad nad ich krajem. Tam spędził swe lata niewoli Tadeusz Kościuszko, swą starość Stańisław August, odnosił pierwsze tryumfy Mickiewicz, a obecnie jeszcze dogorywał tajemniczy więzień stanu — Walerian Łukasiński. Jednocześnie wszelakie Telimeny, a poza tym Wielhorsey i Chreptowicze, następcy i dziedzice Targowicy, rozkochani może nie w Rosji, ale na pewno w caracie, reprezentowali na salonach Polskę w nieco podobny sposób, jak księżęta Mingreli czy Mdivani Kaukaz, a skośnookie emirzeta — lenne chanaty Chiwy i Buchary. Petersburg był połączeniem grozy i możliwości, wykwintu i barbarzyństwa, mocy i melancholii. Ludzi, po których wczoraj zajeżdżała dworska karoca, mogła jutro wywieźć daleko policyjna kibitka. Na tronie carskim zbyt często syn wariat zasiadał po genialnej matce, brat żandarm po bracie mistyku, syn „liberal” po papie stupajce. I nawet przedział generacyj jeszcze tego nie zmieniał, bo „liberal” mógł na starość zakrzepnąć w tyрана, a tyran mógł w sobie odkryć na starość nikle nitki „liberalizmu”. Teraz był Aleksander II i on to niebawem, po kanclerzu Gorczakowie (kuzynie zmarłego w maju namiestnika), przyjął na dłuższej audiencji Wielopolskiego. Był to bodaj ich pierwszy osobisty kontakt. Car wysłuchiwał długiego raportu, podobnie jak śledowateli w bliższych nam czasach wysłuchiwał opowiadania. Wielopolski uderzył

w jedną stronę rządów Królestwem: w system wojskowy. Przed carem, który pozował na liberała, który chciał być Europejczykiem, jeździł do Erfurtu, Stuttgartu, Paryża, Londynu, przedstawił sceny batożenia panien „z dobrego domu” przez Baszkirów lub Kozaków, jawnych złodziejstw na wysokich szczeblach, wpadania do kościołów podczas nabożeństw. Cytował daty, fakty, nazwiska. Mówił o tym nie jako o krzywdach Polski, ale jako o błędach regime'u. Car słuchał. Władcy Rosji nie lubili mieć złej prasy na Zachodzie, choćby nie wiedzieć jak gardzili Zachodem. Car wiedział, że te, takie i tym podobne rzeczy są powtarzane echem przez gazety francuskie, angielskie, belgijskie, że tych kilkanaście tysięcy polskich emigrantów, jakich wygnał na Zachód rok 1831, przynajmniej jednego dokonało w toku swego zmarnowanego żywota: zohydziło światu Rosję. Do ich przyjścia młode imperium Romanowych było opromienione sławą mądrości Katarzyny Wielkiej, przyjaciółki Voltaire'a i Diderota, sentymentalnym liberalizmem Aleksandra Pierwszego, świetnymi zwycięstwami Suworowa, Kutuzowa, Bagrationa. Europa była wdzięczna Rosji za to, że miecz rosyjski skruszył na białych swych polach wielkiego najeźdźcę. Tymczasem w kilkudziesiąt lat później Rosja stała się krajem znienawidzonym, pogardzanym i ośmieszanym. Pewno, że sama polityka reakcyjna Mikołaja sprawiła tę zmianę; ale niemało przyczynili się do niej i rozsiani wszędzie po 1831 roku polscy emigranci, którzy pisana i uszną propagandą ukazywali Rosję od strony wyrazów, jakich Zachód od nich się uczył: knut, kibitka, ukaz, kozak, zsyłka, Sybir. Teraz słuchając Wielopolskiego car wiedział, że wszystko, co mu mówi ten Polak, będzie jutro w gazetach angielskich i francuskich, jeśli nie jest w nich już dzisiaj. Car wiedział, że jeśli ten system i ci ludzie będą dalej rządzić wojskowo Królestwem, to propaganda antyrosyjska będzie miała stale materiał do wykorzystania. A Wielopolski mówił:

usuńcie wojsko rosyjskie od rządu, wprowadźcie polskie rządy cywilne, będziecie mieli spokój.

Autokraci rosyjscy nie byli skorzy do decyzji. Car pożegnał margrabię bez wyraźnej odpowiedzi. Ale z Rosji nie wyjeżdżało się łatwo i Wielopolski pozostał w Petersburgu, formalnie dla zreferowania w Radzie Państwa projektu swych reform. Reformy te tymczasem uwięzły w innym ciele opiniodawczym: w owej stworzonej właśnie, a raczej wskrzeszonej tylko, warszawskiej Radzie Stanu. Prezydował tam teraz namiestnik, generał Lüders, zapamiętały wróg Wielopolskiego, który tego właśnie Lüdersa najczarniej osmarował przed carem; zasiadało tam paru biurokratów rosyjskich czy zruszczających, dla których Wielopolski polszczyjący urzędy był oczywiście wrogiem numer jeden. Toteż utracali, jak mogli, jego projekty reform. Zamiast jednolitej szkoły chcieli wprowadzić podział narodowościowy w szkolnictwie Królestwa traktując osobno Polaków, Żydów i Niemców. Najskuteczniej zsabotowali projekt ustawy o zniesieniu pańszczyzny, właśnie wprowadzany w życie. Obalili go wprost. Wielopolski w odpowiedzi podaje się raz jeszcze do dymisji z obu tych stanowisk, jakie posiadał w rządzie Królestwa: wyznań i oświaty oraz sprawiedliwości. 7 grudnia car „przychyla się“ do tej prośby i daje margrabiemu dymisję z jednoczesnym powołaniem go do owej Rady Stanu oraz z błękitną wstęgą jednego z wysokich orderów, jaki aż do przedwiośnia 1917 roku mieli nadawać carowie rosyjscy. Musiała ona przypominać panu z Chrobrza niejedyn portret rodzinny, pamiątki zamarłej przeszłości i smutną terażniejszość. Na carskim orderze widniały bowiem łacińskie litery napisu „Pro fide, rege et lege“ i lśnił orzeł ani barwą, ani kształtem nie przypominający czarnego bizantyjskiego orła Romanowych. Był to order Orła Białego.

Bardzo często ci, co chcą nam zaszkodzić, właśnie nam najwięcej pomagają; skargi generalicji rosyjskiej na Wielo-

polskiego pomogły mu najwłaśnie tym właśnie wezwaniem do Petersburga. Petersburg chciał wiedzieć, kim jest ów Polak, którego zachwalał zmarły namiestnik Gorczakow, a nienawidzili jego następcy, ten Polak, na którego szły nieustanne donosy, że jest ucieleśnieniem mickiewiczowskiego Wallenroda i wprowadza w życie przeciwko Rosji tamten sen poety. Toteż pierwszym uczuciem w stosunku do „margrafa“ była ciekawość. Nie tylko cesarz był ciekaw. Ciekaw był i kanclerz Gorczakow, i minister Wałujew, i prezes Rady Państwa, stary Błudow, ciekawi byli — jak ongi Kościuszki, choć inaczej — wielcy książęta i wielkie księżne, ludzie polityki i ludzie opinii. Wreszcie ciekawy był korpus dyplomatyczny. Sprawa polska stawiała się właśnie na nowo sprawą dyplomacji światowej, jak była nią za Kongresu Wiedeńskiego, albo w roku 1830, albo później w 1920, albo jeszcze w latach drugiej wojny światowej. Na chwilę, nie na długo, gdzieś po jednych rzeziach armeńskich a nowych awanturach hiszpańskich, ale była. W raportach, w szyfrach, w sprawozdaniach prasowych było pełno o Polsce: znudzeni śmiertelnie dyplomaci musieli naraz uczyć się, gdzie leżą Suwałki, co to była Unia Horodelska, co to są ci unicy i jakie są szanse na otwarcie zamkniętych w Warszawie kościołów? W kraju Polacy wiedzieli o tym zainteresowaniu i serca ich wzbierały nadzieją: sprawa polska wypływa więc znowu, tym razem zawińcie do portu! Byli oczywiście przekonani, że dyplomaci Zachodu myślą tylko nad tym, jak stworzyć wzorem Włoch niepodległych czy Grecji niepodległą Polskę w granicach, rzecz jasna, 1772 roku. Czyż trzeba powtarzać, jak bardzo się mylili? Uczciwsi dyplomaci europejscy myśleli tylko o tym, jak załagodzić los Polaków pod berłem carskim; mniej uczciwi widzieli w sprawie polskiej tylko ów wrażliwy, dobry do wykorzystania punkt imperium rosyjskiego, jak drażliwym punktem Anglii była Irlandia czy Indie. Ale właśnie w owym momencie było jeszcze inaczej. Oto Anglia i Fran-

cja — niedawni przeciwnicy wojenni Rosji, jej zwycięzcy w kampanii krymskiej — szukali teraz rosyjskiej przyjaźni, nie chcieli więc spraw spornych. Jak? Dlaczego? Francja, bo jej wrogiem ówczesnym była przede wszystkim Austria, wciąż siedząca jeszcze jedną nogą we Włoszech; Anglia — bo już należy to niemal do reguł polityki angielskiej, aby z wczorajszego wroga gotować sobie jutrzejszego alianta. Opinia publiczna obu tych państw przyjęła nader życzliwie pierwsze wiadomości o liberalnych reformach w Rosji, nie była nimi jednak uspokojona; a Polska? — pytano. Co z Polską? Dla rządów zachodnich pytanie było niewygodne; tym wygodniej było by natomiast móc oświadczyć, że w Polsce także nastaje okres reform. Nazwisko Wielopolskiego wysunęło się więc bardzo na czasie. Nareszcie — dla rządów zachodnich — znalazł się Polak, którego program niesie zmiany Polsce, a nie jest niemożliwy do przyjęcia dla Rosji. Nareszcie w sprawie polskiej nastanie pewne uspokojenie, przestanie ona nękać opinię Zachodu, przestanie zawadzać dyplomatycznym zabiegom o sojusz Zachodu z Rosją. Nareszcie korpus dyplomatyczny w Petersburgu będzie mógł oddać się mniej niewdzięcznym sprawom, jak sprawy unitów, Suwałk czy Podlasia. Wielopolski, Polak idący na kompromis, był im bardzo na rękę.

Poprzez długie dziesięciolecia utrzymywała się legenda o olbrzymim „szarmie” towarzyskim, któremu Wielopolski zawdzięczał to, że znad Newy, dokąd jesienią wyjechał po trosze jak zesłaniec, powrócił do Warszawy wiosną nieomal jak dyktator. Istotnie, ten człowiek w tym środowisku mógł i umiał czarować. Z nazwiskiem, z manierami łączył dużą kulturę osobistą, głębokie wykształcenie, wysoką inteligencję. Należał jeszcze do owych pokoleń z XVIII wieku ród wiodących, których wykształcenie nie zionęło profesorską nudą, a salonowość nie pokrywała się z bubkarstwem. Niezawodnie tym właśnie jedna przede wszystkim kobiety, jak ongi panią Pankratiew, córkę namiestnika Gorczakowa,

jak piękną i wpływową panią Calerghi, a teraz narwaną i czynną Antoinettę Błudow i wielce wpływową w. ks. Helenę. W Petersburgu jak w niejednej ówczesnej stolicy salony były potęgą. (Miały nią pozostać aż do ostatnich dni monarchii, a ostatnim ich ulubieńcem i protegowanym miał być, znany nam nieco inaczej niż margrabia, Grisza Rasputin). Otóż salony Wielopolski podbił. Ale cały szarm osobisty nie ważył ani wtedy, ani potem tyle, ile sobie niejeden z polskich czarusiów wyobraża. Tym, co decydowało — były poglądy. I otóż zarówno ambasador brytyjski, lord Napier, jak i francuski, Fournier, byli po paru tygodniach nie mniejszymi poplecznikami Wielopolskiego, jak Błudow i Rosjanie z dyplomacji. W tym samym czasie Austriak, hrabia Thun, stał się jego petersburskim wrogiem, a przedstawiciel Prus zaniepokoił się mocno. Ów przedstawiciel Prus był to nie byle kto. Niebawem miał opuścić Rosję i rozpocząć swoją wielką historyczną karierę, związaną na zawsze ze wspomnieniem Sedanu, jeszcze bardziej Wersalu, z utworzeniem Niemieckiego Cesarstwa i z przydomkiem, jaki mu dano, „żelaznego kanclerza“. Nazywał się Bismarck.

Tajemnicy, dlaczego nagle ów dymisjonowany Polak zainteresował tak żywo petersburski korpus dyplomatyczny, należy szukać w polityce tych państw. Wielka Brytania w owym czasie nie szukała zadrażnień z Rosją. Przeciwnie, była zwolenniczką pokoju. Nie podniecała też w żaden sposób kwestii polskiej. Przy swej zwykłej skłonności do kompromisu i postępu patrzyła z zadowoleniem na liberalizowanie się i europeizowanie Rosji, z niechęcią na jej nawroty reakcyjno-samodzierżawne. Uwłaszczenie włościan, łagodny kurs w stosunku do Finlandii i Polski, popuszczenie cugli w samej Rosji — otę były rzeczy, które lord Napier, prasa brytyjska i rząd Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii pochwalał, jeśli dostrzegł. Wprawdzie byli w Anglii również namietni jak nieliczni zwolennicy sprawy polskiej, obsyła-

jący parlament protestami i wołający o Polskę w granicach 1772 roku (nie zawsze wiedząc, co ta data terytorialnie oznacza), wprowadzie aż dwanaście miast angielskich, w tym m. in. i Cupar — miało pisać niebawem do Izby Gmin; ale poważna polityka brytyjska tak daleko nie szła. Była natomiast skłonna pomagać Polsce w uzyskaniu większych czy mniejszych ustępstw. Wielopolski, który szedł na porozumienie z Rosją, miał więc z tej strony wiatr w swe żagle. Miał je i z francuskiej. Fournier był roztropnym dyplomatą mglistego Napoleona III. I wtedy, i potem miał on stawiać na porozumienie francusko-rosyjskie. Ale Fournier wiedział, że na drodze do tego porozumienia tkwi stale jak cierni sprawa polska, że polska emigracja we Francji psuje mu i tak trudną robotę, a każda wieść o zamieszkach w Warszawie jeszcze ją bardziej uniemożliwia. Fournier był nieraz pomawiany przez Polaków o nieżyczliwość. W istocie był lepszym przyjacielem Polski niż wielu innych Francuzów, którzy w tym czasie bądź z lekkomyślności, bądź gorzej, dla własnej francuskiej gry, pchali Polaków przeciwko Rosji zagrzewając ich do oporu, choć wiedzieli dobrze, że Napoleon III, jak przyjdzie co do czego, zostawi Polaków na lodzie. Fournier nie obiecywał Polakom tego w imieniu Francji, czego Francja i nie chciała, i nie mogła dać. Ale Fournier nie odwracał się też z całym cynizmem od Polski, jak to później robili ministrowie spraw zagranicznych francuskich z parnych lat przed pierwszą wojną światową. Fournier także chciał kompromisu. I znowu w interesie porozumienia francusko-rosyjskiego musiał popierać Wielopolskiego. Tak samo w dyplomacji rosyjskiej pozyskiwał Wielopolski aliantów. Dlaczego? I to nie jest tak wielką zagadką. Dyplomaci rosyjscy mieli już dosyć tych ciągłych kwasów, jakie wywołuje na Zachodzie zachowanie się rosyjskich czynowników w Królestwie. Wiedzieli oni, że reformy w Warszawie będą miały „dobrą prasę“ na ich płacówkach, a stan obłężenia czy zamykanie kościołów wywiera, prze-

ciwnie, najfatalniejsze wrażenie. Tak carskie M. S. Z. było przeciwko carskiemu M. S. Wew.

Nieprzyjaźń, jaką okazywał za to Wielopolskiemu ambasador austriacki, hrabia Thun, była niemniej cenna, jak przyjaźń angielska i francuska. Austria była mocno niepopularna nad Newą. Pamiętano jej „niewdzięczność” za rok 1848, kiedy Rosja dławiąc powstanie węgierskie ratowała koronę Habsburgom, wytykano jej, że u schyłku wojny krymskiej stanęła przeciw Rosji, niemiły był jej katolicyzm, pogardę wzbudzała słabość. A wreszcie prądem podskórnym, jaki nurtował w Rosji, był właśnie panslawizm. Pisarze, doktrynerzy, młodzież, armia i cerkiew były pełne litości nie tylko dla braci Serbów ciemnionych przez Turków, ale jeszcze i dla braci Czechów, a także braci Słowaków i braci Rusinów, i braci Chorwatów, i wielu innych jeszcze braci, których ciemniży katolicki Niemiec z Wiednia. (Zjazd praski Słowian w burzliwym roku 1848 nie pozostał, jak widzimy, bez echa). Ten panslawizm miał dla Polski swoje niebezpieczeństwa i swoje nadzieje. Niebezpieczeństwa, bo zmierzał przecież do „złania wszystkich słowiańskich rzek w jedno rosyjskie morze”; nadzieje, bo zdawało się, że głosiciele słowiańskiej idei nie mogą przecież tępić do spółki z Germanami jednego z czołowych słowiańskich narodów. Wiatr słowiański dał więc częściowo w żagle Wielopolskiego, ale nieraz zwracał się przeciwko niemu. Dlaczego? Bo Wielopolski sztandaru słowiańskiego wyraźnie nie rozwinął. Prawda, był jego list do Metternicha, był jego udział w zjeździe praskim, był panslawizm jego szwagra i o panslawizm pomawiali go jego wrogowie w Polsce. Ale Rosjanie wiedzieli, że w Polsce bardzo chętnie przylepia się ludziom poglądy, których nigdy nie wypowiadali i wiedzieli, że Wielopolski nie wypowiada się zbyt jasno w tej sprawie. Mamy zbyt mało materiału w ręku, by odpowiedzieć i na to pytanie, czemu zachowywał tę rezerwę. Może odegrały tu rolę względnie zasadnicze. Panslawizm był antykatolicki — Wielopolski

był zagorzałym katolikiem; panslawizm był antyszlachecki — Wielopolski czuł się mocno szlachcicem; panslawizm chciał Polskę — wprawdzie w dalekiej przyszłości — roztopić w słowiańskim morzu — Wielopolski chciał odbudować w Polsce polskie państwo. Panslawizm wreszcie kultywował w Rosji pogardę dla „zgniłego“ Zachodu; Wielopolskiego całe jego wykształcenie łączyło z tym Zachodem. Bliski był mu nie Puszkina, ale Goethe; nie Samarin, a Hegel; nie Kołomna, ale Getynga. Synów wychowywał w śląskim Wrocławiu, a nie w Korpusie Paziów. Było by to dość wiele racji. Ale poza tym były racje taktyczne. Może nie mniejsze niż tamte.

W ciągu obecnego opowiadania już nieraz potykaliśmy się ze strony Rosjan o nazwiska niemieckie, takie jak Lüders, Kruzenstern, Hube, a było ich jeszcze więcej i w Warszawie, i w Petersburgu. Dwór, armia, dyplomacja, administracja była pełna zruszczających Niemców. Jedni przyciągnęli z głodnych Niemiec nazreć się rosyjskiego kołacza, inni byli to dumni baronowie bałtyccy. Żony cesarzy od pokoleń były Niemkami. Prąd słowiański dopiero zaczynał podmywać ten stan rzeczy i aż do upadku nie zdołał go podmyć ostatecznie. Wielopolski liczył się z tym. Miał zbyt wielu wrogów, by szukać jeszcze jednej wojny. Za to tam właśnie poszukał sobie aliantów. Był spokrewniony z Meyendorffami, z Nesselrodami, miał protektorki w Niemkach — wielkich księżnach. Wolał wygrywać tutaj swój arystokratyczny kosmopolityzm niż antyniemiecką słowiańskość. Nie mówił też pewnie jeszcze o Poznaniu ani o Śląsku, choć wiemy, że kiedyś myślał o nich, gdy nie myśleli inni. W rezultacie mniej sobie pozyskał słowianofilską opinię, za to znacznie bardziej miarodajny, dworsko-dyplomatyczno-urzędowy Petersburg. Toteż już z początkiem roku 1862 święcił pierwsze sukcesy. Ich zapowiedzią była głośnie scena w dniu Nowego Roku, kiedy w Pałacu Zimowym Aleksander II przyjmował życzenia. Wielopolski nie zajął wtedy miejsca wśród admi-

nistracji i dygnitarzy rosyjskich, do których przynależał jako członek Rady Stanu, ale podrażniał najspokojniej w szeregi posłów i ambasadorów państw obcych. „Reprezentuję tu króla polskiego u rosyjskiego cesarza” — miał rzec wedle anegdoty ochmistrzowi dworu. „Gordyj Paliak” postawił na swoim i owego jednego jedyne go Nowego Roku w czasie całego stulecia przedstawiciel nieistniejącej Polski figurował obok posłów Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, Hiszpanii. Anegdota dotarła do Warszawy, a że Polacy lubią gesty, więc naraz jakimś laskawszym okiem spojrzano na margrabiego. Rosyjscy biurokraci nad Wisłą, którzy jak szarańcza poleźli na opuszczone przez niego stanowisko, ponownie przykucnęli z wrażenia.



Niebawem miało się okazać, że wpływ margrabiego nie tylko nie zamarł nad Newą, ale dopiero rozkwita. Przede wszystkim przeprowadził on nominację nowego arcybiskupa warszawskiego. Było to walne zwycięstwo. Ze swym programem odsunięcia Kościoła od polityki Wielopolski stał się w zeszłym roku wrogiem numer jeden dla polskiego duchowieństwa i schorzały arcybiskup Fijałkowski, równie zacny jak mierny, udrapował się w ostatnich miesiącach swego życia na nowego Stanisława Szczepanowskiego, gotowego umrzeć za wiarę z rąk nowego Bolesława Śmiałego, jakim w tej teatralnej charakteryzacji miał być margrabia. Kiedy zmarł, ruch narodowy wykorzystał jego pogrzeb dla demonstracji z tym samym zamiłowaniem do żerowania na pogrzebach, z jakim czyniono to w Polsce nie tylko w owych czasach. Jego tymczasowy zastępca, znany ksiądz Białobrzeski, był jeszcze bardziej w ręku nastrojów ulicy i młodzieży, co zakończyło się zamknięciem kościołów dla ludu, a Białobrzeskiego w cytadeli. Teraz chodziło o następcę. Miał on otworzyć kościoły, uspakajać wiernych, prowadzić duchowieństwo. W tak religijnym i w dodatku podnieconym spo-

leczeństwie była to jedna z kluczowych pozycji. Toteż i kapituła warszawska, i rosyjska władza wystąpiły z kandydaturami. Pierwsze z nich byłyby doskonałe, gdyby chodziło o zamienienie ambon na trybuny; drugie byłyby jeszcze lepsze, gdyby chodziło o przerobienie konfesjonału na dodatkowy departament policji. Kandydatury właściwej brakło. Wielopolski rozejrzał się szerzej i z zupełnego ukrycia wydobyl niespodzianie młodego księdza o ciekawej przeszłości. Jego matka należała do radykalnego spisku Konarskiego po roku 1830, on sam był ranny w bitwie pod Miłosławiem w 1848 roku w Poznańskim, a jeszcze przedtem w małym mieszkaniu w Paryżu asystował ostatnim chwilom Juliusza Słowackiego. Nazywał się Zygmunt Feliński. Zdawało się, że kto jak kto, ale właśnie patriotyczna Warszawa przykłaśnie takiemu wyborowi, a w rzeczywistości rozzłościła się jeszcze. Młody arcybiskup w lutym objął władzę w swej trudnej diecezji. W lutym też, dzień przed tym wydarzeniem, Wielopolski składał w Petersburgu swój ostatni memoriał. Był to jakby rozkaz natarcia wydany po długim artyleryjskim przygotowaniu.

W tym memoriale, który w ten czy inny sposób znalazł miarodajny Petersburg, Wielopolski posuwał dalej swe rozumowania. Co dał, zapytywał w memoriale, ów stan wojenny trwający w Królestwie od tylu miesięcy? Czy powierzenie sprawy czynnikom wojskowym przyniosło obcywany spokój? Czy ustały demonstracje, wrzenie, starcia? Czy prasa europejska przestała zapełniać się przykrymi dla Rosji wiadomościami znad Wisły? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko negatywna. Całe wrzenie nie tylko nie ustało pod zbawiennym wpływem nahaiki, ale jeszcze się wzmoгло. Zarazem Wielopolski parował możliwe zarzuty.

- Może to jednak reformy nie dały rezultatu? Może i one nie przyniosły uspokojenia? Tak, ale nie przyniosły ich dlatego, że przyszły za późno, że były tylko połowiczne, że jednocześnie władza w Królestwie pozostała w ręku generalskich

stupajek. Trzeba dalej posunąć reformy i trzeba usunąć stupajki. Rządy w kraju muszą być polskie i muszą być — cywilne.

Memoriał uzasadniał reformy już zakreślone przez Wielopolskiego przed niespełna rokiem, a zarazem wyrażał jego pogląd na sprawy polskie. Oto, jak na przykład bronił dwóch swoich reform socjalnych: oczynszowania włościan i równouprawnienia Żydów: „te dwie warstwy ludności, dotąd w poniżeniu zostawione, przeznaczone są na to, aby społeczność odnowić *ograniczając i zrównoważając* przewagę żywiołu szlacheckiego“. Nie tykając trzech niemożliwych dla Rosji rzeczy, to jest konstytucji, armii i Kresów, żądał najszerzego wyodrębnienia Królestwa. Ku temu miało służyć ustanowienie „naczelnika rządu cywilnego“, któremu podlegałaby cała władza w kraju, z wyjątkiem wojskowej. Powinien być nim Polak. Ale Wielopolski wiedział dobrze, że tak daleko Rosja nie pójdzie i uzupełniał ów projekt inną instytucją. Oto Królestwem rządził od dawna cesarski namiestnik. Byli nimi teraz kolejno różni generałowie rosyjscy, ale kiedyś był nim (faktycznie) wielki książę Konstanty Pawłowicz, brat twórcy Królestwa, Aleksandra I, ponury bohater parad na placu Saskim. Jeszcze przedtem był nim oficjalnie polski generał Zajączek. Trzeba wrócić do tamtej tradycji, to jest poszerzyć z powrotem rolę namiestnika i zamianować nim „księcia krwi cesarskiej“. Oto, co sugerował projekt Wielopolskiego. Dwie kandydatury były brane pod uwagę. Jedną z nich była osoba brata cesarskiego. Był to także jak ongiś Konstanty, ale liberał, słowianofil i zwolennik reform. Drugim był przebywający nad Newą książę meklemburski. Skąd niemiecka kandydatura u „pan-sławisty“ Wielopolskiego? Ano, może i dlatego, że dynastia meklemburska spokrewniona wtedy z rosyjską wywodziła się w prostej linii od zachodnio-słowiańskich dynastów obotryckich. Pod niemieckim pokostem trwały w niej ślady słowiańskie. I jedna, i druga kandydatura wprawiała też

w ruch koła dworskie. Obie wprawiały w ruch także dyplomację europejską.

Na owym przedwiośniu 1862 roku nieustające demonstracje w Warszawie na krótką chwilę wysuwały sprawę polską. Polska na nowo wchodziła na pierwsze kolumny dzienników, występowała w debatach parlamentarnych, w wiecowych rezolucjach. Ci, co nadsłuchiwali tych ech z Warszawy, mogli się cieszyć ze swego dzieła. Niebawem jednak zawiedli się w jego skutkach. Stało się to przede wszystkim w Anglii. Nawet przyjazny Polsce lord Carnarvon składając petycję 12 miast brytyjskich o interwencję rządu królewskiego w sprawie polskiej skarżył się na „pierwiastek uczuciowy“, jaki w tę sprawę wnoszą „niepotrzebnie“ Polacy. Jeszcze więcej wody na głowy lał potem Palmerston, a może najwięcej dokuczył leader gabinetu, lord Russel. Lord Russel prowadził ostrożną i umiarkowaną politykę. Nie pochwalał wcale metod stosowanych przez Rosję nad Wisłą; ale wiedział, że żądania polskie można wymusić na Rosji tylko przez wojnę; i lord Russel nie zamierzał wcale obiecywać Polakom tej wojny. Było to niewątpliwie stanowisko uczciwe, odmienne od tego, jakie zajmowali ministrowie Napoleona III. Postawiony między cesarskim bezprawiem a polskimi żądaniami lord Russel bardzo po angielsku szukał kompromisu. Jedyłą nadzieję, jaką mógł rzucić i Polsce, i jej przyjaciółom było bardzo angielskie oświadczenie: „Polak został wezwany do Petersburga i o tyle, o ile ogólnym pogłoskom wierzyć można, rada jego była mądra i właściwa, jako pochodząca od męża żywo pracującego nad losem ojczyzny swojej, ale który uważa za niepodobieństwo rozerwanie jej związku z Rosją“. Tak więc ów wiatr dyplomacji europejskiej zasilany warszawskimi zaburzeniami nie wiał w żagle tych, co owe zaburzenia wzniecali, ale dał dalej w żagle ich przeciwnika. Polska wiedziała dobrze, kim jest ów Polak „wezwany do Petersburga“ i tak chwalony przez brytyjskiego premiera. Ów Polak tymczasem był już

jakby zmęczony prowadzoną od tyłu miesięcy grą. „Z bliską rocznicą wstąpienia mego do rządu — pisał do żony—wyglądam z upragnieniem powrotu do Chrobrza, gdzie niedługo słonki nad brzeziną ciągnąć będą”. Niebawem okazało się, że w warszawskiej Radzie Stanu przypadają właśnie jakieś ważne obrady (wciąż nad tymi samymi projektami reform) i Wielopolski na parę tygodni pomiędzy marcem a kwietniem pociągnął za Wisłę. Trochę może dla reform, trochę pewno i dla tych słonek. Ludzie, proszę państwa, są ludźmi.

W Warszawie jego pobyt zaznaczył się przykrymi aluzjami czynionymi i namiestnikowi Lüdersowi, i jego czynownikom na pełnym posiedzeniu Rady Stanu: groźny saldafon i ci, co po Wielopolskim objęli jego teki, mogli mieć teraz przedsmak niedalekiej przyszłości. Kiedy bowiem Wielopolski odjechał raz jeszcze do Petersburga, już rozkwitającego najwcześniejszą północną wiosną, wypadki dojrzały do rozstrzygnięć. Jeszcze w maju car podpisał ukaz, wprowadzający w życie reorganizację szkolnictwa w Królestwie Polskim, a w pierwszych dniach czerwca podpisywał kolejno inne ukazy: o równouprawnieniu Żydów i o oczynszowaniu chłopów. Koronacją tego wszystkiego były jednocześnie dwie nominacje: na podstawie jednej wielki książę Konstanty, cesarski brat, ów liberal i słowianofil, zostawał namiestnikiem w Warszawie, na podstawie drugiej Aleksander Wielopolski obejmował stanowisko naczelnika rządu cywilnego. Wielki książę pozostał jeszcze nad Newą. Musiał przygotowywać sobie wjazd, dwór, świtę. Był to człowiek ambitny, który kiedyś podobno roił sny o tronie w Konstantynopolu, a potem jeszcze o koronie czeskiej. Nad Newą u boku brata cesarza było mu za ciasno, tak samo jak bratu cesarzowi ten młodszy brat deptał nieco po piętach. Wicekrólestwo w Warszawie leżało na pół drogi do Pragi. W razie wojny europejskiej mogło być do niej etapem...



Wielopolski przed nim dnia 13 czerwca przybył do Warszawy i podobno nigdy potem nie mógł Warszawie zapomnieć jej chłodnego powitania. To, co przywoził, to było przecież bardzo wiele, a wróżyło może zapowiedź zmian dużo większych. Był to świt nadziei po trzydziestu latach bezgwiezdnej nocy ucisku. Ale Warszawa pozostała obojętna i to nie tylko owego dnia, choć Wielopolski rozpoczął niewdzięczne zadanie zjednywania sobie rodaków. Na prezentacji, kiedy w jego nowej siedzibie, Pałacu Brühlowskim na Wierzbowej, zjawili się notable Warszawy, pierwszym jego krokiem było skierowanie się do młodego arcybiskupa Felińskiego z prośbą o błogosławieństwo. Stary pan wyposażony we władzę, obejmujący rządy w tym kraju, na pewno daleki od pokory schylił publicznie i nisko głowę przed młodym księdzem, z jego rękojmi piastującym wysokie stanowisko w kościelnej hierarchii. „Pragnąłbym, by pierwszy mój krok był zwróceniem się o błogosławieństwo do przedstawiciela Kościoła“ — powiedział i jeśli taki akt był dowodem „bezmiernej pychy“, o którą posądzano tego człowieka, to istotnie w Polsce nie trudno o opinię pysznego. Czy tak postępuje dyktator? Chyba nie. Dalszy krok także nie był potwierdzeniem rozpuszczanych legend. Obchodząc salony, witając się z przybyłymi ukłonem, paroma zdaniem, chwilą rozmowy, tak by w tym tłumie nie pominąć nikogo, ujrzał w jednej z sal grupę ludzi stojących przy kominku, a wśród nich chudą, smutną, zamyśloną postać Pana Andrzeja. Niezwłocznie na oczach wszystkich zwrócił się ku niemu.

Zamoyski przybył do Pałacu Brühlowskiego jako jeden z przedstawicieli Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Ale oczywiście, jeśli tylko nie chciał, mógł bardzo dobrze nie przyjść. Przyszedł. Stał za to nadąsany. Na ukłon Wielopolskiego odpowiedział ukłonem tak sztywnym, że gdyby to uczynił margrabia, jużby warczano po salonach: „co za pyszałek!“. Wielopolski podszedł ku Zamoyskiemu z wyciągniętą dłonią. Obyczaj ówczesny był raczej zbliżony do an-

gielskiego i nie szafował zbyt tym gestem. Ale Pan Andrzej ze swej strony nie zaszafował nim tym razem — i margrabia, aby nie narazić się na przykrość towarzyską, musiał dokończyć swego gestu powitalnego machnięciem ręki w powietrzu. Niemniej, nie skończył na tym. Wyraził radość, że widzi Pana Andrzeja i zapowiedział, że gdy go ten jeszcze raz odwiedzi, to Wielopolski zapozna go z nowymi projektami reformy; Zamoyski, upewniał margrabia, znajdzie w nich echa wspólnych klemensowskich rozmów. Czy można było uczynić coś więcej w stosunku do przeciwnika, który ostatecznie sam sobie zawdzięczał swe niepowodzenia? Wielopolski wyrażał wolę współpracy pomimo dawnych uraz, pomimo tego, że Zamoyski zjawił się u swego wroga tylko po to, by mu pokazać nieco dzieciennie swe humory. Dzieje podania ręki tych dwóch ludzi są zresztą dosyć znamienne. W parę tygodni potem miały się ich dłonie zetknąć jednak w uścisku, wtedy miał to sprawić wielki książę Konstanty. Okazało się więc, że na patriotycznego Katona działa znakomicie urok cesarzewicza. W wiele lat później w Dreźnie, już po 1863 roku, Pan Andrzej z własnej już inicjatywy zapragnął uścisnąć rękę pokonanego margrabiego. Ale wtedy to już Wielopolski polecił odpowiedzieć smutnie i odmownie. Było za późno.

Odmalowałem tę scenę, bo jest ona ogromnie znamienna dla wszystkich osób dramatu, bo pokazuje nam Wielopolskiego jako szukającego współpracy i porozumienia, a jego przeciwnika jako nadąsanego dzieciaka, który sam nie wie, czego chce. Scena była bardzo polska. Wielki człowiek, który doszedł do władzy, był skłonny do puszczenia w niepamięć wszystkiego; społeczeństwo na sam widok sukcesu zamroziło się chłodem. W tym chłodzie było niewątpliwie wiele lodu zawiści i dopiero w tej aurze pleniły się zarzuty. Co teraz miano za złe Wielopolskiemu? Gdzie leżały źródła tej niechęci? W dużej mierze w teorii szeroko rozpowszechnionej przez przeciwników Wielopolskiego. Kiedy im mówiono, że uży-

skął on nad Nową wiele, wydymali, tylko niechętnie usta i dawali do poznania, że sytuacja była tak „łatwa“, że „każdy“ na jego miejscu uzyskałby o wiele więcej. To, co uzyskał, było zaś „sprzedaniem za miskę soczewicy reform całego dziedzictwa Polski Jagiellońskiej“. Posłuchajmy, co pisze historyk owych czasów: „W głowach majaczyło fałszywe przeczucie wielkich komplikacyj w Europie i w Rosji, wśród których Polska niepospolitą miała odegrać rolę, a stąd teoria mglista, aby przyszłości nie zaprzedać, z Rosją się nie wiązać“.

Warszawa pozostała zaś obojętna nie tylko dla tych wszystkich przyczyn, ale jeszcze i z tej racji, że przez ów prawie rok życie polskie podzieliły między sobą dwie wielkie konspiracje: „białych“ i „czerwonych“. Historycy mówią nam o nich zawsze bardzo wiele, ale zawsze jako o czymś, co już jest i powstało, a nie pokazują nam, jak powstawało i z czego. Organizacja „białych“ wyrosła z dawnych kadr rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego. Miało ono w kraju ponad 3.000 członków, poważnych ziemian; teraz wchłonęło zamożniejsze żywioły miejskie. Gdyby Polska żyła życiem normalnym, byłiby to pewno torysi czy konserwatyści ówczesnej Polski. Ale Polska nie żyła normalnym życiem wolnego narodu. Innym produktem jej nienormalnego życia była konspiracja „czerwonych“. Jakże ona powstała? Pierwszymi jej zaczątkami — poza załóżkiem słabiutkich dawniejszych spisków — była organizacja owej Straży Obywatelskiej, którą Gorczakow pozwoili utworzyć po dniu Pięciu Poległych, aby zastąpiła na ulicach Kozaków i Czerkiesów. Margrabia ją potem rozwiązał, ale znowu kadry przetrwały. Manifestacje narodowe, w jakich wyspecjalizowała się Warszawa, wymagały również coraz więcej organizacji i w nich też wydoskonalily się odpowiednie kadry — zwykle te same ze Straży Obywatelskiej. Kierował nimi powstały niebawem organizacyjny ośrodek — „Komitet Miejski“. Z czasem, kiedy ruch przerzucił się na prowincję,

komitet miejski stał się Komitetem „Centralnym”. Rzemieślnicy warszawscy, radykalna młodzież, dawni sybiracy, czasem emisariusze z emigracji — oto był ich główny element. W każdym innym kraju z takich elementów powstawały stronnictwa republikańskie, liberalne czy wprost lewicowe. Była to rzeczywiście lewica.

„Delegacja” — tak nazywano kierowniczy ośrodek „białych” — uznała wcześniej za swego wodza Pana Andrzeja, choć nie należał do niej. „Czerwoni” nie ustalili u siebie takiego kierownictwa, ale znaczna ich część pozostawała pod wpływem Pana Ludwika. Ale Ludwik Mierosławski, bohater procesu berlińskiego i 1848 roku, polski Garibaldi in spe, był jednak daleko poza granicami kraju i szkolił sobie we Włoszech, w Genui i Cuneo, takim Coetquidanie owych czasów, przyszły narybek oficerski powstańczej armii. Pan Andrzej tak samo stał poza ruchem „białych”. Przeto w obu ruchach w nieobecności generałów wybili się podkomendni. U „białych” byli nimi Kurtz, Węgłęński, Kronenberg, u „czerwonych” przede wszystkim Ignacy Chmieleński. Był to niewątpliwie najradykalniejszy z „czerwonych” i zarazem najmłodszy. Liczył niewiele ponad lat dwadzieścia. Przybył z Kijowa, gdzie studiów nie skończył, miał odegrać dość nieciekawą rolę w powstaniu i zniknął później bez wieści. Chmieleński parł do rychłego zbrojnego powstania, a od paru miesięcy miał już w tym sojusznika. Był nim przybyły z Petersburga właśnie wtedy, kiedy przebywał tam margrabia, Jarosław Dąbrowski. Dąbrowski należał do paru oficerów Polaków, spiskujących w Petersburgu i połączonych niemi konspiracji z podobnymi akcjami w armii rosyjskiej, a nawet z tajną, potężną, legendarną i terrorystyczną późniejszej „Ziemli i woli”. Od stycznia będąc w Warszawie nawiązał kontakt z oficerami tutejszych załóg rosyjskich. Wespół z nimi opracowano plan opanowania Modlina, cytadeli warszawskiej i arsenałów. Wyznaczono nawet termin: 26 czerwca. Po tej dacie miała bowiem nastąpić translokacja pułków

rosyjskich i wszystko byłoby stracone. Spisek zatem dojrzał właśnie wtedy, kiedy Wielopolski odnosił swe zwycięstwo. Wybuchnąć jednak nie zdołał. Z jednej strony udamremniła go rosyjska policja, która wyaresztowała oficerskich konspiratorów i oddała ich sądowi wojennemu. Z drugiej wpływy „białych“ przerażonych widmem powstania wygryzły z Komitetu Centralnego Chmiieleńskiego i najczerwieńszych. Konspiracyjna organizacja „czerwonych“ uległa rozbiciu: straciła swoje masy. Miało to natychmiastowy wynik, widoczny na ulicach Warszawy, a także dostrzegalny z zagranicy. Demonstracje bowiem albo ustały, albo osłabły.

Pomimo aresztowań, pomimo rozłamu nie przestał jednak istnieć sam rdzeń rewolucyjnej konspiracji. Dąbrowski został aresztowany, ale Chmiieleński działał. Jak jednak mógł działać, kiedy odeszły od niego masy? Jakże mógł działać, kiedy pozostała przy nim dynamiczna, ale niewielka grupa? W tych warunkach przejście od demonstracyj do aktów terroru nasuwało się samo. Znienawidzonych ofiar także nie brakło. Przede wszystkim bowiem odbył się sąd nad aresztowanymi oficerami Rosjanami. Zostali oni skazani na śmierć i wyrok ten zatwierdzony przez Lüdersa został wykonany w końcu czerwca. Nazajutrz strzał rewolwerowy w ogrodzie Saskim zranił ciężko Lüdersa. Pozbawił tym Wielopolskiego jego starego wroga, a przyspieszył przyjazd do Warszawy jego przyszłego partnera: wielkiego księcia.

Istotnie, witany przez polskich urzędników, rosyjskich generałów i warszawską ulicę zjawił się po kilku dniach „Konstanty numer dwa“. Aby jeszcze bardziej podkreślić nawrót do tradycji sprzed tamtego powstania, wyznaczono mu na mieszkanie pusty przez wiele lat Belweder. Wielkiego księcia nie powitały owacje: parę okrzyków „niech żyje... król“ nie zostało podjętych przez ciżbę w Alejach. Ale wieczorem w teatrze miało być gorzej: strzelił tu i zranił Konstantego młody warszawski zecer Jaroszyński i wielki książę powrócił do Belwederu z ręką na temblaku. Polacy

nie lubią zamachów. Toteż nazajutrz salony Belwederu wypełniły się przedstawicielami całej Polski — a przynajmniej tej Polski, która zazwyczaj bywała wtedy w salonach. Poławny wielki ksiąę był bohaterem dnia. Współczuła mu Warszawa, pisały o nim paryskie gazety, w dalekim uko-
chanym Pitrze popy piał molebnie w cerkwiach, a damy piszczały w salonach. Wicekról postanowił wykorzystać sytuację do zagrania roli politycznej. Wezwał Polaków do współpracy z nim „dla dobra kraju” i złączył w jednym uścisku dłonie Pana Andrzeja i Wielopolskiego. Był to jego miodowy polski okres, a kiedy narodził mu się już w Warszawie syn, dano dziecku obce Romanowym imię Wacław, co było podobno ukłonem w stronę Czechów, ale zostało zrozumiane przez Polaków jako gest w stronę Polski. Katedra świętego Jana w czasie nabożeństwa dziękczynnego za ocalenie wielkiego księcia zapeliła się tłumami wiernych. Tym razem nie śpiewano owych hymnów narodowych, których Rosjanie tak się bali. Szala zdawała się przechylać.

Ale krew wielkiego księcia, jego słowa i gesty nie wszędzie miały wywołać tak łagodzący efekt. U konspiratorów lewicowych nie odegrały żadnego. Rzemieślnicy warszawscy, sybiracy i mieroślawszczycy nie mieli tak miękkich serc. Terrorysty Chmielęńskiego szukali sobie tylko dalszych i nowych ofiar. Margrabia nastroczał się sam. Przemaszając po zamachu na Konstantego w Radzie Stanu powiedział przecież, iż „nowe strzały, jeśliby jeszcze paść miały, w moje niech uderzą piersi” i życzenie to postanowiono spełnić. Nie czekano nawet z tym długo, bo zaledwie do sierpnia. Najpierw rzemieślnik, litograf Ryll, strzelił do niego z rewolweru, kiedy margrabia wchodził do gmachu Komisji Skarbowej na placu Bankowym; w kilka dni później na przejeżdżającego Alejami rzucił się ze sztyletem zatrutym inny zamachowiec, Rzonca. W obu wypadkach starszy, ocięzający pan okazał swą zwykłą zimną krew i impet.

W jednym nawet sam rzucił się z łaską na spiskowca i pomógł policji w ujęciu go. Polska miała dosyć tych nowych zamachów. Teraz nawet wokoło margrabiego nastąpiła odwilż sympatyj. Z Petersburga posłowie angielski i francuski depeszowali z zapytaniami o zdrowie; w Warszawie konsulowie francuski i angielski pospieszyli do Brühlowskiego Pałacu; a ton prasy zagranicznej wskazywał, że Zachód doradza Polsce drogę Wielopolskiego, a nie drogę zamachowców. Wtedy także do margrabiego przyszli jako nieformalna delegacja „białych“ Kurtz, Węgleński i Kronenberg ofiarując nie bardzo sprecyzowaną współpracę. Ale Wielopolski miał im odpowiedzieć, że współpracy tej nie potrzebuje. Epoka lubowała się w złotych myślach. Upamiętniła też ówczesne — jakoby — zdanie Wielopolskiego: „Dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami — nigdy“.

Przeciwnicy Wielopolskiego widzą źródła jego ówczesnej klęski właśnie w dwóch aktach. Jednym z nich jest to, że nie postarał się o ułaskawienie zamachowców czy też — jak głośniejszemu zresztą twierdziła prasa podziemna — właśnie uczynił wszystko, by zawiśli na szubienicy. Widok tych szubienic rozwiął też niebawem owe mgły sympatyj, jakie po zamachach urastały nawet wokoło margrabiego. Po dziś dzień jednak historia nie dała nam dowodów na to, że Wielopolski istotnie interweniował o nieułaskawienie skazanych, a w Rosji nawet za samo przygotowywanie zamachu groziła kara śmierci. Nie zapominajmy i o tym, że wszyscy wrogowie Polski w Rosji i tak pomawiali Wielopolskiego o... wallenrodyzm i skryte sprzyjanie ruchowi podziemnemu: jak piękny mieliby argument, gdyby teraz prosił o życie zamachowców. Nie. Właśnie jako mąż stanu Wielopolski nie mógł prosić o łaskę ani dla Jaroszyńskiego, ani dla Rylla, ani dla Rzoncy.

Drugim, współczesnym prawie potknięciem się była owa odpowiedź udzielona przywódcom „białych“, gdy przychodzili ze współpracą. „Dla Polaków można czasem coś zrobić,

z Polakami nigdy". Ale przeciwnicy Wielopolskiego zapominają o tym, że kilka tygodni wcześniej tych samych ludzi przyjął ten sam Wielopolski inaczej, choć pochodzili z dykcji „białych“, choć byli ongi filarami Towarzystwa Rolniczego, jak Węgleński, choć należeli do najbliższych ludzi Pana Andrzeja. Więcej: wtedy wystarał się dla nich o nominacje do Rady Stanu, do której weszli właśnie z jego poręki. Wprowadzenie do Rady Stanu nie było na pewno „odmówieniem współpracy“. Dlaczego zatem po tych kilku tygodniach Wielopolski odmienił ton? Odpowiedź jest tylko jedna: bo tymczasem już w Radzie Stanu owi trzej działacze rozpoczęli dyskretną, nieciekawą, a za to bezgranicznie naiwną intrygę.

Było to w okresie, kiedy większość reform Wielopolskiego wchodziła już w życie i kiedy z wyjątkiem włościańskiej wywoływały one ogólne zadowolenie rozsądniejszych kół społeczeństwa. Czy to samorząd, czy równouprawnienie, czy dalsze, energicznie prowadzone polszenie urzędów, czy wreszcie najlepsza, szkolna, jednak chwytali. Opustoszały od tylu lat Belweder ożył. Wielki książę z młodą małżonką prowadzili tam istotnie „dwór“, a jak wiemy, Polaków czasem okropnie zrażają zupełnie drobne, nieistotne rzeczy tak samo, jak pociągają jeszcze mniej istotne od tamtych gesty. Groza wybuchu zbrojnego i zamachów, które dojrzały w tyglu zeszłorocznych demonstracji, także robiła swoje. Przeto znaczna część „białych“, a zwłaszcza rozsądniejsi z nich, zaczęli patrzeć na sytuację nieco inaczej jak przed rokiem. Czy ich własny, namiętny opór przeciw „paktowaniu z Rosją“ był istotnie tak bardzo mądry? Czy polityka Wielopolskiego była istotnie tak bardzo zbrodnicza? Czy system inercji, tak entuzjastycznie przyjęty przez nich, był objawem politycznej mądrości? Jeśli Kurtz, Węgleński i Kronenberg, działacz ekonomiczny, ziemiański i wielki bankier, Rotszyld Królestwa — przyszli w czerwcu do współpracy i weszli do Rady Stanu, to był to widoczny objaw tego, iż „biali“ zmie-

niali zdanie. Ale jeśli myślimy, że przekonawszy się do polityki Wielopolskiego poczęli Wielopolskiego popierać, to myślimy się bardzo. Zaczęli znowu myśleć o tym, jakby robić *politykę Wielopolskiego bez Wielopolskiego*. To jest prowadzić na własną rękę politykę porozumienia z Rosją, którą półtora roku przedtem tak namiętnie zwalczali.

Intryga tych trzech ludzi docierała do salonów Belwederu, a także przygotowywała grunt w całej Warszawie. Plotka, główny oręż polityczny w Polsce, nastawiła się na nią zupełnie. Pełno było teraz ludzi głoszących, że nigdy nie byli przeciwnikami porozumienia z Rosją, ale przeciwnie, jego największymi, istotnymi zwolennikami. Oni tylko uważali, że Wielopolski nie dość dobrze tę partię rozegrał: oni — albo „inni ludzie“ — rozegraliby to lepiej. Rosyjskie audycje tej intrygi miały inne nagranie. Dowodziły, że porozumieniu polsko-rosyjskiemu szkodzi najbardziej właśnie... inicjator tego porozumienia. Wielopolski jest niepopularny, nie lubiany; gdyby na jego miejsce przyszedł ktoś inny... Czasem plotka rzucała już nawet nazwisko: Węgleński, wysunięte w dużej mierze dlatego, że Pan Andrzej, jak polski hrabia Chambord, nie tylko nie chciał rządu dla innych, ale nie chciał go i dla siebie. W końcu lata propaganda zrobiła swoje nie tylko wśród Polaków, ale także i w białym Belwederze. Czemu miałoby nas to dziwić? Jest to—przeciwnie—zupełnie zrozumiałe. Wielki książę Konstanty bał się, że zaslaniać go będzie przed światem zbyt potężna indywidualność jego polskiego „premiera“; bał się, że niepopularność Wielopolskiego istotnie obciąża polsko-rosyjskie porozumienie; a rosyjscy doradcy wielkiego księcia także woleliby słabszą indywidualność na stanowisku naczelnika rządu cywilnego. Nie było co się dziwić Rosjanom, że miły im był pan Węgleński. Rzecz jasna, gdyby wielki książę był indywidualnością, toby wiedział o jednym: wielkie dzieła polityczne wymagają dla dokonania ich nie popularnych miernot, ale niepopularnych ludzi. Ale Konstanty był wiel-

ki tylko jako księżę, nie jako mózg. A Pan Węgleński? Pan Węgleński był niestety wielki tylko tak, jak nieraz polscy polityczni gracze umieją być wielcy. Bezmiarem ambicji. Tuzinkowy działacz ziemiański zgubił nią sam siebie. Bez tej ambicji poparłby Wielopolskiego, poddał się jego batucie, wszedł do jego sztabu i u boku większego od siebie człowieka odegrałby trwałą, płodną, acz drugorzędną rolę. Niestety, poniosły go zarazem zazdrość i ambicja. Dzięki nim nie odegrał żadnej roli.

Jeśli znamy dzieje intrygi Węgleńskiego, to rozumiemy, dlaczego Wielopolski, który już raz spróbował z nim współpracować, teraz mógł ją odrzucić. Intryganci niech sobie samym przypisują swoje późniejsze klęski. A intryga Węgleńskiego była dopiero w zarodku. Niebawem, w początkach września rozpoczął się w Warszawie zjazd przedstawicieli „białych” z całego Królestwa, a nawet z Kresów. Zjazd miał przygotować grunt Węgleńskiemu i towarzyszom w ich skrucie na porozumienie z Rosją. Ale zjazd był ryzykownym krokiem „białych”, a skręt za ostry, aby mógł się udać. Albowiem jeśli Węgleńscy u góry zmodyfikowali nieco swe poglądy, to nie oznaczało to jeszcze, by ów proces dotarł do dołów. Reformy się podobały, owszem wolano wielkiego księcia od Lüdersa, owszem szkoły, owszem Rada Stanu. Ale opinia małuczkich ziemian, głos prowincji, uważały dalej pakowanie z Rosją za zdradę. Zbyt długo ją tego uczuli właśnie wodzowie „białych”. Na wiadomość o zjeździe odezwali się osłabieni, ale rzutcy „czerwoni” i zaatakowali zjazd jako „Nową Targowicę”. Dlaczego nie mieli tego robić? Przecież niespełna rok temu to, co robił Wielopolski, to jest porozumienie z Rosją, „biali” razem z nimi nazwali zgodnie zdradą. Czy to nie oni mówili wtedy, o „misce soczewicy reform”, za jaką margrabia „sprzedaje” Rosji Kresy? Cóż się zmieniło w ciągu tych kilkunastu miesięcy? Czy tylko to, że Rosja okazała się silniejsza, niż przypuszczano, że poradziła sobie jakoś z ludowym wrzeniem, a Zachód wcale nie

kwapił się do wojny o Polskę? „Czerwoni” byli logiczni. Dla nich było obojętne, czy porozumienie z Rosją zawiera margrabia Wielopolski, czy też pan Węgleński i pan Węgleński nie mógł nikogo przekonać — poza najbliższymi przyjaciółmi — że to właśnie jest najważniejsze. Gdyby pan Węgleński stał na czele małej, zwartej mafii, pewno by wymanewrował i ten zwrot polityczny; ale tak nie było. Do Warszawy zjechało paruset niezależnych ludzi, może naiwnych i parafiańskich, ale prosto patrzących. Trudno im było po tylu krzykach przyjąć politykę Wielopolskiego pod zmienionym szyldem.

Bieg wypadków został tymczasem przyspieszony innym wydarzeniem. Oto w przededniu już mającego odbyć się zjazdu wielki książę zaprosił do siebie Pana Andrzeja na zasadniczą, jakbyśmy dziś rzekli, rozmowę. Akcja Węgleńskiego odniosła skutek: wielki książę doszedł widać do wniosku, że margrabia jest naprawdę tak znienawidzony, że jest dla Rosji tylko politycznym ciężarem; nie dostrzegł, że jeśli jest znienawidzony, to właśnie za Rosję. Wiedział, że najpopularniejszym człowiekiem w Polsce jest Andrzej Zamoyski, a słyszał teraz, że możliwa byłaby z nim ugoda. I zamiast rozmawiać z Węgleńskim wołał popробować z samym Zamoyskim.

W białych pokojach Belwederu, bardzo empire'owych i bardzo polskich, rozegrała się owego dnia 2 września dosyć historyczna scena. Wielki książę pytał, czego Polacy chcą. Pan Andrzej odpowiadał. Odpowiadał długo, zawile i rozwlekłe, przypominał przeszłość i zatrącał o przyszłość, a z tej rozmowy pozostało nam kilka, dosyć pokrywających się wersyj. Wedle najpopularniejszej, puszczonej potem w obieg, wielki książę miał zapytać się przedstawiciela Polski: „czego od nas chcecie?“, a przedstawiciel Polski odpowiedział wtedy przedstawicielowi zaborczej dynastii: „że-bycie się wynieśli“. Byłaby to bodaj ostatnia złota myśl Pana Andrzeja. Wedle bardziej autentycznej wersji Pan



Andrzej jako konkretne zalecenie wyrzucił tylko żądanie „*połączenia wszystkich ziem dawnej Polski pod twoim, mości książe, kierownictwem*“. Czy Pan Andrzej wyszedł uspokojony, że wywarł dobre wrażenie? Czy wyszedł przekonany, że powiedział to, co myśli kraj? Być może. Pewno wyszedł także w przeświadczeniu, że nie wziął na siebie żadnego ciężaru decyzji i nie zaważył w niczym na losach Polski. Za to wielki książe, skończył rozmowę wściekły.

Wiedział, że Rosja silna, potężna i wielka nigdy nie odda Polsce granic 1772 roku, sięgających poza Berezynę i po Dniepr. Niezwłocznie pisał też do cara o Zamoyskim: „*c'est un fou, c'est un fou furieux*. Przyszedłem do przekonania, że nic się zrobić nie da“. Owego wieczoru pokonanym był Węgleński, zwycięzcą za to był margrabia. Teraz bowiem wielki książe zrozumiał, że w tym kraju jest tylko jeden człowiek, który idzie na kompromis z Rosją. Jeżeli nie z nim, to z nikim.

Tymczasem zaś rozpoczął się ów zjazd ziemiański, przerażony tym właśnie, że powitano go na wstępie nazwą „*nowej Targowicy*“. Toteż głównym zadaniem zjazdu stało się, by ta nazwa nie przyłgnęła do nich na dobre. Szukali do tego okazji. Z drugiej strony Pan Andrzej miał wątpliwości. Czy aby dość jasno wypowiedział w Belwederze swoje zdanie? — Czy wielki książe wie, że nie jest to tylko jego, Pana Andrzeja, pogląd? Z tych wątpliwości wyznanych przyjaciółom zrodził się „*mandat*“ uchwalony przez „*współziomków*“, a uznający za rzecznika polskiej opinii Pana Andrzeja. Był to jeszcze jeden elaborat owej polskiej kuchni politycznej, która nie chce urazić nikogo, toteż wreszcie uraża wszystkich. „*Mandat*“ we frazeologię bardzo czerwona (która musiała podrażnić Belweder) obwijał treść bardzo białą politycznie (która musiała rozjuszyć „*czerwonych*“), ale przy tym raz jeszcze jeden podnosił, jak Zamoyski, sprawę Kresów. Poprzez dyskretne słowa przeziebrała ta sama treść: Polska w granicach 1772 roku.

Zjazd i „mandat“ rozkrzyczane za granicą wywołały wściekłość Petersburga. Teraz Zamoyski z kolei został wezwany „przed oblicze cesarskie“, ale po to tylko, aby otrzymać rozkaz wyjazdu za granicę i zakaz pojawiania się w kraju. Pan Andrzej znikł z widowni. Zapewne znikł nawet z lekkim sumieniem. Nie, nie zrzekł się moralnego prawa Polski do Berdyczowa i Witebska i wierzył, że kiedyś, po latach, kiedy szczęśliwsze wiatry powieją, kiedy niepodległa Polska powstanie i granice wytyczać się będą, prawo polskie do tych ziem dalekich pozostanie nienaruszone jak przed wiekiem. Nie, nikt nie powie w kraju, że „arystokracja zdradza“. Błady Pan Andrzej był bowiem arystokratą. Należał do tego pokolenia wielkiej szlachty polskiej, które rumieniło się za tych kilka pokoleń, co roztrwożyły Polskę. W uszach brzmiał mu podziemny śpiew nienawiści „o cześć rodam, panowie magnaci“ i pieśń ta mówiła o zdradzie, jakiej dopuścili się ludzie wielkich nazwisk na własnym narodzie. Nade wszystko bał się tego słowa. Natomiast nie przewidywał, że nikt nie będzie mógł powiedzieć o nim i jemu bliskich, jak o współczesnej im szlachcie węgierskiej czy finlandzkiej, że spełnili w tej epoce pewną historycznie potrzebną rolę. Właśnie w Petersburgu pracowali bowiem przedstawiciele Finlandii nad uzyskaniem dla swego krajułączonego z Rosją tego samego, co chciał Wielopolski. Niebawem wielki Węgier, hr. Schechenyi, miał uzyskać dla Węgier jeszcze więcej od osłabionych Habsburgów. I fińscy, i węgierscy działacze wzięli na siebie odium niepopularności, wzięli ciężar decyzji, przeprowadzili politykę niepopularną, trudną, ale płodną. Ich nazwiskami po dziś dzień nazywane są ulice Pesztu i Helsinek, ich pomniki stoją na placach publicznych, a czas oplukał ten spiż z lepkiego błota nienawiści współczesnych. Szukając porozumienia żaden z tych narodów nie stracił też godności — ani żaden narodowego istnienia.

Nastawała jesień. Jesień jest w Polsce porą zasiewów „ozimych“, to jest takich, które wschodzą późno i które trzeba siać wcześniej, aby ich nie zmroziły przymrozki. Jesień jest w Polsce porą, kiedy niebo się chmurzy i chmury są ciężkie i czarne, a zniżają się nisko nad ziemią. Z zasiewów plon będzie dopiero za rok, a z chmur mogą być deszcze jeszcze tego samego roku. Chmury nadciągały. Wielopolski siał.

Wielopolski istotnie siał. Szkoły były otwarte, zorganizowane, uniwersytet w postaci Szkoły Głównej otwierano poszczególnymi wydziałami. Na miejsce dwóch najgorszych gubernatorów rosyjskich przyszli dwaj Polacy, w centralnych urzędach Warszawy urzędników Rosjan pozostało jedynie siedmiu. Najgorzej szła najłabsza z reform Wielopolskiego, mianowicie chłopska. Ziemianie byli niezadowoleni dlatego, że zniesienie pańszczyzny odejmowało im bezpłatną siłę roboczą; chłopci czekali na to, że otrzymają na własność ziemię, na której siedzą. Jakież był los chłopów w Królestwie? Za Napoleona otrzymali wolność osobistą; Wielopolski przyniósł zniesienie pańszczyzny; ale ziemia dalej pozostawała w ręku dziedzica. A ziemia była najważniejsza. Po wsiach krążyli agitatorzy podziemni mówiąc o powstaniu i rządzie narodowym, który da chłopom ziemię; od Rosjan szły słuchy, że ziemię da car, przeciwko któremu panowie się buntują. Chłop nie wiedział, ale się burzył. Niepokoje, które ustały w stolicy, nurtowały w umysłach prowincji. Podniecała je prasa. Legalna nie omijała żadnej okazji, aby zwalczać Wielopolskiego, a celowało w tym pismo Kronenberga, a więc tego, co z Węgleńskim już się gotował na jego miejsce. Nielegalna była oczywiście jeszcze ostrzejsza. „Ten człowiek, na którego sumieniu i ciele płamy krwi bratniej są wyrażone“ — grzmiała „Strażnica“. I wzywała do boju, który miał tej krwi bratniej przelać daremnie i beznadziejnie nieskończenie więcej.

Kiedy po latach brnie się przez to lepkie błoto, jakie jednak utrwaliła historia, ma się wrażenie blących, śmiesznych i czczych zarzutów, na jakie umiano się zdobyć. Zarzut, że Wielopolski nie chciał współpracy z Polakami, jest nienależną, jeśli zważymy, że i w sprawach szkolnych, i w rolnych, i w żydowskich, i w samorządowych ścigał najwybitniejszych fachowców aż z innych dzielnic Polski, tych, o których on pamiętał: Poznańskiego, Pomorza, Galicji. Zarzut, że zamachowiec Ryll był jego nieślubnym, sponiewieranym synem, był zwykłym oszczerstwem, jednym z tych, na które i dzisiaj natrafimy łatwo. Uparta plotka szła krok w krok. Aby umeblować Pałac Brühlowski, wyjęto ze zbiorów państwowych odlewy gipsowe posągów greckich. Warszawa krzyczy: „co za nadużycie!“ Oddzielono parkanem część ogrodu Saskiego, aby stary, tyjący chorobliwie naczelnik rządu cywilnego mógł zażywać przechadzki — co za samowola! Ochrona Cerkiesów wokoło jego rezydencji — (po dwóch zamachach) — co za policzek wymierzony narodowi! I poza tymi wszystkimi maliznami — tak małymi jak ludzie, co je puszczali w obieg, tak małymi jak opinia, która je przyjmowała — nikło dzieło reformy szkolnej, samorządowej, administracyjnej, włościańskiej. Więc niepotrzebne są reformy? — pytali stronnicy margrabiego. Owszem, odpowiadano, ale niech je przeprowadzą... sami Moskale. Polak niech z nimi nie wiąże swego nazwiska. Mędrcy, co tak rozumowali, mieli się za niespełna rok przekonać, jak to jest, kiedy Polskę reformują „sami Moskale“.

W tej walce dokładnie z tak dziwną tezą występowało coraz częściej pismo, które, zdawało by się, powinno popierać w pełni program Wielopolskiego. Był nim założony w okresie wiosny ludów krakowski „Czas“. „Czas“ narodził się jak rzeka z potoków górskich z owej kilkunastoletniej przyjaźni politycznej, nawiązanej pomiędzy realistą Wielopolskim, ultrakatolikiem Popielem i naukowcem Helclem gdzieś zaraz po roku 1830. Swój piękny artykuł wstęp-

ny pierwszego numeru, pisany w dniu w którym sko-
nał na rękach Felińskiego przeżarty gruźlicą i poezją
Juliusz Słowacki, „Czas“ kończył zdaniem, że wszystkie
jego „wysiłki, troski i starania będą zmierzały ku jednej
tylko rzeczy: odzyskaniu wolnej i niepodległej ojczyzny”.
Ale tak jak cały obóz prawicowy i umiarkowany, a inaczej
niż rewolucyjny i młodzieńczy, „Czas“ nie wierzył, by Pol-
ska mogła powstać w wyniku jakiegoś wybuchu. Upatrywał
jej wskrzeszenia w drodze powolnej ewolucji od czarnej
nocy niewoli do białawych i zimnych brzasków świtu.
W odróżnieniu od tysięcy Panów Andrzejów „Czas“ nie
czekał też, aż to się samo dokona. W pokoikach redakcyj-
nych „Czasu“ krążyła już wcześniej myśl szukania w Austrii
oparcia przeciw Rosji, podważenia od tej strony drzwi wię-
ziennych Polski. Tradycjonalizm Austrii, jej zachodniość,
jej katolicyzm, jej szlacheckość — to wszystko skłaniało
ludzi „Czasu“ do zwracania oczu w tym kierunku. Dlaczego
jednak oni właśnie wystąpili szczególnie namiętnie przeciw-
ko dawnemu przyjacielowi — Wielopolskiemu? Wszak i on
był zwolennikiem prób współpracy z którymś z zaborców,
jak oni nimi byli; wszak był katolikiem, konserwatystą,
człowiekiem Zachodu jak tamci. I jak tamci wiedział, że
pomoc Zachodu może Polsce sytuację ułatwić, ale
sama jedna jej nie rozwiąże. Na to wszystko jest wiele wy-
jaśnień. Pierwsze, że Wielopolski był konsekwentniejszy.
Wielopolski musiał widzieć, że Austria jest słaba, że „opar-
cie się“ na niej nie da Polakom mocy do przeprowadzenia
reszty ich programu. Wielopolski nie mógł widzieć w Austrii
potęgę, która by poszła przeciw Rosji i Prusom; tymczasem
w Rosji widział siłę, która już jest nastawiona ofensywnie
przeciwko Austrii, a zbliżając się powoli do Francji nasta-
wia się ofensywnie i przeciw Prusom. Wielopolskiego —
szlachcica, katolika, tradycjonalistę — znacznie bardziej
ciągnęła habsburska Austria, ciągnęły własne tradycje ro-
dzinne Wielopolskich i Myszkowskich, którzy byli w Polsce

poplecznikami Wiednia, niż daleka i obca mu Rosja. Ale przechodził nad tymi względami serca czy sympatii. Nie dziwimy się dzisiaj „Czasowi“, że za Wielopolskim nie poszedł; natomiast intryguje nas to, że on właśnie tak namiętnie go zwalczał. Czyżby grały tu rolę racje dotąd przez historyków niewyśledzone? Czy nie działała tu sprytna intryga wiedeńska? Pamiętajmy, że w Petersburgu najzajadlejszym wrogiem Wielopolskiego był austriacki ambasador Thun; że Austria pamiętała margrabiemu list do Metternicha; że omal nie zwróciła się do Rosji z vetem przeciw jego nominacji. Twierdzić niczego nie można, ale snuć domysły trzeba. Tak samo, jak uderza nas to, że właśnie wtedy i właśnie w Poznańskim wychodzi cała literatura pamfletów przeciwko Wielopolskiemu, choć sympatyzują z nim na przykład Pomorzanie i budzący się ruch kaszubski. Oto zadania, które może zajmą przyszłego historyka polskiego, ale odpowiedzi na nie nie znajdziemy w pamiętnikach Popiela czy papierach „Czasu“. Trzeba by zajrzeć do sekretnych archiwów zaborczych.

OSTATNIA WALKA

Tymczasem wraz z zimą i końcem roku nadchodził akt ostatni.

Owym aktem ostatnim była, jak historia nam mówi, tak zwana branka. Czymże była owa „branka”? Od wojny krymskiej, to jest już od dobrych sześciu lat, w Królestwie Polskim nie dokonano poboru rekruta. Rekrut był wybierany w drodze losowania — zamożni mogli się wykupić — a służył jako zawodowy żołnierz przez całe dziesiątki lat. W naszym wypadku chodziło o piętnaście. Nieraz przy pomocy różnych sposobów zarówno władze, jak dziedzice starali się o to, aby do wojska brano możliwie niesforne elementy wiejskie i historia Deczyńskiego z „Kordiana i chama” jest klasycznym przykładem takiej branki za dobrych wolnych czasów pomiędzy rokiem 1815 a 1830. Spomiędzy 72.000 poborowych miano by teraz wylosować 12.000 i tych dwanaście tysięcy poszłoby na służbę do dalekich garnizonów Rosji. Otóż dla szerszej publiczności niemal niespodzianie ogłoszony został pobór rekruta w pismach urzędowych z 6 października 1862 roku, a objaśnienia do zarządzenia mogły wywołać wiele komentarzy. Mówiły one bowiem o wprowadzeniu list imiennych przez komisje wyłonione z rad samorządowych — już polskich i tak dalej. Od poboru wyłączano wszystkie elementy osiadłe trwale, a więc na przykład i chłopów gospodarzy, natomiast obejmowano nim całe kategorie socjalnie i gospodarczo luźne, zarówno w mieście jak na wsi. Niebawem znano i treść tajnego okół-

nika — władze polskie, jak widzimy, już i wtedy nie bardzo umiały utrzymać tajność swego urzędowania — a w jego świetle wszystko było przejrzyste. Jeśli czerwcowe rozbitcie „czerwonych“ odjęło im masy tak potrzebne do demonstracyj ulicznych, to teraz branka miała dokończyć dzieła. Z kolei miały ulec przetrzebieniu kadry terrorystów. Uległyby one w dwojaki sposób. Po pierwsze, były wszystkie powody do przypuszczenia, że najbardziej zagrożeni konspiratorzy zbiegną zawczasu za granicę. Wszak tak zrobił między innymi jeszcze latem sam Chmieleński po uprzednim wysłaniu na zamach (i śmierć) Jaroszyńskiego, Rylla i Rzoncy. Po drugie rzesza konspiracyjnych szaraków, takich właśnie jak ci trzech nieszczęśni, którzy zawiśli niedawno na szubienicach, byłaby przerzedzona samym poborem. Dwanaście tysięcy młodych ludzi odeszłoby do armii. Krok był oczywiście policyjnym cięciem. Ale policyjne cięcie nie przybierało ani zbyt katastrofalnych, ani zbyt dotkliwych rozmiarów. Jedna „łapanka“ na ulicach Warszawy czy Lublina była dla kraju znacznie dotkliwsza. Wówczas owych dwanaście tysięcy nie stanowiło więcej niż około trzech na tysiąc mieszkańców.

Jest rzeczą niezwykle znamionną, że niechętnie brance były wojskowe czynniki rosyjskie. Szczegóły te były nieraz wytykane Wielopolskiemu jako dowód, że był on bardziej rosyjski niż sami Rosjanie i że jemu, Polakowi, bardziej zależało na braniu innych Polaków do rosyjskiego wojska niż Gerstenzweigom, Bergom czy Milutinom. Trzeba być jednak mniej podejrzliwym w stosunku do pana z Chrobrza, no i mniej łatwowiernym, jeśli chodzi o jegomościów, co się później obłowili krociowo przy „usmiraniu polskawo miatieża“. Rzecz była jasna, dlaczego Wielopolski chciał opróżnić kraj z najczerwieńszych, najradykałniejszych żywiołów bojowych. Oto bał się wybuchu. Rzecz jest również jasna, dlaczego carscy generałowie nie chcieli polskiego rekruta. Oni wybuchu chcieli. W ślad za przybyciem wielkiego księ-

cia, w ślad za zamachami rewolwerowymi na Lüdersa, Konstantego, Wielopolskiego Warszawa zapelnia się nowymi pułkami rosyjskimi, ściągаныmi stopniowo z głębi „matuszki Rassiji“. Terrorystyczna polityka Chmiełeńskiego, rozpaczliwe zamachy Jaroszyńskich, Rzonców czy Ryllów nie tylko, że nie usuwały Czerkiesów, Kałmuków i Kozaków, ale jeszcze pomnażały ich liczbę. Dzięki nim właśnie rząd carski mógł uzasadnić, dlaczego załogi rosyjskie muszą ulec wzmocnieniu. Generalicja rosyjska wiedziała dobrze, że obecność setek Rzonców i Ryllów jest jej na rękę, że uzasadnia nad Wisłą rolę armii rosyjskiej, że im więcej ich będzie, tym szybciej dojdzie do takiego czy innego wybuchu, a wtedy już będzie łatwo... Trzeba być bardzo naiwnym, aby myśleć, że przez Wielopolskiego przemawiała ugodowa gorliwość, znacznie większa niż gorliwość „rodowitych“ Rosjan o niemieckich nazwiskach. Obie strony — i Wielopolski, i generałowie rosyjscy wiedzieli dobrze, o co im chodzi i o co chodzi przeciwnikowi. Pomiędzy jednym i drugim wywiązał się bój. Ale zrazu po stronie Wielopolskiego stała jeszcze władza rosyjska. Dla niej było obojętne i nieważne, czy się kilkunastu generałów i kilkuset oficerów nagrabi w Płockiem, Siedleckiem czy Łomżyńskiem. Dla rosyjskiej racji stanu było ważne, aby polski wybuch nie doszedł w ogóle do skutku, nie zadrażnił sytuacji zagranicznej Rosji, nie był jej kulą u nogi. Projekt branki więc przeszedł. Nadeszła o nią inna walka.

Ta dalsza walka rozegrała się w samym społeczeństwie. Społeczeństwo — to byli ci ludzie, co zasiadali już w samorządach, jakie przyniósł Wielopolski, co mieli teraz wybrać komisje poborowe, przeprowadzać spisy poborowych. Przecież Królestwo miało już polską administrację: ona powinna działać. W tym wypadku współdziałać. Ale czy będzie? Okazało się, że nie. Niektóre samorządy powiatowe czy miejskie wręcz odmówiły współudziału; inne, a tych większość, rozpoczęły sabotaż spisów we wszelki możliwy

sposób. Przemycany z Krakowa do Królestwa „Czas” piętnował „nową zbrodnię rosyjską” w taki sposób, jakby w Austrii na przykład nie obowiązywał pobór rekruta i jakby Galicja nie dostarczała Habsburgom podobnego kontyngentu żołnierza, jak Królestwo — nie po raz pierwszy przecież — dostarczało Petersburgowi. Wściekłość koncentrowała się oczywiście na Wielopolskim. On był przecież autorem branki.

Same doly „czerwonych” ogarnął za to niepokój. Oto od kilkunastu co najmniej miesięcy każdy z nich był wciągnięty w nader tajemnicze sprzysiężenie, składał przysięgi, schodził się na nocne zebrania, znał zaledwie swego bezpośredniego kierownika trójki, piątki czy dziesiątki — ale zapowiadane od tak dawna powstanie narodowe jakoś odwlekało się z miesiąca na miesiąc. Ludzie ci nie chcieli czekać. Teraz zaś już i długo czekać nie mogli. Jeśliby czekali dłużej, to margrabiowska branka wyłuska ich z Warszawy, Radomia, Lublina i rzuci w rosyjskim mundurze gdzieś do Petersburga, Moskwy czy na Kaukaz. Poczęło rósć zniechęcenie. Gdzież to powstanie? Co robi otoczony nimbem konspiracji Komitet Centralny? Teraz poczęli działać owi czerwieńsi jeszcze, których w czerwcu wymanewrowano z Komitetu, a którzy poddali się coraz bardziej dalekim wpływom Mierosławskiego. Z ich inicjatywy ukazała się ulotka - odezwa, która samowzwańczo powoływała się na Komitet Centralny. Ten nie odrzekł się od niej, raz, aby nie odkrywać wobec obcych faktu istnienia tarć i rozłamów w Komitecie Centralnym, po wtóre, aby nie powiększać wrażenia, że obecny Komitet Centralny cofa się czy ociąga. Toteż masy przyjęły za dobrą monetę zapowiedź ulotki, że „Komitet Centralny ochroni sprzysiężonych przed branką” i że „dzień ogłoszenia branki będzie dniem wybuchu powstania”. Pierwsze obwieszczenie było czysto demagogiczne. Komitet Centralny czy ktokolwiek inny nie mógł obiecywać, że „dopuszczać” lub „nie dopuszczać” do branki, bo leżało to, niestety, całkowicie poza jego możliwościami.

ciami. W bardziej zrównoważonym społeczeństwie wzięto by takie słowa za demagogię, ale w polskim ówczesnym tłumaczono sobie, że „widocznie” Komitet ma pewne dane, aby tak właśnie twierdzić. Drugie zdanie było może jeszcze niebezpieczniejsze. Czy zamierzano „nastraszyć” nim Wielopolskiego? Czy zapowiedź, że „dzień ogłoszenia branki będzie dniem wybuchu powstania”, miała oznaczać: „nie rób pan branki, bo jeśli ją zrobisz, to wtedy powstanie wybuchnie”? Trudno dziś oświadczyć na pewno. To pewna, że i wtedy, i potem z różnych kół szły nalegania, aby brankę odroczyć czy odwołać. To także pewne, że tysiące młodych ludzi zrozumiało, że datę nowego, nieodwołalnego już wybuchu wyznaczy data branki.

Tymczasem z początkiem grudnia odbyły się prawie współcześnie dwa konspiracyjne zjazdy w Warszawie. Jeden był „czerwonych”. Po raz pierwszy ten ich zjazd nabrał wojskowego charakteru. Brali w nim bowiem udział ludzie, jak pułk. Zygmunt Miłkowski, słynny później T. T. Jeź, niemal stuletni konspirator, który walczył w 1848 roku na Węgrzech, i Różycki, syn powstańczego generała z 1831, i Langiewicz, oficer pruski, i Sierakowski, rosyjski, i Padlewski — wszystko wodzowie, których nazwiska za niespełna rok miały stać się głośne orężnie. Był to zjazd starszyzny powstańczej. I otóż starszyzna powstańcza uznała wprawdzie powstanie za konieczne, ale żądała odroczenia wybuchu do wiosny. Jednocześnie zjazd „białych” był pełen narodowego optymizmu: powstania — wiedzieli, że może stać się ono tylko klęską — nie będzie. I tylko dwaj uczestnicy zjazdów — Padlewski u „czerwonych”, Stefan Bobrowski u „białych” — dowodzili inaczej. Jakżeż ma wybuchnąć powstanie wiosną, rozumował Padlewski, jeśli na przedwiośniu kraj będzie ogolony z najgorętszych żywiołów? Padlewski był w owej chwili naczelnikiem wojskowym miasta z ramienia konspiracji. Bobrowski — „biały” — był młody. Obaj doskonale czuli, że masy, tak długo rozgrze-

wane, rozgrzały się na płynną lawę rewolucji, której zatrzymać już nie będzie można, która się potoczy.

Wodzowie powstańcy mieli najzupełniejszą rację, jeśli chcieli wstrzymać powstanie. Wiedzieli już bowiem dobrze, o czym nie wiedziały masy, że nie wszystko jest tak piękne jak to, co z dawna obiecywali. Właśnie we Francji policja nakryła agentury zakupu broni, założone świeżo przez „czerwonych”. Nie tylko poaresztowała ludzi, nie tylko powstanie znalazło się bez arsenału, ale nastąpiła rzecz gorsza: oto władze francuskie wydały znalezione papiery w ręce ambasady rosyjskiej. Władze francuskie to były władze Napoleona III. Memento było groźne. A więc tak wygląda w praktyce owa tyle zapowiadana, tak plotkami podsycana w kraju wiara w pomoc Francji? Cóż innego zrobiłaby policja Ludwika Filipa? Czy nie mają racji ci, co twierdzą, że nie można liczyć na słówka sympatii i lezki współczucia, że Francja na wojnę o Polskę nie pójdzie, choć mogła pójść na wojnę o Włochy niepodległe? W tym samym niemal czasie policja warszawska wpadła na trop drukarni podziemnego organu „czerwonych”, „Ruchu”, dokonała aresztowań i zniszczyła pismo. Była to poważna strata. „Ruch” kierował opinią skrajną, urabiał ją, miał jej zaufanie. Gdyby istniał dłużej, mógłby być może narzędziem nowych poglądów, które poczęły nurtować nie tylko w Komitecie Centralnym.

Albowiem i schyłek 1862 roku, i pierwsze dni następnego przyniosły próby niespodziewanego zwrotu. To nie tylko Aleksander Herzen ostrzegał spiskowców rosyjskich przed wiązaniem się z polskim powstaniem, które będzie w tych warunkach tylko aktem szaleństwa. To nie tylko „Czas”, dotąd grzmiący na brankę, zaczynał nagle pisać inaczej. Radził poborowym kryć się za granicą, a nawet po raz pierwszy dopuszczać począł możliwość pójścia w żołdacy, „gdzie także, jak wszędzie, można dla Ojczyzny pracować, a sławę imienia polskiego roznosić”. Nie tylko „Czas” wpadł na tak niespodziane odkrycie. „Czerwoni” pisali przecież ku-

bek w kubek to samo. „Jeżeli Moskwa — wywodzili teraz — zdola wziąć kilkaset lub parę tysięcy dzielnej młodzi, to prowadzi w szeregi armii tyluż apostołów wolności“ W ten sposób nalawszy najpierw sporo oliwy na ogień, gdy zaczęły buchać płomienie, chwyciono za kubły z wodą. Atmosfera była zanadto rozogniona, aby ktoś się kwapił do roli apostoła wolności w szynelu soldackim.

Tymczasem przybył jeszcze jeden, niespodziany sukurs przeciw brance, a wyszedł on z kół, które w Rosji popierały Wielopolskiego. Obok pewnych czynników dworskich, obok ludzi jak Błudow, którzy mieli na oku wyższy interes państwa rosyjskiego, byli nimi, jakżeśmy już wspomnieli, liczni dyplomaci rosyjscy. Rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych, przynajmniej w swej części, było zwolennikiem porozumienia z Polską. Ambasadorzy i posłowie rosyjscy w stolicach Zachodu cierpieli nad tym, że rządy nahażem nad Wisłą wyrządzały tyle szkody Rosji. Specjalnie zaś dyplomaci rosyjscy, pracujący nad zbliżeniem rosyjsko-francuskim, obawiali się tego jak ognia. Jednym z nich był poseł w Brukseli, hrabia Orłow. Wnuk kochanka Katarzyny pamiętał dzieckiem, jak w pałacu jego ojca przebywał przez pewien czas swego więzienia Tadeusz Kościuszko. Jako stary arystokrata miał raczej współczucie dla grabionej po każdym powstaniu polskiej szlachty, jako kulturalny Rosjanin miał wstręt do kacapskich metod generalskiej dzicz, a jako Rosjanin w ogóle nie nosił zbyt w sercu tych wszystkich Gersztenzweigów, Bergów, Lüdersów, Immermanów. Teraz hrabia Orłow był jednym z najczynniejszych twórców zbliżenia rosyjsko-francuskiego. Wyglądał starannie stare zadrażnienia z wojny krymskiej, niwelował wzajemne uprzedzenia, starał się o to, aby ponad głowami dwóch niemieckich stolic podały sobie ręce Rosja i Francja. Hrabia Orłow bał się, że branka doprowadzi istotnie do wybuchu, podobnie próby porozumienia francusko-rosyjskiego. W tej myśli przybył naraz z Brukseli do Warszawy.

Zebranie grudniowe z Wielopolskim i Orłowem u wielkiego księcia było niewątpliwie tym momentem, kiedy ważyły się losy branki. W każdym razie, jeśli kiedy, to wtedy były one najbardziej zagrożone. Wielopolski wiedział, że Orłow w odróżnieniu od tylu innych jest poważnym partnerem. Orłow wiedział to samo o Wielopolskim. I on nie miał głupich podejrzeń, że Wielopolski jest „polskim Wallenrodem“, który pcha Rosję w klęskę przy pomocy podstępu. Wielopolski wiedział, że Orłow miał rację w tym przynajmniej, że jeśli branka doprowadzi do wybuchu, to wybuch pęknie jak petarda u stóp porozumienia Paryża z Petersburgiem. Wielopolski niemniej jak Orłow chciał tego porozumienia. Czy przewidywał, że doprowadzi ono do wojny z państwami centralnymi? Czy przewidywał, że z tych wojen Austria wyjdzie rozbita, a Prusy okrojone o ich polskie dzielnice? Jest to bardzo logiczna hipoteza. Inne — szczęśliwsze — przymierze rosyjsko-francuskie doprowadziło do tego w kilkadziesiąt lat później: czy obecnie nie mogło doprowadzić do tego wcześniej? Ale Wielopolski wiedział i to także, że „czerwoni“ zbyt długo pracowali nad wybuchem powstania, aby je mogli wiecznie odraczać. Wiedział może, że planowany jest wybuch na wiosnę. Wiedział także, że ruch „czerwonych“ w kraju paraliżuje dalsze wprowadzenie reform. Przypuszczał, że branka będzie najlepszą bronią, aby „wrzód rewolucyjny przeciąć“.

Termin branki był spodziewany od pierwszych dni stycznia, toteż koło 10-go okolice Warszawy zapełniły się młodymi ludźmi, którzy wyszli z miasta, aby uniknąć poboru. Puszcza Kampinoska zaroila się nimi na szereg dni przed ową nocą z 12 na 13 stycznia, kiedy policja i wojsko dokonały, jak zwyczajnie, poboru. Nazajutrz wokoło cytadeli zebrały się tłumy, które żywo komentowały wypadki zlorzeczając głośno i wyzywając, ale tym razem nie margrabiemu, nie Rosjanom, ale Komitetowi Centralnemu. Czy można się temu dziwić? Raczej można by się dziwić, gdyby było inaczej.

Od przeszło roku Komitet Centralny, tajemnicza władza, nawoływał ich do powstania i wieścił ów dzień. Od przeszło roku zorganizował ich, kazał czekać, używał do demonstracji, przygotowywał do zamachów. Od przeszło roku obiecywał poparcie całego świata, spiski, które wewnątrz Rosji rozsadać carat, interwencje, które z zewnątrz Rosji przyniosą pomoc Zachodu. Tak ponurymi barwami malował pobór do wojska; tak zapewniał, że nie dopuści, by sprzysiężeni brance ulegli. A teraz branka była przeprowadzona. W dodatku wielu ludzi wiedziało, że od szeregu tygodni wszyscy wybitniejsi przywódcy poznikali z Komitetu, z Warszawy, z Polski. Byli gdzieś za granicą. Margrabia się nie omylił w swych rachubach i w zapowiedziach swej prasy. Ci, co mogli, schronili się za kordon; ci, co nie mogli, zostali na łaskę losu.

Branka przeprowadzona została bez trudności, a niebawem artykuł w organie Wielopolskiego, w którym poznawano pióro margrabiego, pisał o niej, że odbyła się w pełnym spokoju, a wśród poborowych dało się zauważyć „nawet wesołe usposobienie”. Ponieważ w Polsce nie tak nie drażni jak słowo pisane, więc zwrot służył przez długie lata dla potępienia margrabiego. Wszak było to kłamstwo! Wszak była to nieprawda! Powoływano się na opinię księdza, który wszedł do lokalu, gdzie zebrani byli poborowi i zastał wielu z nich... grających w karty. Gra w karty, chyba tylko w oczach bardzo wielkiego laika, jest objawem szczególnej desperacji. Nie długo potem rekruci z Królestwa mieli powitać cara gromkimi „ura“, niczym rekruci znad Kamy czy Oki. Jakże więc było naprawdę? Prawdopodobnie było mniej dramatycznie, niż sobie kto wyobrażał. Najbardziej zaciekli zbiegli przecież w lasy i branka ich nie objęła. Na dwa tysiące poborowych Warszawy podobno tylko coś ponad pięciuset miało kontakt z „czerwonymi”. Zamiarem Wielopolskiego było przedstawić sprawę w naświeetleniu pomniejszającym, jak ci, co pchali do powstania, przedstawiali je w wyolbrzy-

mionym. Jeśli zamiar Wielopolskiego chybił, to z innych względów.

Wspominaliśmy, że niemal cała starszyzna powstańcza nie była podówczas w Warszawie, nie była nawet w kraju, odeszła za granicę. Czy nie chciała być w Warszawie w tych trudnych chwilach, kiedy branka przyjdzie, a oni nie ośmielą się rzucić hasła? Czy myśleli, że bez nich wybuch nie dojdzie do skutku? Czy nie mieli dosyć odwagi, aby powstanie, do którego rozpalili wyobraźnię, podniecili umysły, ale nie przygotowali — bo nie mogli — warunków, zatrzymać osobistym wystąpieniem? Brać za to zatrzymanie odium niepopularności? Dosyć, że wodzów nie było i tłum warszawski złorzeczył nieobecnym wodzom, jak nieraz w Polsce złorzeczył tym wodzom, co swoje wojska opuścili. Ale na miejscu pierwszoplanowych figur w Komitecie Centralnym były drugoplanowe, a raczej trzecio- i czwartoplanowe. Był, jak czasem w Polsce bywa, zupełny brak ludzi. Sierżanci zamiast generałów. I ci wobec tego, że młodzież już poszła do lasu, że tłum złorzeczy „czerwonym“, że branka się powiodła, że kadry, na które liczono, będą nią przetrzebione, poszli na powstanie. Postanowione zostało na noc z 22 na 23 stycznia. Młoda poetka Maria Ilnicka, w braku lepszych, napisała odezwę do narodów „Polski, Litwy i Rusi“. Na prowincji polecono zaatakować załogi rosyjskie w kraju. Komitet Centralny po raz trzeci w swych dziejach zmienił miano. Nie był już „Miejskim“, nie był „Centralnym“, ale przybrał nazwę, która miała przejść do historii. Wystąpił jako „Tymczasowy Rząd Narodowy“. W tej tymczasowości leżało piętno dorywczowości i pośpiechu, z jakim nastąpił ów dziejowy, brzemienny w skutkach akt.

„W nocy z dnia 22 na 23 bm. stronnictwo bezrządu usiłowało w różnych miejscowościach uderzyć na wojsko w Królestwie konsystujące“ — oto jak oficjalny komunikat powiadamiał prasę warszawską o dokonanym wybuchu. Nie był on zbyt imponujący. Na 144 garnizony rosyjskie — od

czasu zamachowej działalności „czerwonych” siły rosyjskie wzmocniły się niemal pięciokrotnie — tylko kilkanaście uległo napadowi, wszystkie nieszkodliwemu. Następne dni miały dowieść, że lud nie dał się poruszyć pomimo obietnic nadań ziemi, zwolnienia nie tylko od pańszczyzny, ale i czynszów. Było nawet przeciwnie. W parę dni po wybuchu powstania chłopci w Krasnostawskim dostarczyli policji dwudziestu „podżegaczy”, a w tym jednego księdza. W Białaczewie chłopci rozgromili powstańczą partię, w Końskim bandy chłopskie rozpoczęły tropienie po lasach, w Sannikach w Kutnowskim zabili nawet księdza reformata, który nawoływał do powstania. O faktach tych nie lubi wspominać legenda, ale niemniej są one faktami. Gdyby policja była w ręku rosyjskim, a nie polskim i gdyby chciała pójść za wzorem austriackim sprzed kilkunastu lat, mielibyśmy niewątpliwie nie jednego, ale bardzo wielu Jakubów Szelów, a rzeź galicyjska miałaby w Królestwie Polskim rozszerzoną powtórkę. Ale na szczęście, a wbrew woli roztropnego społeczeństwa, na czele rządu i reform stał jeszcze nie „człowiek obcy”, ale rodak, który właśnie oczyścił był administrację Królestwa z Breindlów w rosyjskim wydaniu. Jedno pozostało pewne: ruch chłopski z powstaniem nie poszedł. Stał się przeciwko niemu.

Natomiast nasuwało się zadanie wstrzymania ruchu i w tym celu narzuciła się konieczność innej, ostatniej gry, w której Wielopolskiego zawiodła ostrożność. Ci, co uszli do lasów, byli dezertierami z wojska i wojsko powinno się było o nich upomnieć. Wojsko było to wojsko rosyjskie. Wielopolski wiedział, że ma w nim wroga, że tak samo jak biurokracja rosyjska, tak samo carska generalicja widzi w Królestwie tylko teren do łatwej i sutej obłóWKi, niezależnie od tego, czy to wyjdzie na dobre racji stanu rosyjskiego państwa. Czy Wielopolski sądził jednak, że spełnią oni posłusznie każdy rozkaz swej władzy, zwłaszcza gdy jest nią brat cesarski? Zapewne tak. Musiały go zmylić

wschodnie pozory służbistości, dyscypliny i uniżenia. Zawierzył. W konferencji z generałami rosyjskimi u wielkiego księcia narzucił im nawet jeszcze swój plan działania. Oto wojsko rosyjskie otoczy okolice leśne na północ od Warszawy i oblawa jak nagonką zagarnie tych, co się tam zeszli. Generałom rosyjskim było to w smak, ale dalszy wymóg Wielopolskiego im nie odpowiadał. Wojsko rosyjskie wejdzie w te lasy bez amunicji, z samymi bagnetami tylko. „Ależ oni mają rewolwery“ próbował oponować któryś z generałów. „Ja przed ich rewolwerami obroniłem się laską“—przypominał jeden z zamachów sierpniowych margrabia. I wojsko poszło na tę pierwszą oblawę z karabinami nienabitymi, aby żaden strzał nie mógł paść.

Zamiarem Wielopolskiego było niewątpliwie powstrzymać tym rozlew krwi, ale zarządzenie dało odwrotny skutek. Pod Ciałkowem padł niebawem pułkownik rosyjski Kozlaninow, a z nim kilkudziesięciu żołnierzy rosyjskich zabitych pałkami i kosami właśnie dlatego, że nie strzelali do osaczonych brankarzy. Było to pierwsze właściwe zwycięstwo nad Rosjanami. Teraz z jednej strony konspiracja wyniosła pod niebiosy owo zwycięstwo, z drugiej strony generałowie rosyjscy uderzyli na alarm. Czy był to tylko sprytny manewr, czy chwila paniki? Dość, że garnizony rosyjskie otrzymały rozkaz koncentracji, poopuszczały szeregi miejscowości pozostawiając magazyny wojskowe, zapasy, nieraz nawet zapasy broni. Opuszczone miejscowości zajmowały teraz bez żadnego trudu, ale za to z wielkim rozgłosem partie powstańcze nabierając sił, pomocy i otuchy. Luty przynosił echa dalekich strzałów. Pod Suchedniowem Czachowski, pod Świętym Krzyżem Langiewicz. Wedle jednej plotki generał Mierosławski z tysiącem wiernych już zdobył Kujawy, wedle innej Sadyk Pasza Czaykowski już z Turcji kroczy przez Podole! Obok wieści nadziei szły wieści grozy. Rosjanie spalili Suchedniów, Wąchock, Węgrów, napadli na zebranie towarzyskie na wsi u hrabiego Poletyły

i zabili tam kilka osób, a poranili resztę. Poetytło był członkiem Rady Stanu, owego polskiego senatu z reform Wielopolskiego. Jakże wygląda szanowanie polskich instytucyj przez carskie zóldactwo?

Wyglądało ono fatalnie. Generalicja carska nareszcie odgrywała się na Wielopolskim za wszystkie poniżenia. Pamiętała, że niedawno jeszcze, w dzień nowego roku 1863, kiedy „cała Warszawa“ zebrała się na salach Zamku, aby składać życzenia wielkoksiążęcej parze, Wielopolski zagroził drogę tejże generalicji, kiedy jako pierwsza spieszyła w stronę tronu. „Najpierw Rada Stanu“ — zadeklarował — i polscy cywile przeszli przed rosyjskimi wojskowymi. W kilka tygodni potem Kozacy rąbali bezkarnie szablami dom jednego z owych cywili. Ale mogli rąbać. Teraz bowiem mieli wiatr za sobą. W prasie rosyjskiej podniosła się fala nacjonalizmu, wzywająca pomsty za „pomordowanych kijami żołnierzy Kozłaninowa“, za wymyślone lub prawdziwe potyczki, za rzekomy „srom“ zadany rosyjskiemu honorowi wojskowemu. Zarazem padały oskarżenia przeciwko Wielopolskiemu. Oto, do czego doprowadziły jego „reformy“! Oto rezultaty cackania się i ustępstw! Czy w ogóle można mu było wierzyć? Rosyjska podejrzliwość świeciła swe tryumfy. Naraz w oczach społeczeństwa rosyjskiego jedyną ostoją Rosji nad Wisłą stawała się z powrotem armia. Jej zadaniem szczytnym, wielkim i patriotycznym było przeprowadzenie prawdziwej pacyfikacji.

Nie ma ani jednego historyka tych czasów, który by nie przyświadczył, że powstanie było nader łatwe do zażegnania w pierwszym okresie wybuchu. Jedynym punktem spornym jest to, dlaczego w takim razie tak się nie stało. Niektórzy historycy są zdania, że spowodowała to niesłychana niezdarność wojskowych rosyjskich, inni — w tym szereg historyków sowieckich — przychyła się do tezy, że po prostu — nie chcieli. W każdym razie jedno możemy stwierdzić. Oto długotrwałość powstania wyszła niezmiernie na ko-

rzyść tych, co je tak powoli tłumili. Gdyby wybuch spalił na panewce, represje i nagrody nigdy nie mogłyby przybrać tak olbrzymiego charakteru, jak przyjęły w rok i w dwa lata później. Wybuch nie rozszerzyłby się na element, który niebawem miał być główną jego podstawą. Na masy „białych“. Ale też gdyby wybuch i tłumienie jego nie przybrało tych rozmiarów, nigdy by pomiędzy dwoma narodami nie wyrosła taka przepaść nienawiści i nieufności. To pewna, że każdy dzień teraz pogłębiał tę przepaść tak samo, jak na skutek interwencji dyplomatycznej francuskiej, potem angielskiej powstanie 1863 roku pogłębiło rozbrat pomiędzy Rosją a Francją, ułatwiło porozumienie Rosji i Prus. Wreszcie prąd podmył zarówno reformy, jak i osobę Wielopolskiego.

Interwencja francuska nastąpiła w marcu. Było jasne, że w razie wybuchu rząd francuski będzie musiał uczynić jakiś gest, ponieważ zbyt pochopnie podtrzymywał Polaków i zbyt wiele ukazywał im widoków. Ale było także jasne, że ograniczy się on do dyplomatycznych not, widzeń i ochłodzeń stosunków, że poza te ramy nie wyjdzie. Gdyby wyszedł, Prusy również poszłyby dalej, nie tylko pomagały w wyłapywaniu powstańców. Natomiast interwencja francuska spowodowała nowy atak wściekłości rosyjskiej opinii publicznej, nowe poparcie polityki „silnej ręki“ nad Wisłą, to znaczy tylko dalsze pogorszenie stosunków. Nie tylko polsko-rosyjskich, ale i polsko-francuskich i hrabia Orłow nie miał już doczekać się za swoich dni dojścia do skutku tego płodnego porozumienia, nad którym tak aktywnie pracował. Za to Bismarck zacierał ręce. Właśnie doszedł do władzy, a to, co zrobili „czerwoni“, było mu tak samo na rękę, jak było mu nie na rękę to, co robił przedtem Wielopolski.

*

We wspomnieniach, jakie w najbliższej okolicy Chrobrza przetrwały do dziś dnia, przechowało się wspomnienie o starym margrabi jako o zapalonym myśliwym. Lasy Chrobrza

do naszych czasów obfitowały w grubego zwierza, z niedalekiej „puszczy jodłowej“ przy Świętym Krzyżu prze- mykały tam jelenie i dziki-odyńce. Otóż teraz z kolei Wielopolski był takim odyńcem samotnikiem dopadniętym w kniei przez sforę, szarpanym ze stron wielu, może czującym już, że nie ujdzie. Ale odbijał ciosy. W rozgwarze strzałów powstańczych przeprowadził jeszcze usunięcie języka rosyjskiego z protokołów Rady Stanu, naznaczenie kilku biskupów na nieobsadzone stolice, powierzenie teki spraw wewnętrznych Polakowi na miejsce Rosjanina Kellera. Odnosił jeszcze i zwycięstwa. Tak na przykład młodzież akademicka Szkoły Głównej nie poszła do powstania. Jej przywódcy i ogół oparli się nawoływaniu, pomimo że już wtedy „biali“ przystąpili do powstania, „skoro już ono jest“ i opanowali jego kierownictwo wyrugowując „czerwonych“. Przywódcą tej młodzieży przeciwnej powstaniu był student, potem głośny uczony, późniejszy teść polskiego premiera i ministra oświaty, sam kontrkandydat Narutowicza przy wyborach pierwszego Prezydenta R.P. Nazywał się Baudouin de Courtenay: przeciwnicy powstania nie byli więc koniecznie ludźmi prawicy, nie byli ludźmi bez charakteru, nie byli złymi Polakami. Po prostu do powstania poszli ci zrazu, u których uczucie przeważało nad rozsądkiem, a dopiero potem już jako ofiarnicy poszli ludzie, którzy mu byli nawet przeciwni, choć nie dostrzegli, jak łatwo igra się z ogniem i jakie to pociągnie skutki.

Odyniec umie czasem rozplatać co dokuczliwszego ogara. I tak Wielopolskiemu udało się w marcu wylanie generała Ramsaya, dotychczasowego głównodowodzącego wojsk rosyjskich w Królestwie. Ale zwykle w miejsce jednego ogara rzuca się inny — i następcą Ramsaya został generał, który już się wprawił w grabienie Polski po roku 1830, zasłynął z okrucieństw w krajach bałtyckich i miał zapisać się nie- zwykle pomuro w dziejach polsko-rosyjskich. Był to jeszcze jeden Niemiec: Berg. Berg uzyskał szybko wpływ na wiel-

kiego księcia Konstantego i niemniej szybko stał się z Wielopolskim. Ale odyniec był już strudzony walką, kiedy nowy ogar ze sfory carskiej był wypoczęty. I nie był samotny.

W połowie kwietnia przyszedł ostatni owoc współpracy Wielopolskiego i dyplomacji zachodniej. Car ogłosił amnestię. W ciągu miesiąca powstańcy mieli złożyć broń: z wyjątkiem byłych wojskowych rosyjskich nie ulegliby karze; reformy byłyby utrzymane — car zapowiedział nawet ich rozszerzenie. Ale amnestia przeszła w kraju bez echa. Opinia polska zaatakowała przede wszystkim szereg... niefortunnych stylistycznych zwrotów, w których uznała obrazę narodu. Dalej, któż miał właściwie odprowadzić powstanie do domu? Łużni, pojedynczy przywódcy pojedynczych oddziałów? Centralne kierownictwo było raczej symbolem. A wreszcie i z Francji, i z Austrii szły głosy podniety. Napoleon III nawiązał mętny kontakt z Hqtelem Lambert; z Krakowa szły dyrektywy, by powstanie rozszerzyć jak najbardziej, bo „krew przelana oznaczy granice Polski“. „Jeszcze nieco wysiłków, a byt Polski, przynajmniej piętnastomilionowej, pewny“ — szeptał inny agent widocznie zapominając, że Polska piętnastomilionowa — to jednak już nie są „granice z 1772 roku“. Paweł Pópiel, który teraz po społu z „czerwonymi“ szedł na powstanie, przywoził nawet z Paryża wiadomość o „dostępie do morza“. Ale najsilniejszym echem miało zapaść w lasy i w serca polskie jedno krótkie słówko rzucone do powstańców rzekomo przez Napoleona III: „Durez“. „Trwajcie“. Po wielu, wielu latach, kiedy historycy zainteresowali się tym słówkiem, okazało się, że nie bardzo wiadomo, komu właściwie powiedział je cesarz. Podobno... ambasadorowi austriackiemu. Ów poseł austriacki istotnie zasługiwał na zaufanie Polaków. Nazywał się Metternich.

W opustoszałym Pałacu Brühlowskim trwał dalej opuszczony Wielopolski. Kiedy dochodziły do niego pogłoski o rychłej i wspañalej interwencji zachodniej, rąbał tylko jed-

nym pytaniem: „A czy flota anglo-francuska już przybyła pod Częstochowę?” Ale wbrew zapowiedziom z austriackiego zaboru jakoś jej brakło. To prawda, zbierano składki i pisano w gazetach, przemawiano w parlamentach. Walczyli francuscy żuawi pułkownika Rochebruna, miał paść dzielny Włoch, Nullo. Tak, jak zginął szlachetny Rosjanin, Potiebuia. Ale to, o co Zachód gotów był interweniować — orężem łagodnej perswazji — były granice 1815 roku. Z grubsza linia Bugu. Powstanie w niczym nie zmieniło tu stanowiska Zachodu. Grupa skrajnych rewolucjonistów zachodnich, od dawna odnosząca się z niechęcią do samodzierżawnej Rosji, a pozyskana przez polskich demokratów à la Lelewel nawet dla granic 1772 roku, miała zawiązać w Londynie komitet pomocy powstaniu, którego duszą był Karol Marks, a z którego narodziła się później babunia Kominternu — Pierwsza Międzynarodówka. Ale i to nie pomogło powstaniu, a jak się zdaje, nie leżało zbyt w projektach „białych”. Ci zaś teraz brali w walce górę. Ich kadry były liczniejsze, mieli bazy w Galicji i Poznańskim, dyplomację emigrancką z Hotelu Lambert, a wreszcie masy księży na zapadłej wsi. Z ich szeregów miał wyjść symbol powstańczego ofiar-nictwa — Romuald Traugutt.

Z ostatnimi ciosami, jakie jeszcze zadawał w walce Wielopolski, łączyły się już ciosy, jakie otrzymywał. I tak owego kwietniowego dnia, kiedy Polak obejmował w Królestwie sprawy wewnętrzne, car podpisywał dla Litwy inną nominację—Murawjewa. Członkowie Rady Stanu podawali się do dymisji podważając tę polską instytucję. W Rosji doszła do szczytu fala świętego gniewu. Ogarniała nawet lewicę, nawet liberalów. Odosobionym przyjacielem Polski pozostał tylko wygnaniec, wielki Herzen. Aleksander II otrzymywał teraz płomienne adresy rosyjskie wzywające go do nieustępli-
wego stanowiska. Szlachta kostromska pisała o „naszym rosyjskim prawie do Polski”; „nie ustąpisz, monarcho, własności państwa rosyjskiego” — zaklinała rada miejska

Moskwy. Temu car nie mógł się oprzeć, Tak ongiś prosząc groził Karamzin Aleksandrowi I, gdy nurtowały pogłoski, że idzie na ustępstwa Polsce. Prasa biła konkretniej niż szlachta i rady miejskie. „Nie ulega wątpliwości — stwierdzały „Moskiewskie Wiedomości“ — że głównym naszym wrogiem nad Wisłą nie są ani bandy powstańcze, ani rząd narodowy, ale cywilna administracja Królestwa“. I atak koncentrował się na osobie margrabiego.

W czerwcu drzewo podcięte miało otrzymać ostatni cios. Nie był on większy od wielu innych, ale przeważał szalę. Oto 9 czerwca 1863 roku z Kasy Głównej Komisji Skarbu znikło 3.602.461 rubli: z kasy głównej ministra skarbu! W biały dzień! Niebawem okazało się, że po prostu zaufani kasjerzy przekazali tę kwotę kasom.... Rządu Narodowego, który pokwitował z odbioru i pochwalił czyn. Mniejsze wydarzenia w tym rodzaju już się zdarzały, ale obecnego niesposób było zataić lub zbagatelizować. Dowodził on jednego: że polska administracja Królestwa stworzona przez Wielopolskiego nie zasługuje na zaufanie. Już przedtem prasa rosyjska i biurokracja Petersburga powołała się na sabotaż spisu poborowych, na ucieczki urzędników do powstania, na „przekazywanie“ pomniejszych kas i tym podobne wypadki. Już od lutego sugerowała zastąpienie pewnej części „niepewnych“ urzędników Polaków „pewnymi“ urzędnikami rosyjskimi... Wielopolski odrzucił to stanowczo — i wziął odpowiedzialność za stworzony przez siebie aparat. Teraz było oczywiste, że nie mógł jej brać więcej. Chyba uzasadniałby podszepty rosyjskie, że jest on istotnie „polskim Wallenrodem“ skrycie sprzyjającym powstaniu. Wyciągnął konsekwencje. Podał się do dymisji.

Podawał się już do niej w końcu kwietnia, ale jeśli jej i wtedy zaraz nie uzyskał, to zapewne dlatego, że car wiedział, iż w oczach Zachodu Wielopolski sygnalizuje to, że reformy trwają, a jeśli on odejdzie, Zachód zrozumie, że nad Wisłę wraca już w pełni generalski nahaj, brzęk ostróg i po-

tęga szpicli. Ale teraz carat miał lepszą sytuację. Wiedział już, że Zachód nie jest skłonny do bardziej aktywnej interwencji o Polskę. Wiedział, że nawet prasa także odwraca powoli swą uwagę od lasów Małogoszczy, Miechowa czy Siemiatycz ku rozgorzałej właśnie wojnie secesyjnej w Stanach Zjednoczonych. Była to wojna niezwykle atrakcyjna dla wszystkich. Chodziło w niej o wyzwolenie Murzynów, spopularyzowanych w świecie „Chatą wuja Toma”. Jedni żalowali ziemiańskiego uroku starych Georgii, Wirginii, Karolin, dobrze nam dziś znanego z „Przeminęło z wiatrem”, a inni wierzyli w demokrację *yankeskiej* Północy. A jeśli komuś nie wystarczał Charleston i Potomac, to właśnie wybuchały inne walki w kolorowym Meksyku... Sprawy polskie ze swą beznadziejną martyrologią schodziły z łamów prasy do krucht kościelnych w Bretanii, do klubów konspiracyjnych na przedmieściach Paryża. Nie prędko miały z nich wyrzeć. Rosja mogła już usunąć margrafa.

7 lipca przyszła z Petersburga „najwyższa zgoda” na urlop dwumiesięczny „celem poratowania zdrowia” i pozwolenie, jakiego Rosja zawsze udzielała skąpo: na wyjazd za granicę. Zdrowie Wielopolskiego było istotnie przeżarte do cna i kilkanaście lat jego dalszego życia na dobrowolnej emigracji w Dreźnie były już naprawdę tylko powolnym konaniem. Niemal w tym samym czasie car „najmiłościwiej” wzywał do siebie na „czasowy wyjazd” wielkiego księcia Konstantego — i także co domyślniejsi wiedzieli, że wielki książę więcej tu nie wróci. Po co? Aby członek dynastii, liberala i słowianofila, prezydował kaźni? Do tego car ma dosyć generałów. Obie postaci polsko-rosyjskiego porozumienia schodziły tak ze sceny dziejowej i Austria oraz Niemcy mogły odetchnąć, że po checzach kaszubskich, po słowackich i starych czeskich miastach, a nawet gdzieś w dalekiej, ale słowiańskiej Chorwacji przestaną się budzić ciągoty na wieść niejasną o wykluwaniu się tam nad Wisłą, z porozumienia dwóch głównych słowiańskich narodów, jakiegos

wyzwolenia ziem nad Wełtawą, Odrą i sinym Wagiem. Któż zatem pozostawał na polu bitwy? Pozostawał głównodowodzący wojsk rosyjskich, któremu już parę miesięcy przedtem powierzono zastępcze pełnienie obowiązków namiestnika w wypadkach „czasowej nieobecności” carskiego brata. Tak nad ciemnym niebem Królestwa wschodziła złowróżebna, przeklęta dla Rosji i dla Polski, gwiazda Berga.

W pałacu brühlowskim, u jego boku, „tam gdzie margraf pisał swe przebiegłe raporty“, ulokował się Milutin z całym programem wyniszczenia polskości w urzędach, w prawie, na wsi, w szkole, w pacierzu nawet. Był to „lewicowiec biurokratyczny“ — i przez szereg lat swych rządów był pełen miłości dla polskiego chłopca. On to wyzwał go spod niewoli szlacheckiej. Wyzwał tak pięknie, że kiedy w kilkadziesiąt lat potem armie rosyjskie opuszczały Królestwo, był to kraj liczący więcej analfabetów niż cała reszta Europy, posiadający najgorsze w Europie drogi, najsilniejsze wrzenie socjalne i utajoną, trzaskającą jednak strzałami rewolwerów i bombami zamachów nienawiści do Rosji. Wiedeń i Berlin mogły się cieszyć. Jeśli Rosja w umysłach polskich nie miała się łączyć z Tolstojem i Turgeniewem, ale z naha-jem i kibitką, jeśli pojęcie słowiaństwa miało napęcznić gorzką ironią, jeśli mowy Puszkina, którą kochał Mickiewicz, miał nienawidzić tak lewicowy pisarz jak Żeromski — to wszystko było produktem tego, co Królestwu przyniosły rządy obcej generalicji i obcej biurokracji, otworzone tu nazwiskami Milutina i Berga.

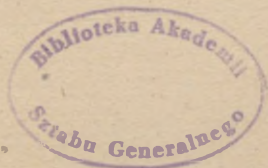
Wielopolski opuścił Polskę 14 lipca i wyjazd jego wobec tego, że próby zamachów nie ustawały, odbył się w ściślejszej tajemnicy. Podróżni na stacji w Aleksandrowie nie mogli podobno pojąć, dlaczego naraz dworzec obstawiono kordonem piechoty i żandarmów, dlaczego przy salonce pociągu idącego ku Otłoczynowi i granicy pruskiej stanęli zbrojni pruscy policjanci, czym uzasadnić zdenerwowanie oficerów,

niepokój żołnierzy? Przy trzecim dzwonku — ostatnim sygnale odejścia pociągu — wszystko stało się jasne. W otoczeniu rodziny, w towarzystwie zaufanego człowieka Rządu Narodowego — także dla bezpieczeństwa — ukazała się dobrze znana, ciężka, rozlana tuszą w ostatnich chorych miesiącach postać Wielopolskiego. Poznano szerokie ramiona, silny kark i wielką głowę buldoga. Tłumem poszedł szept: „Margrabia“... I wtedy stało się coś, czego ani delegat powstańczy, ani rodzina Wielopolskiego, ani późniejsi historycy polscy nie mogli zrozumieć. Oto na widok znenawidzonego człowieka publiczność polska naraz poodkrywała głowy. Na małym dworcu w lipcowy ranek nastąpiło przeraziliwe milczenie, słychać było tylko sapanie lokomotywy, brzęk ostróg żandarmskich i kroki, ostatnie kroki, jakie stawał ten człowiek na ziemi polskiej. „Smutek, jakiś przygnębiający smutek, ogarnął obecnych — pisze lewicowy historyk. — Na widok człowieka wyzywanego od zdrajców, szkalowanego bezkarnie, ogłoszonego z rodziną za „wyjętego spod prawa“, uważanego za „narzędzie moskiewskie“ — stano teraz nieruchomo na tym przygodnym peronie i z kapelusza mi w rękę, ku zdumieniu żandarmów i żołnierzy rosyjskich, spoglądano w stronę oddalającego się pociągu, wśród oznak szacunku, jaki się jedynie monarchom okazywać zwykło“.

Być może, było to nagłe przeczucie, jak straszliwa klęska narodo wa nastaje właśnie z upadkiem i odejściem tego człowieka. Pod jej brzemieniem istotnie marniały potem trzy pokolenia polskie, a nasze życie obecne nosi wciąż jeszcze, nie wiedząc o tym, jego ślady. Być może, był to hołd oddany jedynej postaci owych czasów, w których później z Piłsudskim mieliśmy się w pierwszym rządzie doszukiwać wielkości. Czy Wielopolski dostrzegł ową zmianę i czy też się zdziwił? Tego historyk nie zapisał. Ale ci, co znają Wielopolskiego, wiedzą, że jemu jednemu nie było to dziwne i jemu jednemu było to teraz bezgranicznie, ogromnie obojętne. Wielopolski wiedział, że Polska daje władzę, uzna-

nie, szacunek, miłość za życia tylko mydlkom, bufonom, warchołom, zajazdowiczom i silnogębskim, tym, co kadzą, cmokają i, broń Boże, nie tykają narodowych ran i że wielkość doczekuje się u nas wspaniałego uznania — po śmierci. I Wielopolski wiedział, że okrucuch tego uznania, tego szacunku, tego zaufania, jakim zaczęto go darzyć już niebawem, ale po niewczasie, z jakim jego nazwisko utrwalił Aleksander Świętochowski, Józef Piłsudski, Feliński, Spasowicz, Prus, Sempołowska, Grabski, Dmowski, byłby jeszcze parę miesięcy temu odwrócił bieg cały narodowych spraw. A teraz te głowy odkryte na przygodnym dworcu w Królestwie, te słowa uznania, co przyjąć miały od najświatlejszych i najdalszych, były już tylko tym, czym jest bujne majowe kwiecie, rzucone całą duszącą masą na trumnę człowieka, którego udziałem jedynym były dotąd błoto, kamienie i ciernie.

1053



SPIS ROZDZIAŁÓW

WSTĘP	Str.	5
ROZDZIAŁ I: MŁODOŚĆ I LISTOPAD	„	11
ROZDZIAŁ II: PRZED STYCZNIEM	„	39
ROZDZIAŁ III: KU WŁADZY I U WŁADZY	„	58
ROZDZIAŁ IV: PETERSBURSKIE ZWYCIĘSTWO	„	81
ROZDZIAŁ V: OSTATNIA WALKA	„	112

BIBLIOTEKA

ASG

NAUKOWA

5133